

Świadkowie MOWIA

ŚWIADKOWIE MÓWIĄ



Warszawa 1996

**Wydawca : Światowy Związek Żołnierzy Armii Krajowej
Okręg Wołyń**

© Copyright by : Światowy Związek Żołnierzy Armii Krajowej
Okręg Wołyń

Wybór tekstów i opracowanie : Stanisław Biskupski

Redakcja techniczna i projekt okładki : Tadeusz Wolak

ISBN 83-901947-3-2

Druk : Zakład Poligrafii J. Niedziński, 00-873, Warszawa, ul. Ogrodowa 51
Nakład 1000 egz.

WSTĘP



Oddajemy do rąk Czytelników książkę osobliwą, książkę niezwykłą. Jej treścią są autentyczne zeznania ofiar i świadków zbrodni ludobójstwa na procesie, którego nie było... Zbrodni dokonanej na cywilnej polskiej ludności Wołynia.

W rok po zakończeniu II Wojny Światowej, winnym tego rodzaju zbrodni, Międzynarodowy Trybunał Sprawiedliwości w Norymberdze wymierzył sprawiedliwy wyrok. Dziś, Międzynarodowy Trybunał w Hadze rozpatruje sprawę winnych zarzutu ludobójstwa, dokonanego na terenach byłej Jugosławii, zbrodni, którą dla złagodzenia jej okrutnej wymowy, nazwano eufemistycznie „czystkami etnicznymi”.

W Norymberdze nie był sądzony naród niemiecki, w Hadze na ławie oskarżonych nie zasiadają Serbowie, Chorwaci, czy Muzułmanie, lecz konkretni ludzie, tej lub innej narodowości czy wiary. Byłoby więc też niesprawiedliwością, a nawet i obelgą dla całego narodu ukraińskiego, obarczanie go winą za zbrodnię ludobójstwa, którego ofiarą padła polska ludność cywilna Wołynia, zwłaszcza w latach 1942-1943. Wśród przytoczonych w książce relacji świadków znajdują Czytelnicy szereg przykładów bardzo ludzkiej, a niekiedy i bohaterskiej postawy wielu Ukraińców, ryzykujących własnym życiem za udzielanie pomocy Polakom i ratujących ich przed nieuchronną śmiercią.

Pierwotnym zamierzeniem Redakcji było odtworzenie obrazu codziennego życia ludności polskiej Wołynia w latach wojny, życia, tak bardzo przecieź różniącego się od warunków i atmosfery, panujących w „Generalnej Guberni”, ludności poddanej różnorodnym udrękom, w rodzaju sowieckich wywózek i więzień, niemieckich prześladowań i wreszcie owej eksplozji nienawiści, której patronowała i którą szerzyła UPA.

Niestety, obraz szarego, codziennego życia, w tamtym czasie i na tamtym terenie, został zdominowany przez wspomnienia korespondentów, dotyczące głównie tragicznych przeżyć, które przyćmiewając wszystko inne, najmocniej musiały utkwąć w ich pamięci i przy których walka i troska o codzienny chleb, o co też nie było łatwo, wydać się mogły autorom korespondencji sprawą co najmniej drugorzędną.

Wielokrotnie w Redakcji rodziły się wątpliwości i pytania jakim celem ma służyć nagromadzenie w jednej książce tylu wspomnień, o tak wstrząsającej, a niekiedy i makabrycznej wymowie i czy traktować należy je tylko jako zeznania świadków zbrodni, czy też jest to również swoisty przekaz historyczny oraz czy, być może, opublikowanie ich spełni także i jakąś inną nieprzewidzianą rolę. Najcelniejsza odpowiedź na to ostatnie pytanie padła... ze strony jednego z korespondentów, Mieczysława Jankowskiego, który zakończył swoją relację następującymi słowami: „Do opisanie tego ludobójstwa przystępowałem wiele razy, ale, wiercie mi, nie mogłem. Było to ponad moje siły... Ten koszmar, mimo że upłynęło od tego czasu ponad pół wieku, męczy mnie stale we snach. Odpędzam od siebie, jak mogę, myśli o tej wielkiej tragedii, ale one wracają coraz natrączywiej... Współczuję wszystkim Wołyńiakom, którzy musieli i muszą nadal żyć z tak potwornym obciążeniem. Kto tego nie przeżył, ten nie zrozumie, bo to naprawdę trudno zrozumieć...”.

A więc, może „nie rozumiejącym” książka ta przynajmniej otworzy drogę ku zrozumieniu.

Nie wątpimy, że jakiś egzemplarz tej książki trafi również do rąk czytelnika ukraińskiego młodszego lub starszego pokolenia. Jej odbiór może stać się probierzem jego własnej postawy. Czy dziś, po półwieczu od opisanych wydarzeń, a więc w chłodnej już niejako ich ocenie, ogarną go: współczucie dla ofiar, podziw dla rodaków, ratujących życie bliźnim, chęć usprawiedliwienia, a więc i zbagatelizowania oczywistej zbrodni, czy też, być może... duma z bezwzględnej postawy „żołnierzy” UPA, tak wiernych ludobójczej ideologii Doncowa...

Ten własny, osobisty, całkiem prywatny osąd, dokonany we własnym i tylko we własnym sumieniu, z całą pewnością pozwoli takiemu Czytelnikowi, dowiedzieć się prawdy o sobie samym... Niech sam siebie określi i oceni!

Na treść książki składają się, przesłane na apel Środowiska 27 WDP AK, relacje uczestników i ofiar wołyńskiej hekatombi, której apogeum przypadło na rok 1943. Autorami są osoby o różnym poziomie wykształcenia i różnej umiejętności przekazywania swoich przeżyć. Dla zachowania autentyzmu relacji Redakcja książki ograniczyła się jedynie do niezbędnych poprawek ortograficznych, interpunkcyjnych i tych stylistycznych, których wadliwość sformułowań czyniła tekst mało czytelnym i jasnym. Tytuły rozdziałów pochodzą od Redakcji.

Redakcja zrzecynowała z wielokrotnie dołączanych do relacji imiennych wykazów ofiar hekatombi w danej miejscowości, map i planów, nierzadko wskazujących miejsca dokonania masowych zbrodni. Dane te znajdują się w przygotowywanej przez W. Siemaszkę jego nowej książce.

Nadesłane i zamieszczone teksty, pochodzą zarówno sprzed kilku lat, jak i z napływających już w czasie przygotowywania książki do druku. Wszystkim Autorom, którzy zechcieli podzielić się swoimi wspomnieniami, składamy serdeczne podziękowania. Ich relacje są bezcennym wkładem w poznawanie historii Wołynia i losów polskiej ludności tej Ziemi, a także w utrwaleniu tej wiedzy dla przyszłych pokoleń. Redakcja, dla utrzymania treści w jak najbardziej autentycznym kształcie, zrezygnowała z wszelkich przypisów i komentarzy. Tytuły rozdziałów pochodzą od redakcji.

To przecież nikt inny, tylko „Świadkowie mówią...”.

Stanisław Biskupski

ZAPOMNIEĆ NIE MOGĘ

Duża gmina wieś Jarosławicze, położona przy starym, bitym trakcie, łączącym miasto Łuck z Dubnem, 16 km od Łucka i 20 km od Dubna, należała do pow. dubieńskiego. Była to wieś ukraińska z urzędem gminnym i starą, drewnianą, bardzo ładną cerkiewką.

Wśród Ukraińców mieszkano tu również z dziada pradziada kilka rodzin polskich. W Jarosławiczach był ongiś duży majątek ziemski rodziny Teleżyńskich. Właściciel majątku za udział w Powstaniu Styczniowym został zesłany na Syberię, a majątek skonfiskowano. Car Aleksander II podarował go generałowi Kolmakowowi, który będąc bezdzietny, przekazał go następnie trzem swoim bratankom. Zarządzali oni nim częściowo aż do II wojny. Niewielką resztówkę w okresie międzywojennym odzyskała rodzina Teleżyńskich.

Opisuję to dlatego, gdyż z tym wiążą się losy starych rodzin polskich, które osiadły tu, przy majątku, z dawien dawna i przetrwały do dnia 22 maja 1943 roku.

Duża część Polaków została zrusyfikowana, o czym świadczyły ich nazwiska : Cichoccy, Żerdziocy, Wiktorowicze i wiele innych. Po I Wojnie Światowej duża część majątku została rozszabrowana, część ziemi rozkupili miejscowi chłopci, powiększając w ten sposób swe gospodarstwa. Na obrzeżach wsi powstały trzy nieduże kolonie osadników wojskowych, którym nadano ziemię za ich udział w wyzwoleniu tych terenów Polski. Były to : kol. Rudecka (5 gospodarstw), kol. Trzy Kopce (5 gospodarstw), kol. Czekno (8 gospodarstw). W obrębie Jarosławicz była też kol. Wygoda zamieszkała przez 5 rodzin polskich, osiadłych tu pod koniec dziewiętnastego wieku. Z Jarosławiczami sąsiadowała też kol. niemiecka Rudecka oraz duża wieś czeska Krupa Granica i czeska wieś Malowana, oraz Czekno i Podliśce.

Spółeczność polską w Jarosławiczach stanowili też urzędnicy gminni, nauczyciele i policjanci, mieszkający tu wraz z rodzinami. Jak już zaznaczyłem, w Jarosławiczach była cerkiew, kościół zaś parafialny katolicki mieścił się w odległych o 4 km Jałowiczach. Parafia Jałowicze była bardzo rozległa,

kościółek wraz z zabudowaniami poklasztornymi Dominikanów był nieduży i dość ubogi, usytuowany na wysokiej skarpie i opasany z jednej strony rzeczką, z drugiej zaś rozległymi łąkami.

Tu, w tym kościółku, zostałem ochrzczony w dniu 26 grudnia 1921 roku, tu też, jak sięgam pamięcią, koncentrowało się życie katolickie i narodowe ludności polskiej, zamieszkałej w obrębie tej parafii. To była ostoja naszej wiary, naszych tradycji i naszej jedności narodowej, szczególnie w okresie okupacji, najpierw sowieckiej, a później niemieckiej.

Ostatnim proboszczem parafii Jałowicze był starszy ksiądz Szuman, nadzwyczajny kapłan z powołania, wspaniały orędownik wiary i wielki patriota. Swoimi pięknymi kazaniami, swoją wyjątkową serdecznością podtrzymywał wszystkich wiernych na duchu i dodawał nam i otuchy, i mocy do walki o polskość tej ziemi. Pamiętam jak w dniu wybuchu wojny, 1 września 1939 roku, w kościele zgromadziła się tak liczna rzesza wiernych, że ludzie nie mogli się zmieścić w środku małej naszej świątyni i zapelnili obszerny dziedziniec, a modły płynęły do Boga, przeplatane rzewnym płaczem. Tak też było w następne niedziele września, października, listopada i grudnia 1939 roku, bo na tereny nasze napłynęły całe rzesze uchodźców z Polski zachodniej i centralnej, chroniących się przed barbarzyńskim niemieckim najeźdźcą. Szczególnie utkwiała mi w pamięci pierwsza niedziela po wkroczeniu jeszcze gorszych najeźdźców, a mianowicie wojsk sowieckich. Zgromadzeni bardzo licznie wokół ołtarza wierni płakali głośno wraz z księdzem Szumanem, odprawiającym Mszę Świętą. Przeczuliśmy wszyscy wówczas, jak się później okazało proroczo, naszą wielką gehennę, która się rozpoczynała w tym czasie. Przeczucia nasze dały o sobie znać bardzo szybko, gdy całą administrację opanowało wszechwładne NKWD.

Najpierw zaczęły się pojedyncze szykany, aresztowania i zaginięcia ludzi bez wieści, szczególnie Polaków. Bardzo dużą pomoc i wielką gorliwość w różnego rodzaju denuncjacjach okazywali tym panom z NKWD Żydzi. W Jarosławicach główny nacisk szedł w kierunku walki z tak zwanymi kulakami. Najpierw okładano ich wielkimi podatkami, dostawami obowiązkowymi, a kiedy nie mieli już z czego dawać i czym płacić, zamykano w więzieniu jako kontrrewolucjonistów i ślad po nich ginął. Gospodarstwa zabierano do kolchozu, a rodziny wywożono w głąb nieludzkiej ziemi. Ofiarami tego systemu padli jako pierwsi p. Biernacki i p. Grabowski.

Najbardziej tragicznym wydarzeniem w tym czasie była masowa deportacja wszystkich osadników wojskowych, gajowych i leśniczych w dniu 10 lutego 1940 roku. Była to perfidna i okrutna sowiecka metoda zagłady ludzi niewinnych, bez żadnego wyroku, jedynie dlatego, że byli Polakami. Noc 10 lutego była bardzo mroźna (-30°) ; o północy do każdego gospodarstwa osadnika podjeżdżały sanie z dwoma enkawudzistami na koniach, jak dzikie wilki. W sposób bardzo brutalny budzili ze snu wszystkich domowników

i dawali im pół godziny czasu na ubranie się i załadowanie do sań. Ponieważ był to pierwszy tego rodzaju wypadek, ludzie byli zaskoczeni, tracili z rozpaczy głowy, bardzo często matki nie zdążyły ubrać dzieci i w bieliznie, wraz z pierzynami, ładowały płaczące niemowlęta do sań. Nawet ci Ukraińcy, którzy jako furmani wzięci zostali na podwody i oglądali ten horror na własne oczy, opowiadali później o tym ze zgrozą. Dla przykładu przytoczę tu szczególnie barbarzyńskie traktowanie deportowanych.

W kolonii osadniczej Rudecka miał gospodarstwo p. Dobrostański, który odziedziczył je po swoim starszym bracie oficerze legionowym. Dobrostański był starym kawalerem, a w prowadzeniu 25 hektarowego gospodarstwa pomagał mu jego przyjaciel Gucio, który z osadą poza tym nie miał nic wspólnego. W roku 1938 zamieszkali też u Dobrostańskiego jego rodzice - ojciec leśniczy z zawodu i matka profesorka gimnazjum, oboje na emeryturze, w podeszłym wieku. Kiedy podjechali do nich 10 lutego, zabrali wszystkich. Oboje starszków nie dojechało na Syberię, zmarli w drodze. W drodze też zmarło kilkoro dzieci, które nie dojechały nawet do stacji załadunkowej Jeziorany, położonej na linii Dubno - Zdołbunów. Dalszą tragedię tych ludzi trudno sobie wyobrazić, a coś dopiero przeżyć.

W następnej wywóźce, w kwietniu 1940 roku, z Jarosławicz deportowano do Kazachstanu trzy osoby: żonę komendanta policji p. Faradową z siedmioletnią córeczką i jednego Ukraińca. Było to dla wszystkich mieszkańców dużym zaskoczeniem, ponieważ uchodził on za aktywnego działacza komunistycznego. Dnia 1-go maja 1941 roku dokonano też w Jarosławiczach zamachu na dyrektora szkoły Rosjanina Alimuczina. Z zamachu tego wyszedł on cało, ale w październiku, już za Niemców, zastrzelili go ukraińscy nacjonaliści i wrzucili do studni w jednej z zagród po osadniku w kolonii Rudecka. Żona jego schroniła się z dwojgiem małych dzieci w Lucku.

Tak rozpoczęła się okupacja niemiecka, a z nią coraz częstsze morderstwa band ukraińskich na Polakach. Tragiczne wieści docierały do nas bez przerwy, wzbudzając strach i grozę. Kilkakrotnie w okresie jesieni 1941 roku oraz w styczniu i lutym 1942 r. dobijano się do naszego domostwa, ale my udawaliśmy, że nas nie ma w mieszkaniu. Po ostatnim dość długim szturmie, w noc popielcową, postanowiliśmy, że nie możemy nadal nocować w domu. Mama z młodszym rodzeństwem w wielkiej tajemnicy chodziła na noc do sąsiada przez miedzę, Rosjanina p. Kunca, my zaś, to jest ojciec, ja i młodszy brat urządziliśmy sobie kryjówkę nad stajnią, z której tunelem w stogu słomy, a dalej podziemnym wykopem mogliśmy wyjść do ogrodu i w pole. Tunel ten w dniu 12 maja 1942 roku uratował nas od śmierci, bo przed północą zajęchały na nasze podwórko duże furmanki, wyladowane bandziorami. Otoczyli szybko dom i zaczęli gwałtownie dobijać się do środka. Ojciec jeszcze nie spał, więc obudził nas szybko i przez otwór w dachu

naszej kryjówki oglądaliśmy jeszcze przez chwilę jak rąbali drzwi do domu i wybijali okno. Wśród napastników poznaliśmy syna sąsiada, Władka Sarakina, z którym mój starszy brat Zygmunt chodził do szkoły. Stosunki nasze ze wszystkimi mieszkańcami wsi były bardzo dobre, a z najbliższym sąsiadem Sarakinem wręcz przyjacielskie. Sarakin stałe zapewniał mego ojca „Józiu, bądź spokojny o siebie i swoją rodzinę, wam włos z głowy nie spadnie”. A tak niewiele brakowało, żeby syn jego Władek odrąbał nam głowy. Cudem udało się nam uciec z życiem. Tak jak staliśmy, uciekliśmy z pięknego gospodarstwa, które było dorobkiem kilku pokoleń.

Najpierw schroniliśmy się w odległej o 18 km wsi Dorohostaje Czeskie, a następnie w dniu 23 maja w miasteczku Młynów. W dniu tym bowiem przyjechał do nas znajomy Czech ze wsi Krupa Granica, przysłany przez mego stryja Jankowskiego Mikołaja z tragiczną wieścią, że w Jarosławiczach Ukraińcy dokonali straszliwej rzezi. Dnia 22 maja, w biały dzień, z samego rana, grupa uzbrojonych bandziorów spod znaku UPA rozpoczęła okrutną, krwawą rozprawę z Polakami zamieszkałymi w Jarosławiczach. Rozpoczęli od gospodarstwa mego stryja Jankowskiego Mikołaja, który mieszkał na końcu wsi, przy drodze prowadzącej do Czekna. Przyjechało ich około dziesięciu na dwóch furmankach, wjechali na podwórko, wpadli do mieszkania i zaczęli okrutnie bić domowników. W domu była stryjenka, córka Zosia lat 20 i syn Antoni lat 18. Stryja nie było w tym czasie w obejściu, bo był akurat u sąsiada Ukraińca, z którym żył w wielkiej zgodzie. W pewnym momencie stryj usłyszał okropny krzyk i zobaczył jak z domu wybiega stryjenka, a za nią pada strzał, następnie wybiegli Zosia i Tosiek, którzy również zostali zastrzeleni. Stryj w szoku zwrócił się do tego sąsiada z zapytaniem, co to się dzieje, a on chwycił go za rękę i zaczął krzyczeć „chłopci siuda”, na szczęście nie usłyszeli. Stryj się wyrwał z rąk „dobrego sąsiada” i co sił w nogach uciekł w pole i schronił się w pobliskim lesie. Kiedy trochę ochłonął, lasami i polami przeszedł do odległej o 5 km wsi czeskiej Krupa Granica. Tam przenocował, a następnego dnia przysłał do nas znajomego Czecha, żeby nas zawiadomił o tym, co się stało i że banda wie, gdzie my jesteśmy, i że nas tam wykończą. Sam zaś schronił się w Łucku. Ciała pomordowanych stryjenki, Zosi i Tośka upowskie zbiry wrzucili do studni.

Po krwawym rozprawieniu się z rodziną stryja bandyci pojechali do położonej bliżej wsi zagrody Zukowskiego Feliksa. Okrążyli dom, wpadli do mieszkania, gdzie zastali Feliksa, jego żonę i córkę Anię lat 16. Zukowski, potężny mężczyzna, stanął w obronie żony i córki, bronił się dzielnie, lecz nie mógł sprostać okrutnym bandytom. Wszyscy troje zostali zarąbani siekierą, a ciała ich wywieziono z domu i wrzucono na furmankę. Ten okropny widok oglądał ze stodoły ich syn Staszek lat 19, po czym uciekł w pole i poleciał w szalonym oblężeniu polnymi drogami 4 km do szosy Łuck-Dubno.

Tam wzięli go do samochodu żołnierze niemieccy i zawieźli do Dubna, gdzie mieszkał brat ojca Bolesław, który był podoficerem zawodowym w 43 pp.

Banda z trzema okrutnie porąbanymi ciałami Żukowskich podjechała do leżącego już w środku wsi gospodarstwa Kwiatkowskich. Rodzina Kwiatkowskich składała się z dwojga staruszków, syna Józefa (inwalidy) i córki z mężem i czteroletnią córeczką. Szybko okrążyli całe obejście, wywiekli wszystkich na podwórko, powiązali im ręce do tyłu i władowali na furmanki. Kulawego Józia przywiązali sznurem do wozu i pojechali polną drogą poza wsią, prowadzącą do traktu, wiodącego z Jarosławic do Targowicy. Józek w strasznych męczarniach biegł dopóki mógł za wozem, w końcu padł i tak go wlekli drogą dalej, aż do lasu położonego na końcu wsi, w pobliżu traktu targowickiego. Tu na skraju lasu przygotowany był dół i miejsce kaźni. Szybko rozprawili się z przywiezioną rodziną Kwiatkowskich, rąbiąc ich siekierami i wrzucając do wykopanego dołu.

Następnie przyjechali do do położonego w centrum wsi młyna wodnego, który dzierżawiła rodzina Jachemków, składająca się z pięciu osób. Kiedy podjechali pod mały domek, stojący w pobliżu młyna nad rzeczką, zastali w nim tylko Stasię Jachemkową lat 18, śliczną, miłą dziewczynę. Jak dzikie bestie rzucili się na nią i zaczęli ją po kolei gwałcić. Na koniec, na wpół żywą wywiekli na podwórko, przywiązali sznurem za nogi do belki i głową w dół zanurzyli do wody w studni. Później powrócili do młyna, w którym meł chłopom zboże starszy brat Stasi, Stefan lat 21. W młynie też przebywał w tym czasie kolega Stefana Kazik Żukowski i kilku starszych Ukraińców. Bandyci rzucili się na Stefana i Kazika, wywiązała się walka, bo byli to chłopcy bardzo silni, lecz nie zdołali się obronić przed rozwścieczoną i żadną krwi zgrają. Na wpół żywych skrępowali sznurami i usiłowali żywcem wkręcić w tryby młyńskiego koła, lecz to im się nie udało, więc dobili ich siekierą. Załadowali ich ciała na furmankę, wyciągnęli ze studni zwłoki Stasi, też wrzucili na wóz i odjechali. Po drodze w pobliżu cerkwi mieszkało dwoje staruszków o nazwisku Suk. Załadowali ich na furmankę i pojechali na miejsce kaźni. Po zamordowaniu staruszków i wrzuceniu wszystkich ciał do dołu, pojechali za rzekę do gospodarstwa Przewłockich.

Tu zastali całą rodzinę w komplecie, a mianowicie p. Przewłocką staruszkę lat 70, jej córkę Jadzię lat 30 oraz syna z żoną i córką Lucią lat 18. Był tam również p. Dobrowolski, który mieszkał z żoną i dwojgiem dzieci w pobliżu. Dobrowolski był przez kilka lat urzędnikiem w gminie Jarosławicze. Wszystkim sześciu osobom skrępowali ręce do tyłu i powieźli do lasu na miejsce zbrodni. Kiedy tam zajechali, zaczęli potworną orgię z Jadzią i Lucią, gwałcąc je zbiorowo na oczach wszystkich. Ten moment rozpasania banderowców wykorzystał p. Dobrowolski, skoczył niepostrzeżenie pomiędzy drzewa i co sił w nogach zaczął uciekać w stronę domu odległego o 2 km od tego miejsca. Kiedy wbiegł na polną drogę, spotkał na niej staruszka

Ukraińca, który ze łzami w oczach rozwiązał mu ręce i przeżegnawszy go powiedział „uciekaj bracie jak najdalej, gdzie oczy poniosą, bo tu dzieją się rzeczy bardzo straszne”. Dobrowolski co sił w nogach dobiegł do domu, złapał żonę i dzieci, zawiadomił jeszcze mieszkającą tam również p. Kamińską z dwojgiem dzieci i tak jak stali, cała siódemka, pobiegli polami, miedzami do odległej o 3 km szosy Dubieńskiej. Tam wzięli ich Niemcy na samochód i zawieźli p. Kamińską z dziećmi do Młynowa, a Dobrowolskich do Dubna. Dobrowolscy zgłosili się zaraz całą rodziną na wyjazd do Niemiec. Gdy za kilka dni pojechałem do Młynowa, żeby się spotkać z Dobrowolskim, już ich w Dubnie nie było. O tej okropnej przygodzie opowiadała mi szczegółowo p. Kamińska.

Ze zbrodni w dniu 22 maja wyszła też z życiem p. Jachemkowa z dwojgiem małych dzieci, ponieważ w tym dniu od rana była w czeskiej wsi Krupa Granica. Tam doszła do niej wiadomość o okrutnym morderstwie córki Stasi i syna Stefana, oraz innych Polaków ze wsi. Do Jarosławicz już nie wróciła, a Czesi odwieźli ją do Łucka. Jachemkowa z córką wyjechała po wojnie do Detroit, a syn mieszka w Olsztynie.

Tak więc dzień 22 maja 1943 roku zapisał się w dziejach rodzin polskich w Jarosławiczach bardzo tragicznie i okrutnie. Zginęło łącznie z rodziny Jankowskich 3 osoby, Żukowskich 6 osób, Kwiatkowskich 6 osób, Jachemków 2 osoby, Suk 2 osoby, Przewłockich 5 osób. Dwadzieścia cztery osoby zamordowano w okrutny sposób, w biały dzień, w imię walki UPA o „samostijną Ukrainę”.

Do opisanego tego ludobójstwa przystępowałem dużo razy, ale uwierzyć mi, nie mogłem. Było to ponad moje siły. Teraz, kiedy już jestem w podeszłym wieku, postanowiłem, że muszę zostawić jakiś ślad z tamtych krwawych dni jakie miały miejsce w mojej rodzinnej wsi. Ten koszmar, mimo że upłynęło od tego czasu ponad pół wieku, męczy mnie stale we snach. Odpycham od siebie, jak mogę, myśli o tej wielkiej tragedii, ale one wracają coraz natarczywiej ; tak mocno utkwiły mi w pamięci. Współczuję bardzo wszystkim Wołyniakom, którzy musieli i muszą dalej żyć z tak potwornym obciążeniem. Kto tego nie przeżył, ten nie zrozumie, bo to naprawdę trudno zrozumieć, a jeszcze trudniej przeżyć.

„ZWYKŁY” LOS ZWYKŁYCH LUDZI

Ostatnio pozwolono nam mówić o czasach i przeżyciach Polaków na Kresach Wschodnich Polski w okresie dwudziestolecia międzywojennego. Póki jeszcze trochę tych, którzy tamte strony i czasy pamiętają żyje, a i ja do nich należę, trzeba, żeby i cała społeczność w Polsce obecnej o nich się dowiedziała. Dlatego postanowiłam trochę napisać. Nazywam się Zofia Stoś-Wierzbowska z domu Żołnik. Urodziłam się we wsi Zasmyki pow. Kowel woj. wołyńskie i od Zasmyk rozpocznę swą opowieść.

Jeszcze mój dziadek Jan Żołnik około 1882 r. przywędrował na Kresy ze wsi Grabówki Wielkie gm. Stoczek woj. siedleckie. Od właściciela majątków Worona i Rokitnica pana Mikołowskiego zakupił, wraz z grupą chłopów z woj. siedleckiego, około 35 morgów lasu. Chłopi polscy byli pracowici i cierpliwi. Mieszkali w ziemiankach i las karczowali. Do Zasmyk przybyło wówczas około 70 rodzin. Gdy swoją wieś opuszczali w 1944 roku w Zasmykach było około 100 gospodarstw.

Początkowo podstawą wyżywienia były zwierzyzna łowna i ryby. Później stopniowo na wykarczowanych kawałkach ziemi siali zboże, hodowali bydło, trzodę chlewną i ludziom było trochę lepiej. Z wyciętych drzew pobudowano mieszkania i zabudowania gospodarskie. Powstała wieś Zasmyki. Ponieważ na tamtych terenach, według zarządzenia carskiego, Polakom nie wolno było ziemi sprzedawać, więc mieszkali, nie będąc prawnie właścicielami zakupionych terenów i dopiero po 1905 roku ustawa ta została zniesiona i byli właściciel pan Mikołowski chłopów o tym powiadomił. Wraz z delegacją wsi pojechał aż do Wilna i sprawę załatwił. Dokumenty dostał każdy mieszkaniec wsi Zasmyki. Nazywano je „kupczami”. Do dziś pamiętam tę nazwę i ten dziadek dokument. Dziadek nie pamiętam zbyt dobrze. Umarł, kiedy miałam 5 lat. Ostatnie lata swego życia spędził leżąc w łóżku. Zapamiętałam, że gdy go wnuczki odwiedzały, to zawsze miał cukierki i nas nimi częstował. Dziadek miał trzynaścioro dzieci (dwie żony). Troje w latach dwudziestych wywędrowało do Stanów Zjednoczonych, dwoje umarło jako niemowlęta, jeden syn umarł mając 24 lata na zapalenie płuc. Dziadek i jego

dorośli syn oraz niemowlęta pochowani zostali na cmentarzu w Kowlu, gdyż Zasmyki należały do kowelskiej parafii.

Trzeba przyznać, że Polacy już przed I Wojną Światową byli na Wołyniu dosyć dobrze zorganizowani. W Zasmykach wtedy szkoły nie było, ale na okres zimowy przyjeżdżali do wsi tajni nauczyciele i uczyli dzieci. Wszyscy starsi ludzie umieli czytać i pisać po polsku, znali historię Polski i trochę podstaw matematyki. Mój ojciec, jeszcze gdy byłem w kl. V-tej, potrafił mnie przepytać z historii i matematyki. Dobrze też czytał i pisał po polsku. W naszym domu często wieczorami zbierali się sąsiedzi i ojciec czytał im głośno powieści historyczne. Już jako małe dziecko znałam „Krzyżaków”, „Trylogię” i powieści Dumasa. Siedziałam cichutko w kąciку i słuchałam jak te powieści czytano.

Dopiero około 1933 r. zaczęto w Zasmykach budowę szkoły i kościoła. Wcześniej uczyliśmy się w izbach wypożyczanych przez gospodarzy. Do wojny 1939 r. obie budowle zostały zakończone. Moja siostra, urodzona w 1928 r. już kończyła szkołę powszechną w rodzinnej wsi. Ja, o trzy lata od niej starsza, od piątej klasy uczęszczałam do szkoły im. Ignacego Mościckiego w Kowlu, a po jej ukończeniu do gimnazjum im. Juliusza Słowackiego w Kowlu. Do wybuchu wojny 1939 r. zdążyłam ukończyć tylko pierwszą klasę gimnazjum. Klasy drugą i trzecią kończyłam już w okresie okupacji sowieckiej. Nasi nauczyciele, ci sami, którzy nas uczyli przed wybuchem wojny, starali się nie zmieniać byłego programu nauczania. Przybyły nam obowiązkowo języki rosyjski i ukraiński, ubyla łacina.

Tak sprawy wyglądały do wojny niemiecko-sowieckiej, Niemcy bowiem na żadną naukę Polakom nie pozwalali. Zaczęły się czasy jeszcze gorsze. Polacy się nie poddawali. Już w 1942 r. w Zasmykach zaczęła działać konspiracja. Ojciec, a potem siostra i ja też do niej należeliśmy.

Ojciec Antoni Żołnik, były legionista, brał udział w walkach legionów pod Jastkowem koło Lublina, a potem pod Kościuchną nad Styrem na Wołyniu. Należał do POW. Musiał uciec z domu rodzinnego i pracował w tej organizacji na Lubelszczyźnie koło Urzędowa i Chodła. Z Zasmyk uciekł, gdyż Niemcy chcieli go aresztować. Po zakończeniu wojny 1918 r. wrócił do domu. Nie przyjął dawanego mu gospodarstwa koło Grodna, lecz zaczął pracę na własnej ziemi.

Gdy wybuchła wojna 1920 r. zorganizował 18 ochotników z Zasmyk i okolic do walki z Armią Czerwoną. Gdy Sowieci szli na Warszawę, oni walczyli pod Dubienką nad Bugiem. Później, w czasie sowieckiego odwrotu, na Białorusi. Ojciec często wspominał walki pod Chotłodecznem. Po zakończeniu wojny żaden z nich nie przyjął gospodarstwa jako „osadnik” na Białorusi, tylko wrócili do domu i gospodarowali na swojej ziemi. Jedynie Marceli Rowiński, który był ranny w walkach, otrzymywał rentę inwalidzką.

Po wybuchu wojny 1939 r., dosyć wcześnie w Zasmykach zaczęły działać tajne organizacje. Ja pamiętam je od roku 1942, gdyż też do nich zaczęłam należeć. Nawet nie pamiętam jakie one były. Otrzymywaliśmy początkowo tajne gazetki od różnych organizacji. Dopiero w 1942 r. pozostała jedna, która później została podporządkowana AK. Antoni Żołnik ps. „Komar” pracował w konspiracji od samego początku. Gdy zaczęły się na Wołyniu mordy całych grup Polaków i całych wsi, w Zasmykach zorganizowano samoobronę. „Komar” był odpowiedzialny za rozprowadzanie wart samoobrony w zachodnim końcu wsi. Zasmyki to była bardzo długa wieś, około 5 km i ochrona tak długiej wsi była dosyć uciążliwa. W naszym sadzie „wybudowano” ziemiankę z piecem do ogrzewania i tam się gromadzili wartownicy, a ojciec nimi kierował. Wartowali wszyscy dorośli mężczyźni.

W tym czasie do Zasmyk uciekało dużo Polaków z całego powiatu kowelskiego. Trzeba było im zapewnić jakie takie pomieszczenia, wyżywienie i możliwość zaspokojenia innych potrzeb. W zachodnim końcu wsi Antoni Żołnik był za to odpowiedzialny. Pamiętam, że tylko u nas mieszkało 5 rodzin, a ile ich było w ogóle, chyba nikt tego dzisiaj nie wie.

Samoobrona już oficjalnie zaczęła u nas działać od lipca 1943 r.. Na jesieni przeżyliśmy napad na sąsiednie wsie Batyń i Janówkę oraz Radomle, które to napady zostały odparte bez większych strat. Pierwszy napad na Zasmyki nastąpił 1 września. Wtedy zginęło dwóch partyzantów. Jeden z nich to Stanisław Romankiewicz z Radowicz. Okropny napad przeżyliśmy w czasie świąt Bożego Narodzenia. Ukraińcy napadli na Janówkę i Radomle. Początkowo samoobrona pochowała broń, gdyż myśleli, że to Niemcy. Zabiło wtedy 56 osób z Janówki i Radomia. Takie mieliśmy święta. Strzelanina była prawie każdego dnia, napady też i ciągle ktoś był ranny lub zabity.

Już od lipca 1943 r. dowódcą całej samoobrony zasmyskiej był Nadratowski ps. „Znicz”, a zorganizowanym już uzbrojonym oddziałem dowodził por. „Jastrząb”. Całej historii 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK nie będę opisywała, gdyż ją bardzo dokładnie przedstawił żołnierz tej dywizji „Ziuk” Turowski w „Pożodze”. Wróćmy do historii A. Żołnika.

Kiedy 27 Dyw. wyruszyła w lasy mosurskie, ojciec też do nich dołączył wraz z samoobroną zasmyską. Był przy kwatermistrzostwie. W czasie przejścia dywizji przez tory linii kolejowej został ranny i wzięty do niewoli przez Węgrów. Odesłano go do szpitala w Oleszowie koło Chełma. Leżał razem z „Trzaskiem” i Anatolem Kiełbasińskim, którzy spoczywają na cmentarzu w Chełmie. A Kiełbasiński to mój szkolny kolega z gimnazjum w Kowlu. Front się zbliżał. Obóz zaczęto likwidować. Młodych i silnych wysyłało do Niemiec, a słabych do Treblinki. Ojciec znalazł się w tej drugiej grupie. W czasie jazdy do Treblinki pociąg zatrzymał się w Sokołowie Podlaskim. Bombardowano stację. Strażnicy się rozbiegli, to samo zrobili więźniowie. Każdy uciekał z konwoju w inną stronę.

Ojcu udało się uciec. Przez Brześć nad Bugiem wrócił do domu. Działo się to w lipcu 1944 r. Mieszkaliśmy jeszcze w swojej spalonej wsi do końca 1944 r., ale Bronisława Zamościńskiego, Franciszka Wardulińskiego i Antoniego Żołnika nowe władze chciały aresztować za pracę w AK. Pierwszych dwóch aresztowano i przebyli kilka lat na Syberii. Ojciec miał szczęście, bo go powiadomił pan Niewiadomski o zbliżających się żandarmach. Udało mu się uciec i pod zmienionym nazwiskiem opuścić Wołyń...

MIEDZY ŻYCIEM A ŚMIERCIA

W niedzielę 28 sierpnia 1943 roku poszłam na nieszpory do kościoła, a następnie do Marcelki Muzyki dowiedzieć się czy ona wróciła ze szpitala w Lubomlu i co słychać, bo tak się coś szykuje na wsi (Ostrówki) ; dziewczęta drą bandażę z koszul i prześcieradeł, ludzie się zbiegają, jednym słowem, takie szamotochy. Jak poszłam do tej Marcyni, ona mówi - nocujcie u mnie, jutro pójdziem na mszę, wypowiadamy się, bo to już będzie nasz ostatni tydzień. I tak my się pokładli spać. Noc ciepła, gadamy, gadamy. Już świta, wszyscy śpią. Chłopcy nasi pochowali te trochę broni.

Rankiem cała zgraja ukraińska napadła na nas. Ludzie zaczęli uciekać w pole. Jak szłam do swego domu, to czujka ukraińska, która leżała za cmentarzem, mnie zawróciła. Niektórzy nasi zaczęli uciekać furami. Ja uciekałam w tę stronę za kościół, a od strony kościoła szedł czarny tłum, dzicz zbrojna i niezbrojna. Każdy miał coś w ręku : siekiere, kosę... Ja skrytałam się w kępę zboża, a Kaziuni Helenka z córką też. Znaleźli nas i zabrali do kościoła, gdzie spędzili dużo ludzi. My byliśmy koło szkoły. Chłopców oddzielili do Ilka na podwórze, jamy wykopali, tam pobili i zakopali, a nas zagnali do kościoła. U Ilka w studni utopili księdza Stanisława Dobrzańskiego. To był ksiądz, anioł dobroci, wielki człowiek. Innych ludzi też topili żywcem. W rowie też zakopali pobitych : jeden rów jest u Ilka, u Marcinka drugi. Dzisiaj chociaż niedowidzam, to bym pokazała, gdzie te rowy. Przez te 25 lat Polski (okres międzywojenny) myśmy traktowali ich jak ludzi, dawali, co mieli, a oni nam kule w łeb. W kościele ludzie płakali, krzyczeli, dzieci piszczwały. Ludzie składali śluby, że piechotą pójdziemy do Częstochowy.

Zaczęło coś szumieć, myśleliśmy, że kościół się pali. Kościół odemknęli, katy ręce pozakasali i zaczęli ludzi wywlekać ze środka. Jak nas już wynali z tego kościoła, to pognali aż pod Sokół, swoją wieś. Było nas ok. 550 osób z Ostrówek i Woli Ostrowieckiej. Z Woli kobiety i dzieci wjechały do Ostrówek w niedzielę 29 sierpnia. Chłopów pomordowali wcześniej. W kościele wszyscy się zaczęli szykować na śmierć, żegnać, całować. Jak zaczęli drzwi otwierać i wypędzać ludzi, ja myślałam, że będą palić kościół. Położyłam się

tam na grobie Pana Jezusa przy ołtarzu i tak sobie pomyślałam - Jezu Ty w grobie i ja do grobu. I tej chwili zasłona z grobu spadła mi na głowę. Nie wiedziałam jak zamknąć tę zasłonę. Helenka Paszczykowa mówi, że tam jest taka zaszczepka. Ja szukam i nie mogę znaleźć. Oprawca siedł i zaczął ludzi wypędzać. Doszedł do mnie. Wzięłam z ołtarza podpórkę pod mszał i podparłam zasłonę. Wstałam i mówię do Matki Boskiej Częstochowskiej - Matko Najświętsza, gdzie moje dzieci ? Jak już mamy ginąć to razem. Dzieci w domu, tam już pewnie pobite, a ja tutaj. O Boże, co ja przżyłam !

Jak już nas tam zapędzili, to nikt nie płakał. Brali po dziesięciu i jeden strzelał. Kazali się kłaść twarzą do ziemi. Oni strzelali kulami rozrywającymi. Obok mnie byli Michalina Wawrzykowa i jej chłopak. Jak się położyłam mówiłam taką modlitewkę - Święta Barbaro, święty patronie, oddaj moją duszę w Trójcy Jedynemu i Święta Barbaro w Świętym Sakramencie, proszę Cię, ratuj w ostatnim momencie, a gdy ja będę umierała, oddaj moją duszę Jezusowi w ręce - w tym momencie strzelił do mnie.

Zanim zaczęli nas mordować, to ja do tych Ukraińców tak mówiłam - niech wam łuska z oka zejdzie, bo nas wszystkich nie wybijecie. Zagranicą jest Polaków dużo. Wybiję wasza godzina, to się nad wami zemszczą. Jeden mi odpowiada - „Ty ich baczysz nie budesz”. A ja do niego - zabij mnie choć dobrze, żebym się nie męczyła. Jak się położyłam kula przeszła przeze mnie i oczy mi zasypała (strzał był w plecy, kula przeszła bok i palec u ręki). Ktoś przyszedł i kopnął mnie kilka razy i powiedział, że zabita. Ja żyłam, leżałam dłuższy czas. Po pewnym czasie oni zagwizdali i poszli. Usłyszałam, że ktoś rozmawia. Początkowo myślałam, że ktoś z nich został. Podniosłam głowę : słońce świeci, piękny świat ! Patrzę na dolinę, ludzie leżą. Kłerykowej Marcelki dwie dziewczyny Łucia i Jadzia, obie trzymały pod ręce braci. Marcelka miała roztrzaskaną głowę, Łucia miała ranioną głowę, Jadzia nic. Jadzia mówi - matko, tędy do Lubomla ! One wzięły się za ręce, a ja przez krew ludzi przesłam, obmyłam się w wodzie. Usiadłam i nie wiem, co robić ; czy iść do domu, czy do Jagodzina ? Ale Anioł Stróż mówi, że do Jagodzina.

Wola się paliła, dym. Po drodze spotkałam staruszkę Ulewicza. Pyta się „a kto Ewciu został ?”. Ja mu mówię, że Kłeryków Marcelki dziewczyny. Po całowaliśmy się, on nabił fajkę i pyta się „gdzie ty pójdziesz?” Ja - do Jagodzina. „A ja - mówi - do księdza z brzezinki. Posiedzę tam, bo mam zakopane pod pasieką pieniądze. Jak zabiorę, to będę miał na chleb.” On poszedł, a ja tędy na taką koło cmentarza. Patrzę, leci trzech naszych, co uciekli z Woli, mówią - „matko, już naszych wszystkich pobili w szkole”. Po drodze spotkałam Strażycę.

Przyjechałam do Jagodzina, tam na stacji wojsko mnie obandażowało. Niemcy przywieźli mnie do Dorohuska. Doktor Wadowski wziął mnie do

siebie, leczył. Byłam zrozpaczona. Chciałam i siebie, i Stasię (8 lat) utopić w Bugu. Zbliżała się zima. Byłam goła i bez dachu nad głową. Pomógł mi lekarz Wadowski.

Pod Sokolem ocalało kilka osób : Ewa Szwed, Czesław Lubczyński, Czesław Wasiuk, Wiesia. O tym mówić, to rana się otwiera...

Jadwiga Pakuła :

Nasze mieszkanie było koło drogi, więc poszliśmy na noc do Kłoców, dalej od traktu. Trochę zasnąłiśmy, kiedy mama wpadła i krzyknęła - idą ! My obie, z braćmi, zaczęłyśmy uciekać w tę stronę za kościół. Zabiegliśmy jak ten rów, który leciał od dworu. Tam wyjechali na koniach bulbowce i zawrócili : „Wracaj, albo strzelam”. Koło rowu było proso, upadliśmy w to proso. Leżeliśmy długo, słońce już było wysoko. Na pewno czyjeś głowy zdradziły. Przez ten czas odmówiłam trzy razy cały różaniec, kiedy nas znaleźli. Było nas więcej, ale nie pamiętam kto. Tyle pamiętam, że była żona Dąbrowy z dziećmi, ci co mieszkali u nas. Zapędzili nas do kościoła. Kiedy doszliśmy, wpędzili do kościoła przeważnie matki z dziećmi. Dołączyliśmy i tak nas pędzono w stronę cmentarza. Kiedy doszliśmy blisko borka, posypały się strzały z maszynowego karabinu. Chyba Niemcy. Bulbowcy niektórzy padali. Niedługo to trwało. Pędzono nas prosto drogą do cmentarza przez krzaki. Jeszcze koło cmentarza zabili starych organistów, bo nie dawali rady iść. Było gorąco, pot nas zalewał, kiedy nas pędzili. Budynki Janka, tam gdzie zabijali mężczyzn, paliły się.

Do dziś mam na sumieniu, że kazałam braciom wyrzucić czapki, bo są niepotrzebne, może w czapkach by tak nie trafili. Pędzili nas chyba parę kilometrów, między krzaki. Tu się zaczęło. Ewa Szwed z Woli zaczęła im mówić : „Za co wy nas zabijacie ? ...Po Żydach nabraliście złota, a po nas i tego nie weźmiecie”. Zaczęliśmy się modlić, odmawiać Anioł Pański, wieczny odpoczynek racz nam dać Panie.

Kazali kłaść się rodzinami, potem dziesiątkami i każdego z oddzielną strzelali. Jeden z takiego karabinu, drugi ręcznym maszynowym. Nie wiem, czy jakieś przeczucie miałam, że bez lęku położyłam się jak do snu, a że miałam dużą chustkę, nakryłam głowę, żeby nic nie widzieć. Strzały zaczęły się zbliżać do mnie, czekałam momentu śmierci i słyszę, że strzały oddalają się ode mnie, że zostałam nieknięta, że żyję. Boję się ruszyć, bo myślę, że stoję w krzakach. Siostra z jednym bratem, ja z drugim, miałam głowę opartą o jej nogi, musiała słyszeć, że oddycham i zapytuje mnie : „czy ty ciężko ranna ?”. Jeszcze się nie odzywam, bo myślę, może stoją w krzakach, patrzą, kto się ruszy. Drugi raz pyta : „Czy ty ciężko ranna ?”. Wiesz, że nie.

„To uciekajmy !” - Podniosła głowę, zobaczyłam, że jest ranna. Popatrzyła dookoła i mówi, że nie ma nikogo. Wstałyśmy. Popatrzyłam na braci; w głowach otwory po kulach. Trzyście i dziewięć lat ! Gdzie iść ? Siostra ranna ! Poszliśmy krzakami do traktu do Lubomla. W krzakach spotkałyśmy starszego Ukraińca z dziewczyną może dziesięcioletnią. Siostra zaczęła prosić, żeby zabrał nas do domu, ale on nie chciał. Wyszliśmy na Zapolę, na drogę. Siostrze niedobrze się zrobiło. Mówię : zostań na drodze, a ja pójdę, będę po ukraińsku prosić wody, że niby mnie bołą zęby. Na szczęście mieszkanie było zamknięte. Z koryta popiliśmy wody i poszliśmy dalej. Przed Lubomiem widzimy jakieś furmanki, nie wiemy kto, ale idziemy. To wyjeżdżały niedobitki z Kątów. Siostrze dały się napić mleka i jakoś doszliśmy do Lubomla.

Tam spotkałyśmy córkę starych organistów, która oczekiwała jakiejś wiadomości. Siostrę odprowadziłam do szpitala i po kilku dniach niemieckim transportem przyjechałyśmy do Chełma i dalej zaczęło się tulące życie.

Relację spisał Leon Popek.

Tadeusz Kański :

Prowadziłem notes z ważniejszymi wydarzeniami, ale wszystkie papiery i wspomniany notes zostały zabrane podczas aresztowania mnie w Lublinie. Zacznę od tego kiedy przybyli do nas „Sokół” i „Mohort” i otrzymałem polecenie, by wraz z ludźmi z konspiracji (w sumie kilkanaście osób) wyruszyć na rozpoznanie.

Po powrocie z wspomnianego zwiadu, po złożeniu broni i zabezpieczeniu jej, rozeszliśmy się po domach. W kilka dni potem otrzymaliśmy wiadomość, że jednej nocy w dwóch wioskach została wymordowana prawie cała polska ludność. Tymi wioskami były Ostrówki i Wola Ostrowiecka parafia Ostrówki, pow. Luboml. Wówczas otrzymałem rozkaz, aby ze swoimi ludźmi z konspiracji zgłosić się na placówkę w kolonii Nowy Jagodzin, to jest w sąsiedztwie wymordowanych wiosek.

Od tego czasu zaczęło się nasze życie partyzanckie, bo odtąd już nie wróciliśmy do domu. Po przybyciu na wskazane miejsce, otrzymałem rozkaz spatalować te dwie wymordowane wioski. W drodze do nich dołączyło do nas wielu młodych ludzi z bronią. Była to młodzież z kolonii Jagodzina, Jankowce i innych miejscowości. Po przybyciu w okolice Ostrówek, coraz częściej zaczęliśmy napotykać przy zabudowaniach pojedynczo pomordowanych ludzi, potem w mieszkaniach, w obejściach gospodarskich, w rowach przydrożnych i w ogóle na całej drodze.

Na pierwszą zbiorową mogiłę natknęliśmy się przy skrzyżowaniu dróg, z których jedna prowadziła w kierunku Woli Ostrowieckiej, gdzie znajdował się parafialny cmentarz. Przerazający obraz przedstawiała ta zbiorowa mogiła, która nie była nawet zasypana, chyba z braku czasu. Ciała były poukładane w wykopanym rowie, jedno na drugie, rzędami, głowami w jednym kierunku, a następny rząd głowami w odwrotnym kierunku. Na górnej warstwie ciał nałożono słomę i podpalono, wiatr jednak zwęgloną słomę zdmuchiwał. Ciała te wyglądały strasznie. Ta mogiła do dziś mi pozostaje w pamięci. Nie życzę nikomu czegoś podobnego oglądać.

W szyku rozwinętym posuwaliśmy się w kierunku cmentarza i Woli Ostrowieckiej. Na cmentarzu natknęliśmy się na bardzo dużo pomordowanych, leżących między mogiłami. Widocznie ludzie uciekali na cmentarz, by tam się ukryć, ale i tam ich banderowcy dopadli. Nie było dla nich miejsca nigdzie. Kilku uratowanych z rzezi, dzięki szczęśliwemu ukryciu, podażyło razem z nami. Przed Wolą Ostrowiecką ktoś zauważył, że w redlinach ziemniaczanych coś się poruszało, więc dałem rozkaz, aby posuwać się pojedynczymi skokami w tym kierunku. Okazało się, że była tam kobieta, która nie chciała się przyznać, że jest Polką. Mówiła do nas po ukraińsku i twierdziła, że jest Ukrainką na służbie u Polaków. Ale jeden spośród tych ocalałych stwierdził, że jest to jego własna ciocia. Mimo to ona w dalszym ciągu nie przyznawała się do tego pokrewieństwa i nadal twierdziła, że jest Ukrainką, nie mogąc uwierzyć, że jesteśmy Polakami. Z wielkim trudem zabraliśmy ją ze sobą i oddaliśmy pod opiekę kuzynowi.

Dalsze poszukiwania ułatwiały nam informacje ludzi, którzy pozostali przy życiu i szli wraz z nami. Na Woli Ostrowieckiej napotykanе pojedyncze ciała pomordowanych nie robiły na nas już większego wrażenia, zdążyliśmy się już trochę przyzwyczaić. Po wejściu do wioski jeden z kolegów wskazał mi studnię, w której było tyle nawrzuconych ciał, że nie było widać wody. Posuwaliśmy się w kierunku szkoły, gdzie jak nas informowano, spędzono wszystkich ludzi „na zebranie”. Idąc drogą, już nie daleko szkoły, napotkaliśmy leżącą kobietę z dzieckiem przy piersi. Dziecko było przygwożdżone widłami do matki i tak te widły sterczały w ciałach dziecka i matki. Gdy zbliżaliśmy się do spalonej szkoły, odór spalonych ciał był coraz mocniejszy. Szkoła była ogrodzona sztachetami, a ponad płotem rosły krzaki bzu i inne krzewy, coś w rodzaju żywopłotu. Przy wspomnianych krzakach, wzdłuż płotu, leżały ciała pomordowanych. Z pewnością byli to ci, którzy zdołali wymknąć się ze szkoły i chcieli ukryć się pod płotem, ale i tam dosięgła ich ręka morderców. Spod szkoły udaliśmy się na przeciwną stronę drogi, na koniec wioski. Rosta tam olszynka i tam znaleźliśmy nową zbiorową mogiłę. Ta już była zasypana ziemią.

Wioska rozciągała się z południa na północ i po spenetrowaniu południowej jej części, udaliśmy się do części północnej. Tu również znaleźliśmy

kilkoro ocalałych ludzi, którzy zakładali w zaprzęgi odnalezione konie i zabierali ocalały swój dobytek. Rozstawiliśmy ubezpieczenie, ludzie zaś bez broni zajęli się grzebaniem bliskich i znajomych. Według uzyskanych informacji, tu również wypędzono wszystkich na ulicę, kto zaś próbował ucieczki, został zamordowany. Za wioską znajdowało się pole z rosnącym zbożem. Od tego miejsca już sam ślad wskazywał drogę, którą pędzono wszystkich ludzi. Tuż za polem wznosiło się niewielkie wzgórze, porośnięte niedużymi brzoźkami i krzakami. Idąc w tym kierunku coraz częściej znajdowaliśmy rozmaite przedmioty : książeczki do nabożeństwa, chusteczki, fartuszki; chyba celowo rozrzucone. Tak idąc doszliśmy do wspomnianych krzaków, gdzie znaleźliśmy dwa zbiorowe groby, ledwie zasypane, tak, że spod świeżej ziemi przedostawała się piana zabarwiona krwią, miejscami zaś wyciekały strużki krwi...

Antoni Łysiak

Z KONSPIRACJI DO PARTYZANTKI

Rodzina moja składała się z 7 osób. Dziadek Adam 72 lata, ojciec - Konstanty 42 lata, matka Karolina z d. Dzirian 40 lat, brat Jan 24 lata, bratowa Eudokia 22 lata, brat Aleksander 16 lat. Z rodziny zostali zamordowani dziadek matka i ojciec.

Wiosną 1943 r. ksiądz Dobrzański w czasie kazań mówił, że na południu Wołynia Ukraińcy mordują polską ludność i należy zorganizować samoobronę na Ostrówkach i Woli Ostrowieckiej, gdyż były to wsie czysto polskie. Starsi ludzie ze wsi jak mój dziadek oraz ojciec nie wierzyli, aby coś takiego mogło się dziać, gdyż mieszkali wśród Ukraińców od dziada pradziada, znali się ze spotkań na jarmarkach i przecież byli to nasi sąsiedzi.

Od wiosny 1943 r. przez wieś przechodziły patrole UPA i penetrowały teren, badając czy ktoś ich nie zaczepi, ale nasi starsi koledzy nakazali spokój, aby ich nie drażnić. We wsi działała konspiracja i ja zostałem zaprzysiężony przez Ignacego Szweđa. Do konspiracji należał też brat Jan, który od czasu do czasu dawał do czytania biuletyny informacyjne.

Zbliżał się dzień 29 sierpnia 1943 r., była to niedziela. Nastrój we wsi był nerwowy, wszyscy spakowani, a lepsze rzeczy zakopane. Spowodowane to zostało tym, że kilku ludzi z Woli Ostrowieckiej poszło na Przekurkę i do Sokoła, a były to wsie czysto ukraińskie i nie powróciło do domów na wieczór. Już od pewnego czasu chodziły warty po wsi, a w tę niedzielę wokół wsi porozstawiano placówki. Ja i moi pięciu kolegów byliśmy koło mostu na rowie za Ostrówkami w kierunku Borowy, Przekurki i Równa. Mieliliśmy za zadanie powiadomić dowódcę placówki w przypadku pojawienia się Ukraińców. Na tej placówce byliśmy całą noc. Nad ranem gdy miało już świtać byliśmy przekonani, że już nie przyjdą i nie zaatakują wsi. Naszym uzbrojeniem były jedynie siekiery i widły. Uspokojeni zeszliśmy z placówki do domów. Ledwie zdążyłem położyć się na tapczanie, gdy nagle usłyszałem strzelaninę dochodzącą od strony Równa. Założyłem marynarkę, bo butów nie zdejmowałem i biegnę przed dom, gdzie stali moi matka i ojciec, i mówię do nich, że chyba się zaczęło. Było to moje ostatnie spotkanie

z żyjącymi rodzicami. Nawet się z nimi nie pożegnałem i dotąd nie wiem, gdzie leżą ich kości. Matka chyba na pewno z kobietami i dziećmi pod Korawcem.

Na drodze spotkałem sąsiadów : Romka Fotka (18 lat) i Tomka Muzykę i razem z nimi pędzę do środka wsi. Nigdzie nie widać ludzi, gdzieś się pochowali. Jesteśmy koło domu mego wujka Łukasza Praduna i mamy zamiar uciekać na Wolę Ostrowiecką, ale widzimy, że chodzą jakieś postacie, jedna od drugiej co 10 m i nie ma możliwości przejścia. W kierunku na Nowy Jagodzin też droga była odcięta, bo jak się okazało wieś była obstawiona; sąsiada Andrzeja Fronczaka, który jechał z rodziną do Jagodzina zmuszono do powrotu. Mówię więc do Tomka Muzyki, że musimy się ukryć, gdyż i tak nie przejdziemy. Poszedłem do stodoły wujka Praduna, Tomek do brata Stacha, a Romek Fotek mówi, że pójdzie do domu pożegnać się z rodzicami. I tyle gośmy widzieli, gdyż został zamordowany.

Skryłem się w stodole. Leżało tu nieomłócone żyto, a że kilka nocy nie spałem, to wkrótce usnąłem. Obudził mnie swąd dymu. Dokoła była cisza. Ostrożnie wyszedłem ze stodoły, wokół było pusto. Poszedłem do domu na końcu wsi. Wszędzie ryczały krowy i kwiczały świnię. Było to około godziny dwunastej. W domu zastałem wszystko porozwalane. Napoiłem krowy i wypuściłem je na łąkę za stodołą, napiłem się wody i zdecydowałem się iść do Jagodzina. Na drodze natknąłem się na ciało Stacha Fronczaka. Od dawna nie mógł on chodzić, gdyż miał paraliż kręgosłupa i pewnie z tego powodu zabili go w pobliżu domu. Leżał w rowie obok drogi. Paliło się wciąż w gospodarstwie Jana Trysiuka. Wówczas nie wiedziałem jeszcze, że tam mordowali mężczyzn ze szkoły, a następnie podpalili zabudowania, aby zatrzeć ślady mordu. Przyszedłem do Jagodzina i tam spotkałem kolegów, z którymi wkrótce wstąpiliśmy do oddziału partyzanckiego.

TRUDNO OPISAĆ

W dniu 29 IX 1943 r., w niedzielę po południu, doszła wiadomość, że zostaną wymordowane polskie wioski. Reakcje ludności były różne : jedni nie wierzyli w to, że ktoś tak ot sobie może przyjść i bez żadnej przyczyny wymordować polskie wsie, inni proponowali, aby wyjechać z rodzinami do Jagodzina, a jeszcze inni chcieli wioski bronić. Ta trzecia grupa dominowała. Niestety, w tej grupie nie było ani jednego człowieka, który by znał się na rzemiośle wojennym i miał jaki taki autorytet. Brak było też rozeznania co do siły i uzbrojenia napastników.

W nocy z 29/30 IX 43 r. koło mego domu uformowała się kolumna wozów, załadowanych rodzinami chcącymi opuścić wioskę, ale niestety, zostali zawróceni w celu obrony wsi i to spowodowało, że niepotrzebnie zginęło aż tylu ludzi, bo około 480 osób.

Wczesnym rankiem dnia 30 IX 43 r. wieś została ostrzelana na całej długości od strony południowej z broni maszynowej. Droga do Jagodzina została odcięta i gdyby nie wzniesienie, zza którego strzelali upowcy, wieś na pewno by się spaliła.

Chyba wszyscy się zorientowali, że aby bronić się przed taką siłą, trzeba by mieć co najmniej od ośmiu do dziesięciu erkaemów. Banderowcy weszli do wioski po opadnięciu mgły, oczywiście uspokajając ludność i zapędzając do szkoły najpierw mężczyzn, a potem kobiety i dzieci na zebranie. Przed pójściem do szkoły kazałem rodzeństwu i ojcu wejść pod ułożony stos bali, przygotowanych na budowę, a sam chciałem się zorientować w sytuacji pod szkołą. Niestety, ojciec i rodzeństwo przyszli za mną pod szkołę i już nic dla nich nie mogłem zrobić. Jeszcze jakiś czas chodziłem między spędzoną ludnością polską i uzbrojonymi banderowcami, obserwując ich uzbrojenie i umundurowanie. Po ich zachowaniu doszedłem do wniosku, że nie będą łagodni i nikogo nie oszczędzą, więc postanowiłem wycofać się spod szkoły, aby ukryć się w głębi wioski. Odszedłem od tłumu dopiero wtedy, gdy zaczęli spędzać mężczyzn do szkoły, a kobiety do kościoła. Kiedy od strony Zapola wkraczał tłum Ukraińców obojga płci z widłami i siekierami, wycofałem się

w głąb wioski z myślą, że nie dam się zarębać. Przebiegłem między domami mieszkalnymi, a budynkami gospodarczymi aż do gospodarstwa Szwedów i znalazłem się w pułapce, bo akurat oboje Szwedów przetrząsali Ukraińcy. Było ich pełno na głównej drodze. Kogoś szamoczącego się doprowadzali właśnie w kierunku szkoły. W tej sytuacji nie miałem innego wyboru jak wejść pod płot, który od strony Szwedów był zarosnięty pokrzywami, a w ogrodzie sąsiadów rosły dwa krzaki porzeczek i olbrzymie liście topianu. Tam się ukryłem. Długo leżałem bez ruchu, aż w pewnym momencie usłyszałem głos Ukraińca: „bacz hde win sedit”. Początkowo myślałem, że mnie zobaczył i to już koniec, ale w tym momencie przyszła mi druga myśl, że dopóki nie zobaczę lufy karabinu w płocie, nie zdradzę swego ukrycia i w tym czasie usłyszałem płacz chłopca, lat może 10-ciu, Feliksa Szveda, który był ukryty w kopcu po ziemniakach. Jeden z Ukraińców kazał go zastrzelić, drugi zaś kazał iść do szkoły i chłopiec z płaczem poszedł w kierunku szkoły.

Leżąc pod płotem w ukryciu, przeżywałem jeszcze dwa zagrożenia, a mianowicie: pierwsze to, kiedy przerażona krowa pędziła w głąb wioski między zabudowaniami, sadząc przez płoty jak koń wyścigowy prosto na mnie. Bojąc się, że mnie rozstrzela, poruszyłem się i to spowodowało, że nagle zahamowała tuż przede mną i zawróciła. Drugim zagrożeniem był pędzący na koniu Ukrainiec, który spojrzał w moim kierunku, kiedy się poruszyłem, ale widać nie miał już czasu na działanie, ponieważ po chwili do wioski weszli Niemcy.

Z ukrycia wyszedłem wówczas, kiedy usłyszałem głos komendy niemieckiej i wtedy spotkałem mojego ojca i jeszcze kilka osób, między innymi kolegę szkolnego, mówiącego jako tako po niemiecku, Bolesława Trusiuka. On to prosił Niemców o ratowanie kobiet i dzieci. Kiedy to nie pomogło, prosił o wypożyczenie broni, bo odległość pędzonych kobiet i dzieci nie była większa niż 500-600 m od wioski. Niestety broni też nie pożyczyl i uśmiechając się ironicznie odepchnęli go. W tym czasie stwierdziłem, że w studni Trusiuka, na podwórzu którego rozstrzelali mężczyzn, są zwłoki mojego pradziadka Władysława Kuwałka, liczącego 98 lat i trupy dzieci. Dzieci wrzucone do tej studni wyciągnięto później, ale niepodobna było je rozpoznać. Po wkroczeniu Niemców spomiędzy rozstrzelanych mężczyzn wstał Julian Trusiuk, który chciał ocalić kobiety i dzieci, między innymi moją matkę lat około 50 i siostrę Olę z dzieckiem. Julian został później żołnierzem 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK i zginął 2-go kwietnia 44 r. pod Zamłyniem. Miał pseudonim „Kowalski”.

Tego dnia niewielu wyszło z ukrycia, toteż nie można było zorientować się, ile osób ocalało. Ojca i stryja Aleksandra Trusiuka z synem Janem i ojca brata Tadeusza Kuwałka spotkałem zaraz po wkroczeniu Niemców do wioski. Natomiast o siostrze dowiedziałem się dopiero trzeciego dnia

w Lubomlu. Siostra była ranna pod Sokołem trzykrotnie od jednej kuli ; lewy bark, zbita czaszka pod prawym okiem i kostka prawej ręki. Opowiadała, że brat Henryk Kuwałek (11 lat) leżał zabity na jej nogach. Siostra miała wtedy 13 lat, wyszła z pobojuwiska już pod wieczór i w pobliżu pomordowanych przenocowała, a następnego dnia rano poszła do wsi Woła Ostrowiecka i tam ją znaleźli skrwawioną i słabą chłopcy z powstającej samoobrony Rymacze-Jagodzin. Przewieziono ją do szpitala w Lubomlu.

Wróćę jeszcze do momentu spędzenia ludzi pod szkołę, aby scharakteryzować przewrotność Ukraińców, którzy początkowo rozmawiali grzecznie, wręcz po przyjacielsku. Kiedy jeszcze w zachodniej części wioski słychać było detonacje granatów, lub pocisków moździerza, przybiegła z płaczem dziewczyna, chyba Janina Fotek lat 18, mówiąc, że mama jest ranna. Na to szybko zareagował upowski oficer : „Tamaro, idź opatrz ranną” - zwrócił się do sanitariuszki. Obie poszły w kierunku zachodnim. Nie wiem jak daleko ją odprowadziła Tamara, bo chyba do rannej raczej nie doszły, ale oficer podzielał uspokajająco na tłum, który z zaufaniem wchodził do szkoły. Po latach spotkałem kolegę, który opowiadał, że życie swoje zawdzięcza matce, która podczas rozstrzeliwania przykryła go spódnicą i własnym ciałem. Zanim z matką położył się w rzędzie do rozstrzelania, widział makabryczną i nieprawdopodobną scenę. Podczas układania, któregoś rzędu ludzi przeznaczonych do rozstrzelania, Ukraińiec strzelił do chłopca lat może 3-4. Pocisk zerwał mu wierzch czaszki i to dziecko wstało biegając to w jedną, to w drugą stronę, płacząc, z otwartym, pulsującym mózgiem. Ukraińiec powtarzał strzały, a dziecko wciąż biegło. Dopiero któryś z kolei strzał uciszył płacz dziecka.

Co do pozytywnych zachowań Ukraińców wobec Polaków, to też się zdarzały. Wujek Bolesław Kuwałek mieszkał ze swoją rodziną w pobliżu granicy z Przekurką i tam się przyjaźnił z dwiema rodzinami ukraińskimi. Jednego z tych rodzin nazywali Mikolus, drugi chyba nazywał się Makar, wrócił na początku 43 r. z niemieckiej niewoli po kampanii wrześniowej, był w Wojsku Polskim kapralem. Podczas napadu UPA na Ostrówki, Wołę i Jankowce, wujek pracował przy budowie domu jako cieśla w okolicy Lubomla i kiedy się dowiedział o masakrze, już nie miał po co wracać do Ostrówek, ale jego rodzina - żona Helena, syn Eugeniusz, córki Leokadia i Marysia, synowie Stanisław i Jan oraz siostra żony Katarzyna przeżyli tę masakrę. Wspomniani Ukraińcy ukryli ich u siebie i w ukryciu trzymali ok. 3 dni. Następnie przeprowadzili do przeprawy na Bugu w Przewozie i oddali wujkowi. Mieszkają teraz gdzieś na Dolnym Śląsku w okolicach Lwówka i Wrocławia.

Trudno jest pisać o tych wydarzeniach temu, który sam je przeżył i stracił prawie wszystko, co najdroższe, to tak jak rozdrapywać przyschniętą ranę ; czuje się wciąż ból w piersiach i dławi w gardle...

MORD W STODOLE

W poniedziałek rano 30 sierpnia 1943 r. przyszedł do mnie syn. Wkrótce przyszło do mego domu dwóch Ukraińców. My wcześniej pochowaliśmy świąteczne ubrania, buty pod podłogę i w drzewo kozuchy. Jeden z bandytów zapytał się : „nyma bilsze nykoho ?” - i zabrał nas : mnie, żonę i syna na zebranie do szkoły. Był tam sam ich przedstawiciel, tylko s...syn chytry był, stał za szkołą przy płocie. Przy pasie miał pistolet i szablę. Na placu było już dużo ludzi : kobiety, dzieci, starcy, mężczyźni. Pełne były dwie duże sale w szkole i plac przed szkołą - w sumie około 300 osób, ale jeszcze ciągle spędzali. Ten ich przedstawiciel powiada : „ot, nasz komandir przyjedzie za piwhodyny i was pouczy”. Delikatnie, cholera, bo to wszystko chłopcy byli! Wszystko w kawalerii służyli. „Tylko nie szłać się po placu - mówić - zajdźcie do szkoły”.

No więc wszyscy idą do szkoły na zebranie. Ale co się robi... Jak tylko zaszliśmy do szkoły, to zaraz wszystkie okna zostały obstawione przez Ukraińców. Niebawem wzięli czterech mężczyzn na „badanie”, za chwilę drugich czterech, potem trzecią i czwartą czwórkę mężczyzn. Nikt nie wracał z „badania”, strzału żadnego jednak słyszeć nie było. Zauważyłem jednego oprawcę z siekierą, taką krótką do rąbania gałęzek. Dalej za domem stało ich dużo, tylko się ukrywali, żeby ludzie nie zorientowali się o co chodzi. Piąty raz wzięli dziesięć osób, szósty raz znów dziesięć, siódmy raz wzięli i mnie na „badanie”. Obstawili nas dookoła i mówią : oddajcie broń, zegarki, bo jak dostaniecie w skórę, to i tak będziecie musieli oddać. My mówimy, że nie mamy ani broni, ani zegarków. Doszliśmy do budynków Strażycy. Ja patrzę, stodoła u Strażycy była na dwa klepiska, jedno drzwi były zamknięte, jedno otwarte. Obok drzwi obory też otwarte. Patrzę dalej, a tam na pole widać drzwi z tyłu stodoły pootwierane. My podeszliśmy z pięć może mniej metrów i jeden z nich krzyknął : „siadać i rozbierać się !” Wszyscy posiadali. Kto się rozebrał, to zabierali za te zamknięte drzwi. Tam za drzwiami był wykopany rów i z klepiska prosto do rowu. Zabijali siekierami. Podeszli do mnie : „rozbieraj się !” Miałem na sobie porwaną koszulę

i spodnie, świąteczne ubranie zostawiłem specjalnie w domu. Rozbierałem z butów, ubrania ; zostawiając w koszuli i kalesonach. Jeden z nich mówi : „puszczaj chaj ide”. Gdy wszedłem za drzwi, na lewo zobaczyłem kupę ubrań, na prawo zaś butów. Cofnąłem się. „Niet, niet, nie tudy, tudy” - mówi jeden i pchnął mnie lekko do przodu. Tok był obstawiony. Uderzali siekierą i do dołu. Jak on mnie pchnął, to ja między nimi i w pole ! Ten lucyfer co stał nad nimi krzyknął : „strilaj !”. Padł pojedynczy strzał. Nie trafił mnie. Następnie z karabinu maszynowego dostałem serię w pośladki i w nogi z odległości kilku czy kilkunastu metrów. Z bólu aż przysiadłem. Zaczęły się krzaki, ciągle uciekałem, bez przerwy też strzelali. Kule gwizdały mi nad głową, strącając gałązki. Gdy dobiegłem do Przychodka (nazwa łąki) dostałem kulę w ramię. Skończyły się krzaki, zaczął się odkryty teren, rów z wodą i druty kolczaste - ogrodzenie. Zaczepiłem się paskiem na drutach, pasek zostawiłem. Chciałem schować się na Jaśkach (nazwa łąki), lecz zobaczyłem, że dwóch upowców ściga mnie nadal i strzela do mnie. Chciałem dobiec do Ludwika, ale tam mogli mnie złapać. Przeskoczyłem kładkę i skierowałem się na Rogową Niwę (nazwa pastwiska), jeden kilometr długości. Tam dostałem kulę w pierś. Uciekałem takim zygakiem cały czas, aż dobiegłem do lasu. Do mieszkań nie uciekałem, bo tam mogli być i rabować. Jak dobiegłem do lasu, to przestali strzelać. Nie oglądałem się. Bałem się. Tak zawzięcie strzelali, bo nie chcieli, żeby pozostał świadek ich mordów.

Smulska Marianna, córka „Hrabinki” ocalała ze stodoły Witia, opowiadała, że z kolonii przypędzali ludzi do stodoły, bo w szkole już nie było miejsca. Widziała jak w ostatniej dziesiątce pędzili na śmierć Jana Szweda (mego dziadka) i Antoniego Smulskiego.

Jak dobiegłem do lasu, przeleżałem całą noc bez przytomności. Rano obudziłem się w kakuży krwi. Potem spotkałem Walczaka, Juliana Szweda i Karolinę Szwed, która porwała chustkę z głowy i przewiązała mi ramię. Krew ciągle mi leciała. Przez jakiś czas szedłem razem z nimi. Bolały mnie ręka i noga. Oni mnie zostawili. Doszedłem do Równa. We wsi nikogo nie było. Sam nie wiedziałem dokąd idę. Zaszedłem do Antona (ogrodnik) i do Giecyka. Wołałem, ale nikt nie odpowiadał. Nagle zobaczyłem babę z drągiem. Zapytałem gdzie Giecyk i poprosiłem o wodę. Gdy ona poszła, zdrał mnie wielki strach. Zacząłem uciekać na łęgi. W olszynie odpocząłem - przewróciłem się. Przez przestrelone płuca uciekało mi powietrze. Poleżałem, zrobił się dzień, poczułem się silniejszy i zacząłem wstawać. Koszula i kalesony były całe we krwi, jeden wielki skrzep. Próbowiałem, ale nie mogłem wstać. Podczołgałem się do krzaka, chwyciłem go zdrową ręką i za którąś próbą wstałem na nogi. Doszedłem do Buga.

Gdy chłopcy na placu chciały się bronić, to Kacper Oleśko był przeciwny, mówił, że jak będziemy uciekać, to nas pozabijają, a tak to nas pobadają i puszcza.

Do Bugu podwiózł mnie Buszko. Z drugiej strony przypłynęło łódką dwóch chłopaków i zabrało mnie do doktora Stępkowskiego. Maria z Równa dała mi koszulę, kalesony, przebrała mnie. Zawieziono mnie do Chełma, do szpitala.

W szkole zginęła moja żona. Po roku 1944 byłem na Woli i w Ostrówkach. W studni były jeszcze trupy ludzkie. Bandyci zabili mi trzech synów i żonę. Mnie i matkę ciężko ranili.

Relację spisał Leon Popek

DLACZEGO ?

Wszystko co opisuję, wiem od najbliższej rodziny i od osób ocalałych z tej pożogi. Wychowałam się w atmosferze nieustającego bólu, głębokiego żalu i nieustannie zadawanego pytania - DLACZEGO ? W poczuciu obowiązku wobec pomordowanych, w większości moich krewnych oraz wykonując zobowiązania wobec Matki, która zawsze mnie do tego zobowiązywała, piszę to, co mi wiadomo.

Wieś Doszno, o której piszę, oddalona jest od Kowla o 27 km i sąsieduje z gminną wsią Datyń i kolonią Wilimcze. Z legend i zachowanych dokumentów wynikałoby, że dwaj rycerze Bolesława Chrobrego po wyprawie na Kijów otrzymali akty nadania ziemi położonej wśród tutejszych głębokich lasów i bagien. Jeden z nich, Kosiński pochodził z Woli koło Warszawy, drugi, Rubinowski, również późniejszy szlachcic zagrodowy pochodził z Kaszub, z miejscowości Rubin, Rubinów czy Rubinowo. Kiedy po długiej podróży wraz z rodzinami i dobytkiem doszli do przyszłej osady nazwali ją DOSZNO. Przed II Wojną Światową wieś liczyła około 60 domów i 100 - 120 mieszkańców, w większości Polaków. Wszyscy byli ze sobą spokrewnieni, nawet z Ukraińcami. W większości nosili nazwiska Kosińscy lub Rubinowscy, albo wywodzili się z tych rodów.

Po odzyskaniu przez Kraj niepodległości we wsi przeprowadzono komasację, wybudowano dużą piętrową, siedmioklasową szkołę i kaplicę, do której w co drugą niedzielę przyjeżdżał pochodzący z Łomży Kapucyn. Ponieważ kaplica nie była zamykana, wszystkie rzeczy związane z odprawianiem Mszy Św. były przechowywane u mego dziadka w domu Bolesława Rubinowskiego. Księdza Kapucyna w początkowym okresie okupacji sowieckiej wywieziono i ślad po nim zaginął.

We wsi działały takie organizacje jak harcerstwo, Strzelcy, Koło Gospodyń Wiejskich itp. Prowadzony był zespół teatralny i chór, z którym m.in. i moja mama była dwa razy na występach w Warszawie. Zespół artystyczny dawał też przedstawienia m.in. „Zemstę” Fredry, „Balladynę” Słowackiego i cały szereg innych przedstawień związanych z historią Polski. Podczas

komasacji wykrojono 30 arowy plac na świetlicę, ale świetlicy nie postawiono, gdyż wybuchła wojna.

Z rodu rycerza Kosińskiego pochodził mój ojciec Władysław Kosiński, z rodu zaś rycerza Rubinowskiego pochodziła moja mama Franciszka. Ojcem matki był Bolesław Rubinowski, głowa rodu, który urodził się w 1896 r. jako syn Floriana Rubinowskiego i Ewy Chrapczyńskiej. Był wysokiego wzrostu ciemnym blondynem z sumiastym wąsem - powszechnie zwano go „Bolesławem Chrobrym”. Jak każdy Wołyniak był urodzonym myśliwym i rybakiem.

Przed wjazdem do wsi od strony szosy kowelskiej stał drewniany krzyż katolicki, bardzo stary, wymieniony na nowy w okresie międzywojennym.

Tradycją było w tej rodzinie, że jeden z synów tego rodu otrzymywał imię Bolesław. Ojciec Bolesława, Florian był uczestnikiem Powstania Styczniowego. Oprócz gospodarstwa zajmował się m.in. odnawianiem cerkwi, co pomagało mu w jego działalności konspiracyjnej, gdyż mógł poruszać się swobodnie po całej guberni. Zginął, spadając z rusztowania. Matka Ewa z domu Chrapczyńska była nauczycielką. Nauczała tajnie polskie dzieci polskiej historii. Wg. opowiadania mojej babci nie raz sypały się na nią kozackie nahaje, za to, że pod „Historią Rosji” dzieci miały ukrytą „Historię Polski” lub katechizm.

Bolesław Rubinowski ożenił się z Anną Brzezicką, pochodzącą z Postupła. Była ona córką Juliana Brzezickiego i Walerii z domu Rubinowskiej. Julian Brzezicki był uczestnikiem Powstania Styczniowego, po upadku którego ukrywał się. Skonfiskowano majątek, żonę z trójgiem dzieci wypędzono. Moją babkę Annę wychowywało bezdzietne wujostwo właśnie w Dosznie. Julian Brzezicki powrócił do rodziny wraz z Legionami. W okresie wolnej Polski był wójtem. Ojczyzna zwróciła mu majątek, skonfiskowany przez carat. Zmarł przed II Wojną Światową. Natomiast córka jego Anna została w 1914 r. wydana za Bolesława Rubinowskiego. Bolesław Rubinowski był szanowany nie tylko przez rodaków. Ukraińcom załatwiał różne sprawy dnia codziennego, cieszył się ogromnym poważaniem, czego dowodem było częste zapraszanie go na „kurna”, czyli ojca chrzestnego.

Tragedia 1939 r. dotknęła Doszno jak wszystko na tych terenach. Po wkroczeniu Armii Czerwonej tylko jeden człowiek paradował w czerwonej opasce po wsi. Był nim Żyd Meller. W dwa dni po wkroczeniu rozstrzelano sołtysa. Wczesną wiosną 1940 r. został aresztowany Bolesław Rubinowski i z wyrokiem śmierci siedział w więzieniu, aż do wkroczenia Niemców.

Kiedy po napadzie Niemiec na Polskę wieś zapełniła się uciekinierami z zachodniej i centralnej Polski, w domu Bolesława Rubinowskiego znalazły schronienie trzy rodziny z dziećmi. Na wieść o wkroczeniu Armii Czerwonej wszyscy uciekinierzy ruszyli w kierunku południowej granicy, namawiając mieszkańców wsi do wspólnej ucieczki.

W domu mego dziadka gościli również wojskowi, tu się przebiegali i zaprowiantowani ruszali na południe. Był wśród nich kapitan lub major, wysoki, ciemny, z wąsikami, który przy oddawaniu czapki babci powiedział „niech Pani to zachowa, ja tu po nią wrócę”. Wypolerował rękawem daszek rogatywki i przy ogólnym żalu wyszedł wraz z dziadkiem, który już wówczas zaczął transportować uciekinierów na zachód. Prowadził ich dalej, do znajomego, a ten przekazywał następnemu i tak aż do granicy. Byli w to początkowo zaangażowani również i Ukraińcy.

Któregoś dnia, wiosną 1940 r. mój ojciec wraz z babcią, będąc w Kowlu, zobaczyli jak kilku Rosjan pędziło pod karabinami trzech ludzi, wśród nich księdza w sutannie i znajomego geodetę, który w latach 20-tych prowadził we wsi komasację. Na pytanie ojca za co zostali aresztowani, jeden z konwojentów odpowiedział z rechem „niczego, adnawo Polaczka ubiosz, adnawo wroga miensze”. Ojcu ugięły się kolana i przez całe życie o tym wspominał. Wpędzili ich za pobliski parkan, usłyszano trzy wystrzały i oprawcy wyszli. Był to teren fabryki.

Z dnia na dzień rosła nienawiść między Polakami, a Ukraińcami. Dochodziły słuchy, że to tu, to tam kogoś zamordowano. Pod Synowem, mocno bandyckiej wsi, wymordowano oddział cofającego się polskiego wojska. Mordowano nawet Ukraińców jeśli byli w polskich mundurach.

21 czerwca 1941 r. znajomy Ukrainiec Grabowski ze wsi Wilimcze zawiadomił moją babcię, że wszyscy Polacy zostaną wywiezieni na Syberię wczesnym rankiem 23 czerwca. Widział już przygotowaną listę. Ukrainiec przyjaźnił się z moim dziadkiem, wiadomość przekazał mojej babci w głębokiej tajemnicy. Tej nocy nikt nie spał.

Radość jaka zapanowała w niedzielę 22 czerwca na widok niemieckich samolotów, które ukazały się nad wsią była w tej sytuacji zupełnie zrozumiała. Po wkroczeniu Niemców, do domu przyszedł piechotą z Kowla, wypuszczony z więzienia mój dziadek Bolesław Rubinowski. Wolność też przyszła dla ukrywającego się we wsi u swojej ciotki Zarzyckiej Henryka Maliszewskiego. Był podoficerem Wojska Polskiego, synem leśniczego z odległej o 20 km leśniczówki Smolna. Zjawił się z nieznanym bliżej kapitanem W.P., który postanowił przedzierać się do Warszawy. Maliszewski zaś, będąc wśród swoich, pozostał na miejscu. Niestety latem 1943 r. bandy ukraińskie zamordowały go wraz z jego rodziną. Było to na dwa, trzy tygodnie przed wymordowaniem mieszkańców Doszna. Dziadek był tak wstrząśnięty tym mordem, że postanowił wyjechać natychmiast po wykopkach. Na razie miał inne zobowiązania. Na bagnach Podborocza ukrywali się Żydzi. Ani babcia, ani moja matka nie wiedziały ilu ich było. Wiedziały tylko, że były wśród nich dzieci. Dziadek zawsze tłumaczył babci, że lepiej żeby nie wiedziała, bo jak ich złapią, to tylko on zginie, a tak wymordują wszystkich. Miał tym Żydom zrobić na zimę zapas kartofli. Mimo okupacji często chodził na polowania.

Miał dubeltówkę, flower i karabin. Z polowania rzadko coś przynosił do domu. Zostawiał tym ukrywającym się. Był też rybakiem i współwłaścicielem jeziora w Dosznie. Często ukrywającym się dostarczał złowioną rybę, zaopatrywał w kaszę, groch, fasolę i chleb. Ukrywających się Żydów spotkał przypadkowo na polowaniu. Czy przeżyli tego nikt nie wie. Była to tak głęboka tajemnica, że oprócz babci nikt o tym nie wiedział.

Tymczasem wieści docierające do Doszna były tak niesamowite w swej grozie, że po prostu w nie nie wierzone. Sprzeciwiano się postanowieniu mojego dziadka, że wszyscy Polacy muszą wyjechać do miasta zaraz po wykopkach. Większość nie zgadzała się z tą decyzją, tłumacząc sobie, że skoro mieszkają tu od wieków i nic złego nikomu nie zrobili, to i nadal będą żyć w spokoju. Jednakże po wymordowaniu 11 mieszkańców leśniczówki Smolnej w nocy już nikt nie spał w domu.

27 sierpnia, w wigilię ukraińskiego święta Matki Boskiej Zielnej, wieczorem na ziemi Bolesława Rubinowskiego zebrała się polska młodzież. Przy ognisku grano i śpiewano do późna w nocy. Napadu ze strony band ukraińskich nie spodziewano się, gdyż dwaj mieszkańcy wsi: Stanisław Chrapczyński, który bywał na zebraniach banderowców i Iwan Kosiński zw. „Iwanko”, który nawet prawdopodobnie brał udział w mordach, zapewniali, że niczego bać się nie trzeba, bo przecież oni sami na czas w razie czego uprzedzą. Niestety, świt następnego dnia miał się okazać potworny.

Relacja mojej babci Ani: „Mój mąż Bolesław wrócił do domu gdzieś koło szóstej rano. Zawsze sam gonił krowy do pastucha, ale tym razem zbudził mnie i powiedział - pogoń krowy Anka, bo zmarłem i coś się źle czuję. Nasz pastuch Michałko uprzedził, że tego dnia nie przyjdzie, bo jest chory. Zawsze krowy pędziło się drogą nad lasem, na Datyń, ale kiedy otworzyłam chlew, krowy jak zwariowane pobiegły same nad jezioro i nie dawały się zawrócić. Pogoniłam je więc tak jak chciały nad jezioro. Kiedy je przypędziłam, pastuch Ukrainiec był mocno zdziwiony. Droga biegła od Datynia. Tędy szła banda do Doszna. Wracałam tą samą drogą i byłam już niedaleko domu, kiedy z trzcin wypadł nagle zakrwawiony Florek, krzycząc: „Anka, uciekaj! U ciebie już nikt nie żyje!”.

W domu byli mąż i córka Janina, druga córka mężatka Frania z wnuczką od pewnego czasu mieszkającą u teściów córki. Nie wiem jak długo kryłam się w trzcinach, w końcu poszłam do domu. Doszłam do rogu gumna, które stało najdalej ze wszystkich zabudowań. Patrzyłam jak bandyci ładują na furmanki świnię, wydzierają pszczołom miód, strzelając do uli, wynosząc z domu różne rzeczy. Odwróciłam się i odmawiając różaniec, już nawet nie kryjąc się, wróciłam nad jezioro. Prosiłam tylko Boga, żeby strzelili mi w plecy, żeby nie męczyli. Przeleżałam cały dzień w oczerecie nad jeziorem. Nie czułam ani pragnienia, ani łaknienia.”

Relacja mojej matki Franciszki Kosińskiej : „Tej nocy mąż mój z młodszym bratem, jak to od kilku dni już było, spał w stodole. W domu byli teści, teściowa i trzy siostry męża. Było już dobrze widno, kiedy z dzieckiem na rękę podeszłam do okna. Zobaczyłam jak wzdłuż jeziora biegnie Józef Sawicki, a za nim goni na koniu banderowiec z wyciągniętą ręką, z szablą w dłoni. Kiedy koń już wyprzedził Sawickiego, banderowiec machnął ręką i głowa ściganego zawisła na plecach. Trup z wiszącą głową biegł jeszcze kawałek drogi. To trwało sekundy.

Z dzieckiem na rękę przeskoczyłam połą drogę obok chaty i znalazłam się w życie. Było już chyba południe, kiedy córka mocno wtulona w moją szyję szeptała - mamusiu pić. Na wsi jak mi się wdawało panowała już cisza. Weszliśmy do chaty Ukraińca. Jeszcze nie zdążyli podać mi wody, kiedy przed dom zajechała banda na koniach. Może 30, może 40 ludzi. Do domu wszedł jeden i od progu zapytał : „hde tu Polaczka Frania ?” Stałam na przeciw niego patrząc pilnie w jego oczy. Odparłam po ukraińsku - a jeżeli to ja Polaczka Frania, to nie wolno mi żyć ? Dziecko przyczepione do mojej szyi szeptało : „nie mów po polsku, nie mów po polsku...” Modliłam się, patrząc mu w oczy, których nigdy nie zapomnę. Modliłam się do Matki Przenajświętszej, żeby mnie skryła choćby pod skrawek swego płaszcza. Modliłam się całą swoją duszą i każdą cząstką ciała. Widziałam ten Płaszcz i niemal widziałam jak z dzieckiem chowam pod niego głowę. Mój gospodarz tymczasem przekonywał Ukraińca, że tu nie ma żadnej Polaczki Frani, a ta, to „niespełna rozumu”. „A gdzie ona brała ślub ?” - dopytywał się tamten. „No jak gdzie ? W cerkwi, a gdzie mogła brać ?” Przez cały czas bandzior nie spuszczał ze mnie oka, ani ja z niego. W końcu klepnął nahaitem po cholewach, machnął ręką i powiedział : „chaj żywe !” Wyszedł przed dom, podano mu konia, machnął ręką przy wsiadaniu i bandyci zaczęli odjeżdżać. Zauważyłam tylko siekiere przytroczoną do konia. Nagle usłyszałam za sobą jakiś łomot. To gospodarz próbując usiąść na krześle zwałił się na podłogę. Dostałam jakichś drgawek, ząb nie trafił na ząb. Próbowałam pomóc wstać, ale nic z tego nie wyszło. Reszta domowników stała jak zahipnotyzowana. Ile czasu tak upłynęło, tego nie wiem. Cały czas byłam skupiona na modlitwie. Wszedł inny sąsiad, Ukrainiec i powiedział : „nu, wże rezunów ne ma”.

Wybiegłam z domu i wpadłam do obok stojącego dużego dwurodzinnego budynku moich stryjów, mieszkających z rodzinami i babunią Ewą. Moi stryjeczcy Florian i Piotr Rubinowscy i nasz kuzyn Kazimierz Jedynowicz leżeli twarzami do ziemi, przybici do podłogi bagnetami. Pod jabłonią, tuż koło progu leżały stryjenki z dziećmi. Gienia trzymała najmłodszego dziecko w objęciach. Ona i jej synek mieli rozrąbane głowy. Sabina, stryjenka miała rozrąbaną głowę i odarta była z odzieży. Przy dwóch piersiach leżały dwa bliźniaki, jej ośmiomiesięczne dzieci. Zobaczyłam babunię, która stała lekko

pochylona, tyłem do mnie, oparta o dom. Myślałam, że żyje. Była przybita bagnietem do domu i tak skończyła stojąc.

Jak oszalała biegałam od domu do domu i w końcu dobiegłam do moich rodziców na kolonii. Ojciec leżał koło łóżka w białej bieliźnie też przybity bagnietem do podłogi, twarzą do ziemi, z narzuconym ściągniętym z łóżka siennikiem. Siostra Janina była ubrana w białą świąteczną sukienkę, uczesana z rozpuszczonymi włosami, przepasanymi niebieską wstążką, skulona leżała w pokoju pod stołem. Zginęła od strzału w serce. Nie znalazłam trupa matki. Biegałam po zabudowaniach szukając jej. Pobiegłam dalej na kolonię do trzech ciotek, starych panien „Cyrylanek”, tak nazywanych od imienia ich ojca Cyryla. Nie było w domu nikogo. Michalinę znaleziono później niedaleko na polu kartofli z odrąbanymi rękami i nogami. Stasię i Hanię zamordowano we wsi. W spiżarni znalazłam zmasakrowane, ze związanymi drutem kołczastym rękami zwłoki ciotki Karoliny Jedynowicz, jej syna Tadeusza i pasierbicy Józefy. Drugi jej pasierb Bronisław mieszkał z żoną i trojgiem dzieci osobno. Wyprowadzono wszystkich do stodoły i tam znalazłam nie do opisania zmasakrowane ich ciała.

Żona Kazimierza Jedynowicza Maria na widok ludzi na podwórku wujenki Karoliny poszła zobaczyć co się dzieje. W tym czasie najstarszy syn wyniósł jedno z dzieci kalekich, które nie chodziło na podwórze. Na widok matki wracającej i popychanej przez nieznaną ludzi dzieci pobiegły na podwórze sąsiada Ukraińca. Wkrótce potem matkę wraz z dzieckiem kaleką znaleziono okrutnie pomordowanych. Trójka ocalałych dzieci przesiedziała do wieczora u sąsiada, który dał im na drogę chleb i słoninę i wskazał drogę do Wilimcza do ich babci.

Ewa Rubinowska za cara wychodziła dwa razy za męża za Ukraińców i z każdego tego małżeństwa miała jednego syna. Syn z pierwszego małżeństwa był kaleką. Trzeci raz wyszła za męża za mego kuzyna Leona Rubinowskiego. Mimo, że brała ślub w kościele katolickim uchodziła za Ukrainkę, tak jak i jej synowie. Na jej i synów oczach zamordowano męża Leona i zabrano młodszego syna (lat 16-17)), aby wskazywał mieszkania Polaków. Przeprowadził oprawców do rodziny Pawła Rubinowskiego. Tu kazali mu wspólnie zamordować Karolinę Rubinowską, jej matkę i troje dzieci, aby tym udowodnił, że jest Ukraińcem. Pomagał przy tej zbrodni, a następnie uciekł. Bandyci ze wściekłości zamordowali jego przyrodniego brata, kalekę.

Na podwórzu siostry matki Pauliny Rubinowskiej znalazłam dwa zmasakrowane trupy kobiet. Były to ciotka Paulina i jej córka Antonina. Nie było syna Władzia.

Tak biegałam przez cały dzień z dwuletnią córką na ręku od domu do domu, od rodziny do rodziny. Nie płakałam, nie mogłam płakać, tylko czułam piasiek w oczach. Dopiero nad wieczorem mąż odciągnął mnie z dzieckiem do lasu koło cmentarza. Tu, kiedy było już ciemno, mąż przyprowadził

moją matkę, a następnie znalazła się przy nas córka siostry mojej matki Józia. Zaopiekowali się nami Ukraińcy z Wilimcza, którzy przynieśli mleko dla dziecka i jedzenie.

Przez około 10 dni ukrywaliśmy się w lesie. Opiekowali się nami wciąż ci sami Ukraińcy z Wilimcza. Ukrainiec Sawluk najpierw wziął moją matkę i Józję i przeprowadził je do Ratna, a w parę dni później drugi Ukrainiec, którego nazwiska nie znam, a tylko przezwisko „Hrypuczy Romanko”, przeprowadził mnie z dzieckiem, męża i jego stryjecznego brata również do Ratna. Pamiętam jak raniutko przyszedł z siekierą, na której widok krzyknęłam, ale on wyjaśnił, że będzie szedł pierwszy, niby zaciąsywać drzewa do wyrębu. Córka jego Maria przyniosła bochenek chleba i klinek sera na drogę, żegnając nas z płaczem. W Ratnem wszystkimi uciekinierami z Doszna zajmował się i bardzo pomagał Ukrainiec Kozioł oraz jego żona.

Nie mogłam płakać nawet po miesiącu, kiedy byliśmy już w Zabłociu u męża siostry, który pracował w folwarku. Zachorowałam. Przyszedł niemiecki lekarz, który dość dobrze mówił po polsku. Kiedy mnie zbadał, rozpytał o nasze przeżycia. Nagle znenacka uderzył mnie w twarz coś krzycząc po niemiecku. Rozpłakałam się. Zaczął mnie uspokajać i powiedział, że teraz wrócę szybko do zdrowia. Powiedział, że tak mnie było trzeba leczyć. Płakałam kilka dni. Ze swą matką, która była mi ogromną podporą, nigdy nie rozstałam się, aż do jej śmierci.

Relacja Aliny Brdęk z domu Rubinowskiej : „Wieczorem przed tym tragicznym dniem poszłam spać na siano nad chłew, do mojej koleżanki, z którą się bardzo przyjaźniłam - była moją kuzynką. Był z nami jej brat Janek. Rankiem zbudziła nas okropny krzyk. Nie mogliśmy nic zobaczyć, bo strzecha była bardzo gruba. Kiedy się wychyliłam, zobaczyłam w otwartych drzwiach domu kuzynki, stojącego tam mężczyznę. Jej brat Janek nie pozwalał nam zejść, nakazał ciszę i spokój mimo, że słyszałam krzyki mojej matki i rodzeństwa mordowanych na naszym podwórku. Po długim czasie, kiedy wszystko ucichło, zeszliśmy na dół. Matka Antoniny leżała na progu cała zakrwawiona, nie dając znaku życia. W pewnej chwili otworzyła oczy i powiedziała : „uciekajcie”. Zabroniła mi iść do domu, wyszeptala : „patrz, koło waszego domu stoi Ukrainiec”. Stał tyłem do nas. Antonina pierwsza pobiegła za dom, na łąkę. Pobiegłam za nią. Schowałyśmy się w takim głębokim, zarośniętym szuwarami dole z wodą. Okropnie nas gryzły pijawki. Odrzynałyśmy je od siebie, siedząc po szyję w wodzie, która powoli zabarwiała się naszą krwią. Kiedy wychyliłam głowę, zobaczyłam stojące furmanki już załadowane dobytками Polaków. Miałam 9 lat, a Antonina była o rok starsza. W pewnej chwili w naszą stronę zaczął jechać jeden z wozów. Szybko ze strachu postanowiłyśmy udawać, że myjemy nogi. Dziś myślę, że i tak nikt by nam nie uwierzył, że o piątej rano dwie dziewczynki wybrały się

myć nogi. Kiedy ponownie wychyliłam głowę, koń był już blisko i chyba dlatego sploszył się i poniósł furmankę wraz z woźnicą. Byliśmy uratowane.

Kiedy wszystko ucichło, wyszliśmy z tego dołu. Koniecznie chciałam do domu, ale Antonina pociągnęła mnie do swego. Było pusto, nikogo nie było. Kiedy podeszliśmy do mego domu, zobaczyłam pod jabłonią m.in. moją mamę, czworo rodzeństwa i ciotkę. Nie patrzyłam długo, bo Antonina zaczęła nagle biec w stronę naszego lasu. Pobiegłam za nią. Siadaliśmy pod sosną, wykręciliśmy swoje ubrania i nadał mokre ubrałyśmy je. Suszyłyśmy się, siedząc na słońcu. Przyszli do nas Janek i Władek Rubinowscy. Janek powiedział, że musimy uciekać do miasta. Zaczęłam głośno płakać i krzyczeć, że idę do matki i ojca. Raptem w naszym kierunku posypały się strzały. Zaczęliśmy uciekać. Janek skręcił w prawo i to nas uratowało. Antonina w pewnym momencie dostała kolki i nie mogła biec. Ciągnęłam ją za rękę. Byliśmy na bagnach. Wieczorem Janek i Władek poszli do Wilimcza. Przynieśli chleba i sera. Do Ratna szliśmy całą noc. Było bardzo zimno. Pamiętam jak nie mogłam powstrzymać stukających zębów.

W Ratnem Antonina zaprowadziła nas do swoich ciotek. Tam przyszedł Kozioł, czy Kozłowski, dokładnie nie pamiętam, dawny sąsiad z Doszna. On to zajął się moim losem i powiedział, że zaopiekuje się mną pewna rodzina. Byli to państwo Stachurscy. Mój później przybrany ojciec był z zawodu leśnikiem. Tak znalazłam przybranych rodziców i rodzinę. Jeszcze tej jesieni wyjechaliśmy do Kowla i przeżyliśmy tam oblężenie tego miasta. Moi przybrani rodzice wychowali mnie, dali wykształcenie i wydali za mąż, też za leśnika. Ja o tych wspomnieniach do dziś nie mogę ani pisać, ani mówić bez łez i dreszczy."

Antonina wróciła do swojej wsi. Okazało się, że matce poderżnięto gardło, ale przeżyła i do końca życia mówiła szeptem. Ojciec też przeżył. Żył krótko, miał wgiętą czaszkę i nigdy nie powrócił do pełnego zdrowia i pamięci. Antonina wyszła za mąż za Ukraińca z Wilimczy, ma dwoje dzieci i wnuki. Brat Janek nie wrócił nigdy. Po ucieczce poszedł do partyzantki, do AK i zginął pod Bielskiem Podlaskim.

Relacja Władysława Rubinowskiego : „Miałem 17 lat. Tej nocy, jak przez kilka poprzednich, spałem u Ukraińca sąsiada. Siostra Józia spała u innego. Gospodarz zbudził mnie bardzo wczesnym rankiem, mówiąc : „wtikaj, bo mordują Polaków”. Uciekłem do lasu, zobaczył mnie bandyta na koniu, zaczął gonić i strzelać, ale zdołałem uciec. W lesie spotkałem Janka Rubinowskiego, a potem Alinę i Antoninę. Kiedy się ściemniło, poszliśmy we dwóch do Wilimcza. Od Ukraińców dostaliśmy chleb i ser. Nad ranem dotarłem do Ratna, gdzie dowiedziałem się, że zamordowane zostały moja matka i siostra Antonina. Po kilku dniach poszedłem do partyzantki.”

Relacja Albina Jedynowicza : „Miałem wówczas 21 lat. Tej nocy jak zwykle ostatnio spaliśmy w krzakach poza domem. Wieczorem poprzedniego

dnia brałem udział w ognisku u Bolesława Rubinowskiego, „Chrobrego” jak nazywaliśmy go powszechnie. Śpiewaliśmy przy gitarze polskie pieśni patriotyczne i dumki ukraińskie. Do ogniska nie przyszedł nikt z młodzieży ukraińskiej. Nikt wówczas nie zwrócił na to uwagi. Kiedy się dobrze już rozwidniło, pomiędzy 5 a 6 rano matka moja powiedziała, że pójdzie wydoić krowy i da znać czy jest bezpiecznie. Mój ojciec, ja i czworo mego rodzeństwa z najmłodszą trzyletnią Tereską pozostaliśmy na miejscu. Ledwie matka zdążyła opuścić kryjówkę, usłyszeliśmy jej krzyk : „ratunku ! uciekajcie !” Wokół były krzaki. Mogła bandytom uciec, ale wówczas szukając jej, trafiliby na nas. Matka biegła więc w innym kierunku, krzycząc i odciągając jednocześnie morderców od naszej kryjówki. Do dzisiaj słyszę głos kochanej mojej matki. Ojciec chciał biec jej na ratunek, ale powstrzymaliśmy go z bratem. Nic by matce nie pomógł, a wymordowałiby nas wszystkich.”

Relacja Stanisławy Krasieńskiej : „Miałam lat 13. Mieszkaliśmy na końcu wsi, mając za sąsiadów Ukraińców, z którymi nam się dobrze żyło. Docierały do nas wiadomości, że powstała jakaś banda ukraińska, która morduje Polaków, żeby stworzyć jakieś państwo ukraińskie. Wieści były tak straszne, że spaliliśmy w nocy poza domem. 27 sierpnia dotarła do nas informacja, że nie musimy się bać ; Polaków z tej wsi nie będą mordować, bo mieszkają tu od wieków i są spokrewnieni z Ukraińcami. Ale mamy na 28 przygotować coś w rodzaju kontyngentu dla tej bandy. Taką uspokajającą nowinę prawdopodobnie rozgłaszał sołtys tej wsi - Ukrainiec. Uspokojeni, noc z 27 na 28 sierpnia przespaliliśmy w domu. Rankiem, bardzo wcześnie, usłyszałam w kuchni głos cioci Marii, która przyszła prosić o pożyczanie kilku jajek dla spodziewanych bandytów. Po jej wyjściu ojciec, Julian Rubinowski wziął pod rękę koc i wyszedł. Przez okno mama zauważyła, że ścieżką, która przecina drogę, po której miał iść ojciec, biegnie trzech nieznanych mężczyzn. Byłam koło matki i widziałam jednego mężczyznę w białej koszuli, z przewieszonym z tyłu karabinem, drugi miał jakby teczkę. Ojciec zawrócił, a matka zawołała do nas, trzech córek, żebyśmy uciekały do lasu. Brat był kaleką. Bieglyśmy po lesie i nie mogłyśmy się zatrzymać, bo wydawało nam się, że wszędzie nas znajdują. Tak dobiegłyśmy do rozciągających się dużych bagien. Przyszło południe, czułyśmy straszny głód, ale bałyśmy się wyjść. Zauważyliśmy naszego kuzyna Jaśka, który szukał swoich bratanków, wciąż powtarzając : „nikt nie żyje, wszyscy zarabani”. Pod wieczór znalazła nas najstarsza siostra, Weronka i zaprowadziła do domu. Na podwórzu stał wóz z koniem gotowy do drogi. Różnymi krętymi drogami dojechalśmy do miasta Ratna. Tam, miejscowi mimo, że byli Ukraińcami, pomagali nam, przynosząc jedzenie i wspólcując mocno. Wyjechalśmy do Zabłocia, gdzie znajomy leśniczy, Maszkowski załatwił ojcu pracę w tartaku.”

Tyle relacji naocznych świadków, którzy przeżyli „krwawy ranek” 28 sierpnia 1943 r we wsi Doszno. Sołtysem był wówczas Stanisław Chrapczyński.

Po wymordowaniu wsi przez bandytów ukraińskich zabrał żonę z synkiem i uciekł. Po wojnie mieszkał w Polsce.

O dużej wsi Wilimcze przed II Wojną mówiono, że zamieszkuje w niej szlachta ukraińska. Nikt w Dosznie nie słyszał, aby mieszkańcy tej wsi brali udział w mordach. Przeciwnie, nieśli pomoc Polakom. Przechowywali 5 nauczycieli (3 polskich i 2 rosyjskich). Bandyci podstępnie zamordowali trzech z nich. Podobnie wymordowano polskich młynarzy - ocalał jeden nazwiskiem Płaskociński. O wsi Wilimcze każdy ocalały mieszkaniec naszej wsi Doszno mówił z wielkim szacunkiem. Prawie wszyscy uratowani zawdzięczali swoje życie pomocy Wilimcza.

W 47 rocznicę tragedii, w dniu 28 sierpnia 1990 r. matka moja otrzymała z Ukrainy oficjalne zaproszenie na uroczystości odsłonięcia pomników na grobach pomordowanych Polaków. Pojechałam i ja, żeby zaopiekować się matką. Położono pięć tablic z białego marmuru, a złotymi literami wpisano nazwiska pomordowanych. Były prasa i radio. W trakcie prowadzonego z moją mamą wywiadu, matka, stojąc nad jeziorem na przeciwko dawnego swego domu rodzinnego, po którym nic nie ocalało, po półgodzinnym opowiadaniu redaktorowi o swoich przeżyciach, raptem straciła pamięć. Nie wiedziała, gdzie jest i co się z nią dzieje, dostała dreszczy, nie poznawała nikogo. Byłam przerażona. Moja mama przez całe życie miała niemal fotograficzną pamięć, nigdy mimo 73 lat nie zdarzyło jej się czegokolwiek zapomnieć. W tej właśnie chwili zrozumiałem dlaczego żyjący świadkowie tamtych wydarzeń z wielkimi oporami wracali do tamtych tragicznych dni. W swoim pamiętniku matka niejednokrotnie zaznacza : „...dziś kończę, bo mimo tabletki uspokajającej nie mogę pisać dalej...”

W trakcie tych uroczystości przemawiał starszy mężczyzna z Wilimcza. Nie zdziwiło mnie potępienie przez niego morderców. Czekalam, aż wystąpi ktoś z Datynia. Nie było nikogo. Zaczęłam rozmawiać z młodzieżą, która kręciła się obok. Odpowiadali niechętnie, z ociąganiem się. Jak się okazało większość z nich była właśnie z Datynia. Prowokowałam do rozmowy. W końcu wyrwało się kilku potępiając owego „starszego pana z Wilimcza” za to, że ich zdaniem obraza ich godło - Tryzub. Po rozmowie z tymi chłopcami, zrobiło mi się zimno.

Tak więc nadal bezustannie szukam odpowiedzi na dręczące wciąż i prześladowające mnie pytanie, postawione na początku tych wspomnień - DLACZEGO ?

MOJE TRAGEDIE

Wypełniam swój obowiązek, aby z trudem (niedowład prawej ręki po przestrzale w drugiej bitwie w lasach mosurskich 17 IV 1944 r.) opisać to, co widziałem i zapamiętałem.

Przed 1939 rokiem i w okresie okupacji mieszkalem w parafii kowelskiej na Wołyniu, a do szkoły siedmioklasowej chodziłem w koł. Rużyn. Od 1941 do 1944 r. uczyłem się na tajnych kompletach i pracowałem dla zmyłki w warsztatach samochodowych F. Mroza w Kowliu. W tym czasie aż do wstąpienia do 27 DP AK wykonywałem szereg prac konspiracyjnych.

Jeszcze na przełomie lat 1942/43 święta Bożego Narodzenia obchodziliśmy wspólnie z Ukraińcami w sąsiedzkiej, życzliwej atmosferze tak, jak przed wybuchem wojny, niepomni zdrady, jaka w 1939 r. była udziałem większości Ukraińców i Żydów. Nie przenosiliśmy urazy na ogół Ukraińców za zmuszanie nas do wyłącznego mówienia po ukraińsku w urzędach. Przed wojną wychowano nas w atmosferze tolerancji i poszanowania kultury ruskiej jak i wiary prawosławnej. Uczono nas, że należy odpowiadać po ukraińsku w przypadku, gdy pytający nie znał języka polskiego, lub nie chciał naszego języka używać. Dlatego też, co najmniej tyłu Polaków władało językiem ukraińskim, co młodych Ukraińców językiem polskim. W kowelskich zakładach pracy nie było wrogości między młodzieżą polską i ukraińską.

W latach międzywojennych w koł. Rużyn (oddalonej 15 km od Kowli) wybudowano za milion złotych duży, wspaniały gmach szkoły powszechnej i Uniwersytetu Ludowego. Szkoła położona była centralnie w stosunku do okolicznych wsi prawosławnych. Do wybuchu II Wojny Światowej zdecydowana większość młodzieży ukraińskiej bez żadnej dyskryminacji kształciła się w obydwóch placówkach oświatowych. Dla nas, Polaków, dyskryminacja taka rozpoczęła się w październiku 1939 r. W początkach okupacji sowieckiej młodzież polska miała jeszcze życzliwych kolegów i przyjaciół wśród młodzieży ukraińskiej. Ich ojcowie bez żadnych przeszkód przed wojną wchodzili w posiadanie gospodarstw rolnych, należących uprzednio do

Polaków, drogą kupna lub dziedziczenia (w przypadku małżeństw mieszanych).

Mordowanie Polaków przez UPA rozpoczęło się latem 1943 roku, a nasilenie mordów osiągnęło swój szczyt jesienią tego roku. Pierwsza tragedia miała miejsce 10 lipca 1943 r. Był to dokonany straszny mord na wysłanych przez Okręgowego Delegata Rządu Kazimierza Banacha na drugie pokojowe rozmowy pojednawcze z UPA delegatach: Zygmuncie Rumli, Krzysztofie Mazurkiewicz i Witoldzie Dobrowolskim.

Druga tragedia nastąpiła 27 sierpnia 1943 r. w Rużynie. Tego dnia na oczach mieszkańców kolonii i wsi Rużyn porwano podstępnie ośmiu młodych Polaków z kol. Rużyn i kol. Truskoty. Bezbronnych mieszkańców obu kolonii ujęto i powiązano drutem kolczastym. Młoda, wzorowa nauczycielka dwóch narodów Aleksandra Magier błagała oprawców o litość nad bezprawnie pojmanymi i na jej oczach katowanymi, lecz została brutalnie odpędzona od jednej z wielu furmanek i zepchnięta uderzeniami kołb karabinów do przydrożnego rowu, mimo jej zaawansowanego i widocznego stanu odmiennego. Mimo tego brutalnego odsunięcia od furmanki, na której był związany kolczastym drutem również i jej mąż, nie poprzestała na tym, wsiała na furmankę i wraz z jej znajomym furmanem popędzili konie za unoszącym się wciąż jeszcze w ślad za porwanymi i porywaczami tumanem kurzu w kierunku lasu Świniarzyńskiego. Pytani w drodze mieszkańcy wsi, również i Ukraińcy, wskazywali kierunek, w którym wieziono uprowadzonych. O zupełnym zmroku kierunek pościgu został utracony. Na konieczny już popas koni zatrzymała się w gospodarstwie ukraińskim. Tu ścigającym udzielono pomocy, błagając przy tym panią Olę, żeby zaniechała dalszej jazdy, gdyż nic, jak ją przekonywano, nie pomoże porwanym, natomiast zaszkodzi życiu nie narodzonego dziecka. Tymczasem ojciec trzech porwanych synów, Piotr Magier, działał na swoją rękę. W znany sobie sposób przekupił cywilnego propagandzistę UPA, a naszego sąsiada Mitkę Jufimczuka, który nie zwlekając, siadł na swój rower i pojechał w kierunku Świniażyna do swojego szwagra, ponoć bardzo ważnego w sztabie UPA, mieszkańca Stawek k. Turzyska, o bardzo polskim nazwisku Lechowski lub Łaskowski. Pan Mitka - nasz sołtys przez całą niemiecką okupację - przez tydzień nie wracał, żona zaś jego w tym czasie robiła Piotrowi Magierowi historyczną awanturę, oskarżając go o to, że wykorzystuje jej męża i brata, dla ratowania życia swoich trzech synów. Po powrocie sołtys Mitka dopiero po dłuższym czasie zdecydował się zdać sprawozdanie ze swojej misji. Oświadczył, że zanim szwagier wrócił do sztabu, on sam przesiedział o godzinie w bunkrze jako jeden z wielu. Szwagier był bardzo niezadowolony, że propagandzista UPA podejmuje się misji ratowania polskiej rodziny Magiera. Nie obeszło się również bez solidnego obicia za działania na własną rękę. Byliśmy więc pewni, że swoje życie musiał wykupić u szwagra obietnicą

poważnej przysługi w tępienia Polaków. Żołnierze z baonu „Sokoła” stwierdzają, że w rejonie Świniażyna przy wiatraku koło Dażwy odkopano zamaskowaną mogiłę, w której m.in. były zwłoki ośmiu z Rużyna, powiązane nadal drutem kolczastym. Rozpoznano je po resztkach odzieży.

Obie te krwawe, straszne tragedie, a także postawa K. Banacha były głównym powodem, że nie powstał na naszym terenie oddział por. „Kani”, Stanisława Kądziaławy. Zadanie takie wykonał dopiero w pierwszych dniach września 1943 r. „Groński” Tadeusz Korona, który w niezwykle krótkim czasie zorganizował w kol. Rużyn silny, duży oddział Samoobrony AK. Wówczas to nasi dotychczasowi rzekomi przyjaciele ukraińscy, zamieszkujący po sąsiedzku na wykupionym w ostatnim dziesięcioleciu przed II wojną od Polaka gospodarstwie, zaczęli nerwowo współdziałać z Gebitskomisarzem w Kowlu, w celu zniszczenia Samoobrony w dniu 19 IX 1943 r. Udowodnione drugie wrogie, zdradzieckie działanie sotyśa kol. Rużyn Zachara Poleszuka i jego syna Antona spowodowało wydanie prawomocnego wyroku śmierci na obu przez sąd Polski Podziemnej. Wyrok został wykonany w pierwszej połowie października 1943 r.

Nazajutrz po wykonaniu wyroku na obu Poleszukach do południowej części kol. Truskoty wtargnęła w rozwinięciu bojowym sotnia UPA, przybyła w przeważającej części z odległych galicyjskich terenów. Zaskoczeni w środku dnia mieszkańcy ratowali się ucieczką w stronę torów kolejowych na południowy wschód, to jest w stronę niemieckiego posterunku ochrony mostu. W rozmowie ze Stanisławem Leśnickim, przyjacielem z tamtych czasów, zgodnie stwierdzamy, że kierunek ucieczki intuicyjnie wybraliśmy dobrze, gdyż dla atakujących upowców stał się nieprzewidzianym zaskoczeniem. W powstałej sytuacji nie mogli strzelać w kierunku strzeżonego przez Niemców obiektu i obok kilku ukraińskich mieszkańców kolonii. Zastrzelono wówczas bez uciekania się do wymyślnych tortur dwóch Polaków, którzy nie opuścili swych zagród: Adolfa Musiołka lat 24 oraz Maksymiliana Krupkę. Ze strony UPA zginął jeden „strilec”, mieszkaniec odległych Parydub. Nasza pięcioosobowa samoobrona przez przypadek rozpoczęła ogień z miejsca bardzo niedogodnego dla atakujących upowców, ponieważ ich ogień w kierunku polskich obrońców przerzuciłby się i skierowany byłby również zarówno na Niemców przy moście jak i na ukraińskich kolonistów. Obeszło się również bez spalenia 15 polskich gospodarstw, chyba dzięki temu, że reakcja samoobrony okazała się wielkim zaskoczeniem dla sotni UPA, która nie mogła prowokować walki ze swoimi opiekunami, jakimi byli hitlerowscy faszystyści niemieccy. Ta sama jednak sotnia UPA spaliła wieczorem tę wspaniałą szkołę-universytet w kol. Rużyn. Był i jest ten „wyczyn” dla nas zupełnie nie zrozumiały, gdyż ten obiekt był wybudowany raczej dla ukraińskiego narodu i służyłby im przez wiele lat. Tego wieczoru, gdy płonął pięknie na wzgórzu wkomponowany w krajobraz budynek szkoły, jeden

z naszych Polaków samowolnie, bez poinformowania kolegów o swoim zamiarze, zastrzeił dwie swoje sąsiadki Hanke i Sońkę, których ojciec Onufry tuż przed wojną wykupił gospodarstwo od Polaka Sylwestra Minkiny. Ten czyn, będący dla nas trzecią wielką tragedią, został też powszechnie potępiony przez społeczeństwo polskie. Nie uznano usprawiedliwienia tego faktu, że obie te kobiety nie ostrzegły swoich sąsiadów o zbliżającym się napadzie Ukraińców, a raczej z radością wyglądały, kiedy nadchodzący w rozwinięciu bojowym upowcy będą nas mordować. Obie też wraz ze swoim bratem Jakubem ochoczo wyzbyły się obywatelstwa polskiego już w pierwszych dniach września 1939 r. Ślad po sprawcy tego odosobnionego aktu zemsty oraz po jego dość licznej rodzinie zaginął od września 1944 r. Być może sam ocenił właściwie niegodny Polaka ów czyn.

Trzecią tragedię przeżyłem 11 listopada 1943 roku w kol. Ruzyn i kol. Truskoty. W drugi dzień trwającej bitwy, w czasie wycofywania się z kol. Truskoty serdeczny kolega, pełny od dzieciństwa sierota Stefan Skowron lat 18 został ciężko ranny w nogę i prosił o pozostawienie go na polu naszego sąsiada Gnata Jufimczuka, ojca Mitki, opisanego wyżej sołtysa naszej kolonii. Po zakończonej i przegranej drugiego dnia bitwie Stach Szymczak poszedł po Stefka. Niestety, ranny został już zamordowany, miał rozpruty brzuch, wyciągnięte wnętrzności i wyklute oczy, ponadto był bez butów, którego brat Zygmunt rozpoznał w 1944 r. u Ukraińca Łońki Oksjutycza, mieszkańca wsi Lubliniec.

Czwartą tragedią było dla mnie śmierć Ukraińca Iwana Oksjutycza i jego syna Siergieja jesienią 1943 r. Iwan, starszy wiekiem człowiek, od lat żył w zgodzie z sąsiadami Polakami i miał odwagę nie wspierać faszystów spod znaku „tryzuba”. Zamordowany został we wsi Klewieck przy udziale swego bratanka Łońki, który dla rodzonego stryja (died'ka) wybrał śmierć przez cięcie żywego pita. Starszego syna Iwana spotkała lżejsza śmierć, przez zastrzelenie.

W tym czasie moi rodzice mieszkali u dziadka Michała we wsi Lubliniec. Sąsiedzi Ukraińcy prosili ojca i mamę, żeby uciekali do swoich braci mieszkających przy koszarach w Kowlu, gdyż nie chcą być odpowiedzialni za ich śmierć.

Piątą tragedią była dla mnie śmierć rodziny Konopackich. W 1943 roku sąsiedzi ze wsi Lubliniec namawiali „panów Konopackich”, lichu gospodarujących na resztówce dworu, na ucieczkę do Kowla, uzasadniając to podobnie jak moim rodzicom. Matka i syn Ludwik zamieszkali już w Kowlu, a troje pozostałych: Zygmunt, Laika i Władzia zostało zamordowanych i spalonych w domu przez mieszkańców sąsiedniej wsi Dołhonosy. Brat Ludwik pozbiierał szczątki spalonych lub nadpalonych ciał i pochował na cmentarzu w Kowlu.

Szóstą tragedię przeżyłem w maju 1944 r. Późną jesienią 1943 r. uzbrojona grupa wiernych przyjaciół niemieckich faszystów, podająca się przed wojną za Polaków (może i teraz też), postanowiła dokonać rabunku u raczej biednego Ukraińca Kordoby, mieszkającego po sąsiedzku z moimi stryjami Józefem i Władysławem. Obaj byli oddanymi działaczami konspiracji AK. W tym czasie w mieszkaniu Kordoby był również mój wujek Stanisław Leśnicki, także pewny pracownik konspiracji oraz sąsiad Józef Sikora. Wszyscy czterej byli uzbrojeni w broń krótką, nie zwlekając więc bez strzelaniny ujęli napastników i po przetrzymaniu w lochu, oddali pod sąd polowy Polski Podziemnej.

Chciałbym przy okazji w sposób pozytywny wspomnieć o kilku kowelskich volksdeutschach, którzy uważali za swój obowiązek przez całą wojnę pozostać mimo wszystko obywatelami Polski. Takim był np. sąsiad mojego mieszkania konspiracyjnego w Kowlu „Paul”, zamordowany przez Gestapo w 1944 r.

Waikę do której nie byliśmy przygotowani przegralibyśmy, tak jak to UPA założyło, gdybyśmy stosowali w walce brutalność, mordy i wyrzynanie ludności ukraińskiej, tak wielu szlachetnych, prawych obywateli również swojej ziemi. Przenosząc z pamięci na papier zapisy przeznaczone dla potomnych po obu stronach, pragnę im życzyć, by mogli i umieli żyć bez mordowania, zabijania sąsiadów na tej wspólnej, urodzajnej ziemi, którą nasi i ich praojcowie zdobyli ciężką, mozolną, katorżniczą niemal pracą, a nie mieczem, zdradą, czy też ukazem carskim.

DRAMAT WSI GŁĘBOCZYCE

Dzień ten, zresztą jak wszystkie inne dni, wypełniony był pracą. Wprawdzie zboża w większości były już pokoszone i złożone w sterty daleko od zabudowań, ale dużo jeszcze pozostawało na polach z upraw późniejszych. Roboty dla wszystkich zdolnych do pracy wystarczało. Dla każdego dzień rozpoczynał się tuż po wschodzie słońca. Matka od rana przystąpiła do wypieku chleba, ponieważ brano pod uwagę możliwość ucieczki w najbliższych dniach. Z rodzeństwa Zofia i Helena przygotowywały mąkę mieloną na żarnach. Z ojcem przygotowywali kilka worków pszenicy do ukrycia przed bunkiem lub pożarami. Brat Hieronim lat 6 popędził krowy na pastwisko, siostra Marcelina lat 8 zabawiała młodsze rodzeństwo: Krystynę lat 4 i Henrykę lat 2.

Dzień tak wypełniony pracą dawał zapomnienie przed strachem, jaki każdy musiał przeżywać w obliczu bezprawia i okrutnych metod „bohaterskiej” UPA i policji ukraińskiej. Każdy pracował w milczeniu, uparcie, z nadzieją, według planów i przewidywań rodziców o konieczności przyspieszenia prac w związku z mordami, jakie nasilały się w okolicy od kilku miesięcy. Postanowiono roboty jak najszybciej zakończyć i przygotować się do ucieczki.

W sobotę wieczorem, 29 sierpnia, przyszedł sąsiad ze swoją rodziną na noc. Zdawało im się, że bezpieczniej będą mogli przetrwać noc i pokonać strach razem z nami. Młodsze rodzeństwo ułożone zostało do snu. Siedząc, przysłuchiwałem się rozmowie rodziców z sąsiadem o ciężkiej sytuacji i panoszącym się w okolicy bezprawiu, szalejących bestialskich mordach, masakrach popełnianych na Polakach, pastwieniu się nad morderwanymi ofiarami łamaniem kości, obrzynaniem członków ciała, wykłuwaniu jeszcze żyjącym ofiarom oczu, o gwałceniu nieletnich dziewcząt i zadawaniu cierpień i męczarni ku uciesze i radości bandytów z UPA.

Okolo północy, przejęty strachem, udaję się do swojej kryjówki w stodołę. Budzą mnie strzały z karabinów oraz zajadłe szczekanie i wycie psa. Zrywam się z posłania i widzę przez szparę w ścianie stodoły, jak banda

UPA morduje ojca. Otoczony gromadą uzbrojonych w karabiny i siekiery, szamocze się z bandytami. W pewnym momencie otrzymuje z tyłu cios siekierą w głowę. Zachwiał się, zgął w kolanach i upadł twarzą na ziemię. Matka zdążyła wybiec z przeraźliwym krzykiem: „Och, Matko Najświętsza”, ale na głośny ryk „stij” zatrzymała się, powalona strzałem upadła, uderzyli ją siekierą już na leżąco. Słyszę przerażające krzyki rozpacz, miotającego się jeszcze rodzeństwa i goniących za nimi morderców. Oszolomiony masakrą rodziny, widzę jak sąsiad, z wołaniem „uciekać, banda UPA morduje”, wybiega tylnym wyjściem na zewnątrz stodoły, wypadam za nim. Za nami wybiega reszta rodziny sąsiada, ale już odbiec nie zdołała, wystrzelana kolejno z karabinów i dobijana siekierami.

Za nami rzuciło się kilku bandytów w pogoń, strzelając z karabinów w biegu, kłękając na kolano i mierząc w nas. Kule świszczą wokół uszu, ale odbiegamy coraz dalej. Udało się nam uciec na taką odległość, że strzały przestają być groźne, dobiegliśmy lasu. Zaszyliśmy się w gęstwinie i tak przystanęliśmy chwilę ukryci. Nasłuchujemy i wyglądamy, czy nikt nas nie goni. Dookoła wioski słyszymy już strzelaninę, przeraźliwe krzyki i wycie bandytów. Znaczyło to, że banda UPA opanowała całą wieś. Przez pewien czas przysłuchujemy się strzałom. Zewsząd słychać okropny, przeraźliwy płacz, krzyki rozpacz, wołanie o ratunek, którego już nikt im nie udzieli. Z lasu wybiegamy do następnej wsi - Grabina. Tam też nie było schronienia. Nie upłynęła nawet godzina, kiedy z jednej i z drugiej strony wioski widzimy miotających się w różne strony przerażonych ludzi i jednocześnie słyszymy rozpetaną i nasilającą się strzelaninę z karabinów. Biegący ludzie nie wiedzą w którą stronę uciekać, każdy kryje się, gdzie tylko może, mając nadzieję, że się uda.

Sytuacja ta i strzelanina zmuszają nas do dalszej ucieczki. Biegniemy ile sił, omijając ukraińskie wsie, przybywamy do dużego masywu leśnego, w którym spotykamy dużą gromadę ludzi. Ludność ta zdołała już się tu ukryć, posiada konie i wozy także różny sprzęt do obrony. Z grupą tych ludzi idziemy do miasta Maciejowa, raz tylko zaczepieni w jednej z wsi ukraińskich, ale małą chyba grupą patrolową, która nie miała odwagi nas atakować. Przed zachodem słońca doszliśmy do Maciejowa. Był już wieczór, otrzymaliśmy posiłek na plebanii u księdza. Zebrało się tu już kilkuset ludzi. Jak można było, tak nas zakwaterowano po różnych kątach.

Tak ten dzień apokalipsy skończył się dla mojej rodziny, dla mnie rozpoczęły się dni tułaczki, bez domu i swoich najbliższych. Tak zginęli: ojciec Stanisław lat 56, matka Helena lat 43, rodzeństwo Zofia lat 18, Helena lat 15, Marcelina lat 8, Hieronim lat 6, Krystyna lat 4, Henryka lat 2. Z rodziny sąsiada Jana Mamota, z którym to udało mi się wyrwać z tego piekła, zginęli: żona Franciszka lat 40, dzieci Władysława lat 14, Marian lat 12, Bronisława lat 5 i Helena lat 2.

Marcin Zymon

O wschodzie słońca, w ostatnią niedzielę sierpnia 1943 r., w naszej kolonii Głębozczyca, gmina Werba, pow. Włodzimierz Wołyński, nastąpił napad bandy UPA i mord ludności polskiej.

Obudziłem się i zerwałem z posłania. Wybiegam na podwórko, słyszę przeraźliwe krzyki i wołania o ratunek, o udzielenie pomocy i pojedyncze strzały z broni palnej. Słońce jeszcze nie wzeszło, ale już był dzień, świtało. W tym czasie i momencie nie było innego wyjścia, ani chwili do stracenia, zebraliśmy się do ucieczki. Początkową myślą było ukryć się w zabudowaniach, jednak po krótkim namyśle z matką i rodzeństwem postanowiliśmy uciekać. Zebraliśmy się przerażeni strzałami i przeraźliwymi krzykami mordowanych ludzi, zerwaliśmy się z rodziną i uciekamy: moja matka lat 48, siostra Danuta lat 8 i brat Antoni lat 12, bratowa Aleksandra lat około 25 z trzyletnim dzieckiem na ręku. Ojciec doradza nam i wskazuje kierunek ucieczki, sam zostaje w zabudowaniach. Oszolomieni i przerażeni strachem, ile sił starczyło, biegniemy. Kuzyn Tatys postanawia pozostać przez parę dni w domu z dwójką małych dzieci - Józek lat 2 i Zbyszek lat 3. Ma zamiar zaprząć konie i jak tylko trochę sytuacja wyjaśni i uspokoi, dołączyć do nas. My z całą rodziną i starszą trójką dzieci Tatysa i jego żoną uciekamy do lasu w kierunku Maciejowa.

W niespełna dwie godziny potem rozpoczęło się mordowanie Polaków na Stanisławówce. Kuzyn Tatys przebywał z dziećmi ukryty w czasie mordu w zabudowaniach. Po pewnym czasie wyszedł z kryjówki dla rozeznania sytuacji, został jednak zauważony przez upowców, którzy rzucili się w pościg, strzelając za nim. Zdołał jednak zgubić ścigających i ukryć się w zaroślach. W nocy powrócił do pozostawionych w kryjówce dzieci, ale już ich tam nie zastał. Przeszukiwania swoich i pobliskich zarośli nie przyniosły skutku. W rozpaczę pozostał jeszcze parę dni, ukrywając się i w dalszym ciągu poszukując ich, w nadziei, że jednak je odnajdzie. Niestety, wszelkie poszukiwania okazały się bezowocne.

Stanisław Małecki

Z soboty na niedzielę byłem na wsi. Wracałem późną nocą do domu. Mieliśmy schron w stodole, do którego wejście znajdowało się w przybudówce. W tym schronie było miejsce na cztery osoby. Gdy wróciłem

w schronie był brat Wacław. Kiedy wyszedł na wartę ja położyłem się na jego miejscu. Już świtało, gdy brat przybiegł wołając : „Stasiek wstawaj !”. Okazało się, że przybiegł nasz szwagier Władysław Szczepański, mówiąc, że widział dużą grupę Ukraińców, zbliżającą się do sąsiada Tomasza Sławskiego. Wyskoczyłem ze schronu. Widzę, że brat Wacek i siostra Karola biegną co tchu w stronę rzeki. Ja wybiegam za nimi, ale zostaję już ostrzelany. Brat Władysław wciągnął matkę do schronu, bo już nie zdążyłby wybiec bez zwrócenia na siebie uwagi. Ojciec pozostaje na podwórku, pojąc konie przy studni. Wpadająca banda bez słowa uderza ojca siekierą w głowę. Widzi to brat Władysław przez szparę w schronie. Ja biegnę za uciekającymi do rzeki Turii. Doganiam innych, przechodzimy rzekę, biegniemy w kierunku wioski ukraińskiej. We wsi tej nie widzimy nikogo, bez obawy więc przebijamy się w kierunku lasu. Brat z matką Władysławą, jak się później okazało, doczekali w schronie nocy. Nocą, tą samą naszą drogą, przedostali się do Maciejowa.

Koło południa dochodzimy do miasta. Przed miastem już dużą grupę uciekających zatrzymuje Niemiec. Pyta się w języku polskim cośmy za jedni. Jeden z nas, Piotr Zwolański odpowiada, że uciekamy przed bandą UPA. Przychodzimy na plebanie do księdza. Tłumaczymy co się stało. Utworzony przez miejscowych Polaków komitet organizuje pożywienie i opiekę.

Stanisława Kacprzak

W dniu 29 sierpnia 1943 roku, przed wschodem słońca, słyszymy strzały i przeraźliwe krzyki. Widzimy ludzi, pojedynczych i w grupach, biegnących w różnych kierunkach, uciekających. Do jednej z grup dołączyliśmy, w strachu, ile sił uciekamy. Dobiegamy do lasu, ja trzymam za rękę jedno z młodszych z rodzeństwa. Na chwilę przystajemy z matką, nie wiemy jaki kierunek wybrać. Grupy uciekających rodzin najczęściej wbiegają do lasu. My, raczej mama, wybieramy naszą, woła za nami w przerażeniu, że pójdziemy „ponad lasem”, czyli brzegiem lasu. Był to dobrze obrany kierunek intuicją matki, albo szczęśliwym trafem. Nie pobiegliśmy daleko, gdy słyszymy jak za nami mordują tych, co wbiegli do lasu strzałami z karabinów. Słyszymy ich przeraźliwe krzyki. Za nami, ale już z pewnej odległości, oddano kilka strzałów, które na szczęście nikogo z nas nie trafiły. Dopiero później wbiegamy do lasu i tak przestraszeni przedzieramy się na południe w kierunku Włodzimierza. Widzimy kilka fur jadących szosą, dobiegamy do nich. Z nimi zabieramy się do Włodzimierza...

PODSTĘP

W maju 1943 r. banda bulbowców z Wołczaka koło Dominopola, pow. Włodzimierz Wołyński użyla podstępu, udając się do polskich wsi i osiedli : Turia, Marszałkówka, Mikołajówka, Swojczów i innych, nawołując do wstępowania do organizującej się rzekomo polskiej partyzantki i twierdząc, że zostało zawarte porozumienie polsko-ukraińskie dla wspólnej walki przeciwko Niemcom. Warunkiem przyjęcia było posiadanie własnej broni palnej lub granatów w większej ilości. W ten sposób zwербowano do czterdziestu młodych chłopców w wieku 15-20 lat.

Jako symbol pojednania i przymierza została niby ustałona odznaka na czapce w kształcie koła przedzielonego po połowie barwami narodowymi Polski i Ukrainy (jedna połowa biało-czerwona, druga niebiesko-żółta) wielkości dużego guzika. Nad tą odznaką Ukraińcy mieli jakoby umieszczony tryzub, a Polacy orzelka. Pierwsi zwербowani w ten sposób polscy partyzanci wysyłani byli do polskich wsi i osiedli w celu zwербowania nowych ochotników z bronią oraz dla zbierania dobrowolnych datków w postaci żywności z przeznaczeniem dla polskich partyzantów. Ja osobiście w ciągu miesiąca spotkałem się trzy razy z tymi „partyzantami” - dwa razy w Turii i raz w Swojczówce - gdzie przebywałem w niedzielę u mego stryja Bronisława Leśkiewicza. Wśród przybyłych tam partyzantów byli osobiście mi znani koledzy : Henryk Brzózka, Grzegorz Błędowski z Mikołajówki, Stanisław Łachowski z Czernówki i Buczek (imienia nie pamiętam) z Jasionówki. Z ich relacji dowiedzieliśmy się, że są zakwaterowani w stodołach w Dominopolu, wartę zaś w nocy pełnią tylko Ukraińcy. Posiadaną broń, nawet niekompletną, na noc zdają do magazynu pilnowanego wyłącznie przez bulbowców. Razem ze stryjem wysunęliśmy propozycję, aby porozmawiać z innymi partyzantami Polakami i dyskretnie namówić ich do dezercji do domów lub do Włodzimierza, bo to wyglądało na „śmierdzącą” i bardzo podejrzaną sprawę. Grzegorz Błędowski, najstarszy wiekiem z tej grupy, bardzo się uniół i powiedział, że jeżeli jeszcze ktokolwiek przedstawi podobną propozycję, to on osobiście zamelduje o tym w sztabie, a my będziemy mieli

wielkie nieprzyjemności. Jak go bowiem poinformowano w sztabie, wkrótce z Kowla mają przybyć polscy oficerowie, którzy będą ich szkolić. Sprawę załagodziła butelka bimbru i po wymianie zdań „partyzanci” odeszli, uważając zachętę do dezercji za niebytą.

W lipcu lub sierpniu 1943 r. spotkałem byłego partyzanta z Dominopola - Stanisława Łachowskiego we Włodzimierzu, który usłuchał przestrogi i zdezerterował. Banderowcy widząc, że oddział „polskiej partyzantki” od jakiegoś czasu nie powiększa się, a raczej szczupieleje, wydali wyrok skazujący na Polaków w Dominopolu. W końcu czerwca lub na początku lipca banderowcy zorganizowali nad ranem, przed wschodem słońca, masowy mord ludności polskiej, która liczyła około 60 rodzin, w sumie ok. 400 osób. Wymordowano też cały oddział „partyzantki polskiej” w Dominopolu, a wśród nich zginęli osobiście mi znani koledzy : Henryk Brzózka, Jan Sobiepan, Grzegorz Błędowski i Józef Falkiewicz - obaj z Mikołajówki, Stanisław Gaczyński z Ossy i wszyscy pozostali w liczbie około dziewięćdziesięciu. „Partyzanci” rekrutowali się ze wsi : Ossa, Budki Ossowskie, Kisielówka, Jasionówka, Czernówka, Mikołajówka, Kowałówka, Leżachów, Swojczów, Swojczówka i wielu innych. Świadkiem tego mordu był Bronisław Kraszewski, w owym czasie mieszkaniec Dominopola, który wracał do domu po dwudniowej nieobecności ze wsi Wandynów, od Linkiewicza. Oto jego relacja :

Wczesnym rankiem, przed wschodem słońca, dochodząc do Dominopola, chciałem przebyć rzekę w bród, bo na moście stała warta banderowska, z którą nie miałem ochoty się spotkać, gdy usłyszałem przeraźliwe krzyki i pojedyncze wystrzały. Przeczuwając zło, ukryłem się w krzakach nad rzeką Turia i widziałem jak banderowcy otoczyli widoczne w poświacie brzasku domy zamieszkałe przez Polaków. Niektórzy wśród brzęku tłuczonych szyb wskakiwali przez okna do mieszkań. Z tych domów dochodziły odgłosy uderzeń i mrozący krew w żyłach krzyk mordowanych. Czasem było słychać detonację granatu. Nie wszyscy jednak spędzali nocę w domach mieszkalnych, bowiem niektórzy spali w stodołach, na strychach obór itp. i ci mieli szansę na nieco dłuższe życie. Mimo gęstej obstawy, nielicznym Polakom udało się cudem wymknąć z rąk bandyckich i ukryć się w pobliskich zaroślach, ogrodach i kurnikach.

Oprawcy po spenetrowaniu domów przystąpili do przeszukiwania pozostałych zabudowań gospodarczych i ogrodów, skąd z okrzykami tryumfu wyciągali ukrytych i bezlitośnie mordowali, najczęściej siekierami lub innymi podobnymi narzędziami. Zdawać by się mogło, że „szczęśliwcy”, którzy niezauważeni zdążyli odbiec dalej od zabudowań i ukryć się, po przebyciu łąki, w nadbrzeżnych krzakach, mieli szansę na uratowanie życia. Okazało się niestety, że nie na długo. Wschodzące na bezchmurnym niebie słońce oświetliło blaskiem miejsce kaźni, a w jego promieniach widoczne były jak na dłoni smugi rosy, strąsniętej z trawy przez osoby szukające schronienia,

pędzone panicznym, obłędnym strachem. Bezlitośni bandyci szybko dostrzegali te ścieżki i jak sprawni myśliwi po świeżych tropach dopadali na koniach swoje ofiary i żądni mordu, z łapami umazanymi po łokcie we krwi, z ochrypłym okrzykiem : „Lachy tu !” mordowali dzieci i kobiety, nie oszczędzając nikogo.

„Polskim partyzantom” wyjątkowo, co pewien okres czasu, wydawano przepustki do domów, w celu zmiany bielizny. Dzień wcześniej przed pogromem w Dominopolu taką przepustkę otrzymał Nieczyporowski - imienia nie pamiętam. Spóźniony, nic nie wiedząc o mordzie, wracał do oddziału w Dominopolu, odwożony przez młodszego brata. Obaj zostali zatrzymani przez wartę banderowską na moście przez rzekę Turię. Wartownicy wyprowadzili ich nad brzeg rzeki i kazali rozbierać się. W tej sytuacji Nieczyporowski, wykorzystując nieuwagę oprawców, którzy siłą zdzierali ubranie z młodszego brata, rzucił się do rzeki. Udało mu się zbiec, mimo wystrzałów z karabinu posyłanych w jego kierunku, dopadł łożyny i znikł z oczu swoim prześladowcom. Pod osłoną nocy bezdrożami dotarł do Włodzimierza. Młodszy brat na wieki pozostał nad brzegami rzeki Turii.

Tego dnia wyszedłem pieszo z Włodzimierza na rozpoznanie do wsi Turii. Aby ominąć warty ukraińskie, stojące na głównym trakcie Marcelówka - Mogilno, udałem się okrężną drogą przez Ludmirpol, Gnojno i groblę do Turii. W Gnojnie spotkałem przypadkowo mojego ojca, który w grupie kilku znajomych mu Ukraińców wyznania ewangelickiego żywo dyskutował i wraz z wszystkimi wpatrywał się w widoczne na horyzoncie ogromne obłoki czarnego dymu. Nadjeżdżający wozem wyładowanym sianem mieszkaniac Gnojna, zapytany o przyczynę gęstego, czarnego dymu, unoszącego się ponad konturem lasu, odległego o ponad 10 km, odpowiedział : „kazut szczo Nimci napaly noczju na Dominopol, mnoho ludej wystrelaly, a selo pidpalaly i ono horyt do siej pory”. To wyjaśnienie zasługiwało na wiarę i uspokoiło dyskutantów, którzy rozeszli się do domów, a my z ojcem bez przeszkód dotarliśmy do Turii. Nikt wówczas nie przypuszczał, że to bandyci spod znaku tryzuba, po krwawej masakrze ludności polskiej w Dominopolu i zagładzie partyzantów, podpalili owe zabudowania i winą za to obarczyli Niemców.

W BAZIE I POZA BAZĄ

...Niemalże depcząc upowcom po piętach weszliśmy do Taraza. Doszliśmy do środkowej części tej wsi. Atmosfera niepokoju nie opuszczała nas ani przez chwilę. Wokół otaczająca pustka, nigdzie żywej duszy. Czarne dymy wznoszące się z dogasających zgłiszcz gryzły i zasnuwały oczy, zasłaniały widok pogorzelsk.

Lekki wiatr podsyczał żarzące się ogromne głownie i wzniecał płomienie, które to wybuchały, to znów przygasały, głucho trzaskały rozsypując czerwone iskry.

Czuło się zapach dymu, spalenizny, swąd spalonych w oborach, stajniach koni, krów i innych domowych zwierząt. Mniej więcej po środku wsi, w nie spalonym obejściu nauczyciela Jakobszego natknęliśmy się na ułożone w szereg zwłoki kilku zamordowanych. Pierwszy z brzegu leżał Czesław, wyprostowany, prawie na baczność, twarzą do ziemi. Jedną ręką zakrywał sobie oczy ; jak gdyby w obliczu śmierci zapłakał z żalu, że w tak młodym wieku musi się rozstać z tym światem. A może zasłonił oczy, aby nie patrzeć na zbrodniarzy ? Niepodobna było z tej postawy odczytać jego ostatnich myśli. Odwróciłem go twarzą do góry. Niechaj się patrzy, pomyślałem, na pogodny, wiosenny zachód słońca. Ciemności ziemi będzie widział, aż nadto. Na twarzy jego, na wysokości nosa widniał nieznaczny ślad wylotu kuli. Sączyła się jeszcze krew. Na piersiach w okolicy serca widoczny był na ubraniu również wylot kuli i kałuża krwi.

Nieco dalej jeszcze kilku zastrzelonych. W stojącym opodal mieszkalnym budynku zamordowana kobieta, tuż obok młoda dziewczyna daje jeszcze oznaki życia, ciężko chrapiąc oddycha. Ktoś z przybyłych z nami podbiega i udziela jej pierwszej pomocy.

Wszyscy, których tu napotkaliśmy, zamordowani zostali strzałami w klatkę piersiową i tył głowy. Mimo widocznego pośpiechu starano się zabić dokładnie.

Widokiem tym jestem przerażony i przygnębiony. Wszystko to okropne i straszne, ale trzeba wziąć się w karby, nie dać się ponosić nerwom

i nastrojom rozpaczy. Trzeba zobaczyć, co się dalej dzieje we wsi, wszystko zlustrować. Może jeszcze ktoś potrzebuje pomocy ?

Poszliśmy w głąb wsi. W tej części jest jeszcze bardziej zniszczona. Dookoła dopalające się zgłiszcza i unoszące się dymy. Przykra woń spalenizny towarzyszy nam nieustannie. Słońce obniżyło się i jest już nad linią zasnutego dymem horyzontu. Zachodziło leniwie i smętnie.

Niektórzy mieszkańcy, gdzieś tam dotychczas poukrywani, słysząc polską mowę, z niedowierzaniem, bojaźnią i niepewnością, ostrożnie, dygocząc ze strachu zaczynają wychodzić ze swoich kryjówek. Jedni, choć wystraszeni, lecz bardziej opanowani, pytają czy bandytów już nie ma, czy już odeszli, kogo zamordowali, a kto żyje. Inni płaczą, nie mogąc przemówić słowem, łkając pytają, co się dzieje z ich najbliższymi i co mają robić dalej.

Patrolując wieś napotkaliśmy jeszcze dwóch zamordowanych - Floriana Zakrzewskiego i Hipolita Żołędziowskiego - zacnych, szanowanych starszków, znanych gospodarzy. Obydwaj byli zwiętleni, leżeli przed progami swoich dopalających się domów. Może bronili przed napastnikami swoich domostw, swojej ciężkiej pracy i dorobku swego życia, a może całych pokoleń, swojej ojcowizny ? Teraz z tego dorobku pozostały tylko mizerne szczątki.

Nazajutrz była Palmowa Niedziela, ostatnia niedziela przed Wielkanocnymi Świątami. Zwykle w tę niedzielę mieszkańcy z tradycyjnymi palmami szli do parafialnego kościoła w Kolkach, który w tym czasie nie był jeszcze przez upowców zniszczony. Niedługo potem został jednak spalony. Mało tego, że zniszczono świątynię, ale zniszczono też i zabezpieczono znajdującą się przy kościelnym cmentarzu grób ze szczątkami zmarłego przed kilku laty proboszcza Zajączkowskiego. Grób ze szczątkami wysadzono wybuchowym materiałem w powietrze. Nie pozostało po nim nawet śladu.

W tę niedzielę z palmami nikt nie poszedł do kościoła. Bano się po prostu by nie wpaść w bandyckie ręce. Po drodze do kościoła mieszkali przecież Ukraińcy, w samych zaś Kolkach mieściło się upowskie gniazdo os.

W okresie międzywojennym Kolki były miastem gminnym, leżącym w powiecie łuckim, siedzibą Urzędu Gminnego, Sądu Grodzkiego, posterunku policji, poczty, trzech świątyń : rzymskokatolickiej, prawosławnej i synagogi. Miasto było zamieszkałe głównie przez Żydów i Ukraińców, najmniejszy zaś odsetek stanowili Polacy, przeważnie urzędnicy, nauczyciele, właściciele nieruchomości miejskich. Miasteczko liczyło parę tysięcy mieszkańców.

Podczas pierwszej wojny w rejonie Kołek, na Styrze, przebiegał front, na którym walczyły legiony Piłsudskiego. Także podczas wojny polsko-bolszewickiej miały tu miejsce sporadyczne walki polskiego wojska z oddziałami bolszewików. Piłsudski, który lubił bywać wśród żołnierzy pierwszej linii, znał się któregoś dnia w Starosielu, ukraińskiej wiosce leżącej w pobliżu, do której wdarł się niespodziewanie kozacki zagon, zaskakując znajdujące się

tam polskie oddziały, a także Komendanta Piłsudskiego, spożywającego w tym czasie posiłek w ukraińskiej chatynce. Oddział napastników został rozgromiony, a Komendantowi nic się nie stało. O tym wydarzeniu i o właścicielce owej chatynki, Ukraince o imieniu Chima, Piłsudski pamiętał. Otrzymywała ona od niego raz w roku jakąś niedużą sumę pieniężną, owa zaś pamiętna chatupina została wykupiona i urządzono w niej maleńkie muzeum. To muzeum-chatę nazwano „Chatą Komendanta”.

W okresie Wołyńskiej Rzezi Kołki w niczym nie przypominały barwnego wołyńskiego miasteczka sprzed wojny. Po wymordowaniu Żydów i sterroryzowaniu Polaków, doszły do głosu najbardziej skrajne ukraińskie nacjonalistyczne elementy.

Ze względu na grożące niebezpieczeństwo nikt nawet nie myślał, aby świętować tę tragiczną Niedzielę Palmową zgodnie z tradycyjnym obyczajem. Niedzieli tej nie świętowano również i dlatego, że wszyscy Polacy zajęci byli przygotowaniem pogrzebów. Aby nie prowokować bandytów, zdecydowano pomordowanych pogrzebać na miejscu we wsi, a nie na parafialnym cmentarzu w Kolkach. Od samego niedzielnego ranka zaczęto przygotowania do tego smutnego obrzędu. Kto tylko potrafił, pomagał stolarzowi robić trumny. Robiono je z solidnych sosnowych i dębowych nieheblowanych desek. Inni kopali na wybranym pagórku obszerną wspólną mogiłę dla dziesiętnastu osób. Tyle było bowiem ofiar, łącznie z zamordowanymi w lesie koło Rudnik. Z grubych, dębowych pni ociosano jeden wielki Krzyż.

Pogrzeb odbył się skromnie, bez uroczystych ceremonii, nie dzwoniły dzwony, nie było wieńców ani kwiatów. Palilo się kilka wydobytych z kufrów lub zza obrazów gromnic, które wedle obyczaju przeznaczone były dla konających lub dla zażegnania burzy, piorunów, pożarów i innych kataklizmów. Leciutki powiew wiatru kołysał nikłymi płomykami, unosząc błękitny ledwie zauważalny dymek i zapach wosku, przypominając wonią kościelne świece. Unosząc się nad rozległymi polami dzwoniły skowronki, niejako współczestnicząc w tej smutnej i bolesnej uroczystości.

Trumny ustawiono w dwa rzędy, po pięć w każdym. Następnie jeden na drugim. Nad mogiłą wspólnie odmówiono modlitwę i odśpiewano nabożną, pogrzebową pieśń, której fragmenty dotąd pozostały mi w pamięci: „zmarły człowiecze przyjm dar smutny, który składamy, trochę na grób Twój porzuconej gliny, od twych przyjaciół i rodziny.

Po pogrzebowych ceremoniach tę ogromną mogiłę zasypano ziemią i usypano nieduży mogilny kopiec. Nad mogiłą ustawiono okazałej wielkości, z dala widoczny dębowy krzyż, który odtąd w swe ramiona przejął opiekę nad spoczywającymi tu wiecznie mieszkańcami ziemi wołyńskiej. Na krzyżu zawieszono biało-czerwoną szarfę.

W Tarazu, po napadzie, nie próbowano już organizować samoobrony. Pozostali przy życiu mieszkańcy nie widzieli celu organizowania obrony wsi,

której w zasadzie już nie było. Przestały też istnieć warunki umożliwiające organizację samoobrony. Brak było pomieszczeń, zapasów żywności i innych koniecznych dla mieszkańców i obrońców środków. Zmniejszył się także potencjał ludzki. Część mieszkańców zginęła, część zaś opuściła wieś, udając się do krewnych lub znajomych w Łucku, Kiwercach, Rozyszcach, albo do Przebraża, gdzie organizowano silną samoobronę.

Rodzina moja, nie ludząc się, że wszystko, co się wokół dzieje, zmieni na lepsze, także wyjechała do Przebraża. Tak więc i ja powróciłem tam, gdzie byłem już przecież od pierwszych dni organizującej się samoobrony. Nie brakowało niestety takich, którzy pozostali na miejscu, nie mogąc rozstać się z ojcowizną, a właściwie z jej zgłiszczami. Decydowali się w ten sposób na życie w ciągłym strachu i w najprymitywniejszych warunkach. Każdej nocy nocowali w innych miejscach, w przeróżnych schronach i trudno dostępnych kryjówkach. Uważano, że chowanie się w jednym schowku jest mniej bezpieczne. Wciąż koczowali. W domach nie gotowano stawy w obawie, by unoszące się z kominów dymy nie zdradzały obecności mieszkańców. Tulali się z małymi dziećmi, z niemowlętami, ludźmi chorymi, starcami. Niedożywieni, niewyspani, przemęczeni żyli w ciągłym strachu i niepewności. Trwali tak niemal dwa miesiące, aż do czasu, gdy samoobrona Przebraża zorganizowała wyprawę po tych niedobitków ukraińskiego szowinizmu.

5 czerwca 1943 roku pierwsza wielka wyprawa po ocalałą polską ludność wyruszyła w kierunku Kołek, oddalonych od Przebraża o dwadzieścia kilometrów. W wyprawie tej wzięło udział około dwustu uzbrojonych ludzi oraz jako tabory kilkadziesiąt furmanek. Ewakuowano wtedy polskie rodziny z Taraża, Hołodnicy, Marianówki, Rudni i kilku mniejszych polskich kolonii. Zabrano najbardziej potrzebny dobytek, przede wszystkim żywność, zwierzęta domowe i odzież. Nie obyło się bez tego by w pośpiechu nie ładowano rzeczy zupełnie zbytecznych, jak to bywa zawsze w takich sytuacjach. Pędzono bydło, trzodę, kury, gęsi i kaczki. Nie pozostawiono nawet kotów i psów, które towarzysząc karawanie, rażno przebiegały pod wozami na jedną lub na drugą stronę kolumny.

Od czasu do czasu słyhać było strzały karabinowe. Upowcy prawdopodobnie strzelali dla postrachu. Kolumna zdecydowanie parła do przodu. Nikt jej nie był w stanie zatrzymać, nawet i ów dogasający na rzece Rudenec, podpalony przez upowców most. Rudenkę sforsowano w bród. Było z tym wprowadzić sporo kłopotów i pochłonęło to wiele czasu, lecz przeprawa zakończyła się szczęśliwie. Nie zatrzymał kolumny i nie przestraszył jej także inny intruz. W pewnej chwili nad kolumną ukazał się bowiem niemiecki samolot zwiadowczy. Zaciekawiony niecodziennym widokiem pilot obniżył lot, obserwując długą, wijącą się kolumnę furmanek, ludzi i bydła, wzniesającą tumany kurzu. Mój kolega Kazik Trejmak i paru innych chłopców byli

w niemieckich wehrmachtowskich mundurach, ja zresztą też byłem w niemieckim ciuchu. Kazik w pewnej chwili zatrzymał się, stanąwszy z niemiecką w rozkroku, zaczął wymachiwać rękami, potem wystrzelił w górę niebieską rakietę. Lotnik jeszcze bardziej obniżył lot, okrążył jeszcze dwa razy kolumnę i odleciał w nieznanym kierunku, przekonany zapewne, że to jego rodacy przesiedlają jakichś tam ludzi.

Kolumna minęła już dużą ukraińską wieś Omelno, a czoło znajdowało się przed wsią Gruszwica, gdy dobiegły nas odgłosy chaotycznej strzelaniny z kierunku Omelna. Sprawiało to wrażenie, że zaatakowane zostało tylne ubezpieczenie kolumny. Część konwojujących wydzielona z głównej siły ruszyła na pomoc. Biegliśmy przez pola kłoszącego się żyta, na przelaj. Przeskoczyliśmy drogę, którą niedawno przejechała kolumna, ale potyczka była już skończona. W opłotkach wsi leżało kilku zabitych upowców.

W nocy dotarliśmy wreszcie do Przebraża. Powstał tam ogromny ruch i rozgardiasz. Niedobitków, nowych mieszkańców Przebraża, upychano do poszczególnych gospodarstw. Roilo się od nowych ludzi. Słychać było porykiwanie bydła, kwik świń, gęganie i gdakanie drobiu. Wnoszono do zabudowań tobołki, worki, poduszki, pierzyny oraz różne gospodarskie narzędzia. Dopiero około północy zapanował we wsi spokój. Ludzie zmęczeni całodziennym marszem legli wreszcie na wypoczynek.

W ciągu lata czterdziestego trzeciego roku samoobrona z Przebraża wielokrotnie organizowała podobne wyprawy po polską ludność zagrożoną ze strony ukraińskich nacjonalistów. Wielu było takich, którzy po licznych, niewiarygodnych przeżyciach, przerażeni i wyczerpani przybywali sami. Ilość mieszkańców w samoobronie wzrosła do około dwunastu tysięcy. Brakowało kwater. W budynkach u miejscowych gospodarzy gnieździło się po kilka rodzin, a mimo to nie wszyscy mieli dach nad głową. Wiele rodzin mieszkowało w prowizorycznych szałasach, w lesie leżącym w strzeżonych granicach samoobrony. Powołany komitet opiekuńczy, mający troszczyć się o wyżywienie i zakwaterowanie uciekinierów, postanowił budować mieszkania zastępcze - baraki i ziemianki. Budulec zwożono z okolicznych, a nie spalonych całkowicie polskich osiedli lub z pobliskich lasów. Z wyżywieniem nie było na razie jeszcze najgorzej. Wielu uciekinierów posiadało zapasy, a z tymi, którzy uciekli tylko z życiem dzielono się solidarnie. Ale nad rozwiązaniem i tego problemu pomyślano również.

Z nastaniem lata wzmagala się bandycka działalność UPA. Nieustannie dochodziły wieści o tragediach całych polskich osiedli. W Przebrażu pojawiali się coraz to nowi uciekinierzy. Coraz częściej, to zresztą nie było zaskoczeniem, dochodziły wieści o planowanym przez upowców napadzie na Przebraże.

Dowództwo samoobrony pośpiesznie zdobywało broń i mobilizowało chętnych do walki, których zgłaszało się sporo. W miejsce dotychczasowych

plutonów powołano kompanie, które jak poprzednio plutony zostały skoszarowane. Wprowadzono wojskowy rygor i dyscyplinę. Nie zapomniano również o stałym szkoleniu. Na wypadek ataku, do obrony przygotowano nawet „pospolite ruszenie” zbrojne w broń sieczną, kosy, piki i lance. Prowadzono jednocześnie szerokie rozpoznanie. Musieliśmy wiedzieć jak upowcy są zorganizowani, jakim dysponują uzbrojeniem, gdzie są rozmieszczone ich garnizony i jakie mają plany w stosunku do Przebraża, które było solą w ich oku. Zorganizowano wywiad, którego szefem został Zygmunt Drzewiecki. W ramach tej akcji, któregoś dnia, z Drzewieckim i Cyfrykiem Rosińskim udaliśmy się na głębokie ukraińskie zaplecze, w zwiadowczy rajd. Okazało się, że dochodzące do Przebraża informacje o szykującym się napadzie są prawdziwe. Upowcy koncentrowali swoje siły w Kolkach, Sitnicy, Chopniowie, Susku, Żurawiczach.

Sprzysięgą upowcom okolicznością było wycofanie się z Kolek niemieckiego garnizonu do Łucka. Teraz na przestrzeni wielu kilometrów nie było prócz upowskich band właściwie żadnej, nawet okupacyjnej, władzy. W Kolkach zaczęli wszechwładnie panować tylko Ukraińcy. Ich prowodyrzy na zwołanym przed katolickim kościołem (który zresztą został w tym dniu spalony) wiecu ogłosili wezwanie do ostatecznego rozprawienia się z ludnością polską, aż do całkowitego jej zniszczenia. Padły też wówczas słowa nawołujące do zaatakowania „siedliska Lachów” w Przebrażu. Po tym wiecu przystąpiono do mordowania pozostałych jeszcze przy życiu mieszkańców Kolek. Wymordowano wówczas między innymi rodziny Urbańskich, Śmiałkowskich, Morozów, Rogalińskich, a także felczera Budczyka, Ukraińca, który nie był ich sprzymierzeńcem oraz wielu innych Polaków, którzy dotąd chronili się w garnizonie niemieckim, jak na przykład czteroosobową rodzinę Kobrynów. Wieści, które przynieśliśmy ze zwiadowczej wyprawy, nie były więc zbyt pocieszające.

Na upowski napad Przebraże nie musiało długo czekać. W nocy z 4 na 5 lipca nasi wartownicy zauważyli dalsze i bliższe łuny pożarów. Płonęły polskie wsie, nawet te, które wcześniej zostały już przez ich mieszkańców opuszczone. Nad ranem śpiących mieszkańców obudziły strzały, dochodzące od strony Zagajnika, niedużego osiedla, wchodzącego w skład obronnego systemu Przebraża i stanowiącego północną rubież samoobrony. Wewnątrz warownego obozu zaczęła się wkradać panika. Wśród placzu dzieci i kobiet padały nawoływania i ponagrania do ładowania furmanek gospodarskim dobytkiem. Niektórzy zaprzęgali już konie, gotując się do ucieczki, aby czym prędzej i jak najdalej znaleźć się od bezpośredniego zagrożenia, nie myśląc o bezsensowności ucieczki, wobec ukraińskich band otaczających obronne obozowisko. Ktokolwiek opuściłby jego granice, stałby się niechybnie ofiarą upowskich rezunów. Na szczęście w końcu przemówił jakiś rozsądek. Nikt nie zdecydował się uciekać. Zrozumiano, że sytuację ratować

można tylko mobilizując wszystkie siły do obrony. Natychmiast pojawiły się rezerwy ludzi, które skierowano na pozycje obronne.

Grupa dyspozycyjna, w której znalazłem się z Drzewieckim, pod dowództwem Henryka Cybulskiego „Harego”, ruszyła pośpiesznie w stronę Zagajnika, skąd pluton Tadeusza Mielnika, zaskoczony ostrym i dobrze zorganizowanym upowskim natarciem, walcząc z całą determinacją, zaczął się wycofywać. Z odsieczą przybyliśmy w samą porę. Pozwoliło to na opanowanie sytuacji. Atak został wstrzymany. Upowcy zorientowawszy się o przybyłej odsieczy zaczęli się wycofywać za rozległy, doskonale maskujący łąn żyta. Wycofując się, ostrzeliwali zabudowania zapalającymi pociskami, wzniecając parę pożarów. Kiedy znaleźli się już poza żytem, po obu stronach zagrała wszystka posiadana broń. Zboże zadrgało jak żywe. Nie wiadomo jak skończyłoby się to starcie, gdyby nie inicjatywa Alberta Wasilewskiego, który z kilkoma żołnierzami obszedł ów łąn zboża i z flanki zaatakował upowców. Szczególnie ogień erkaemu Władka Cybulskiego okazał się bardzo skuteczny. Ogniem z flanki Ukraińcy zostali zaskoczeni. Sądzili, że są osaczeni, wykorzystując więc pobliski rów melioracyjny, wycofali się do opodal leżącego lasu. W pościg za nimi rzucili się żołnierze plutonu Mielnika. Na tym odcinku sytuacja została całkowicie opanowana. Z zarośli i różnych kryjówek wychodzili przerażeni mieszkańcy. Ofiarami tego napadu padli jednak mieszkańcy tego osiedla Słowikowski i Jabłoński.

Na innych odcinkach obrony Przebraża trwało wciąż ostre pogotowie. Placówki w każdej chwili oczekiwały nieprzyjaciela i były zdecydowane odeprzeć każdy atak. W tym samym czasie na głębokim przedpolu prowadzono rozpoznanie. Marcel Żytkiewicz wzięwszy kilku ludzi konno wyruszył na rozpoznanie terenu w kierunku wsi Tworymeru i Wincentówki. Pod Tworymerem oddział natknął się na sporą upowską bandę, która rabowała ostatnie gospodarstwa, uprzednio wymordowawszy ich mieszkańców. Patrol Żytkiewicza ukrył konie w zaroślach i zajął stanowiska na skraju lasu, mając doskonały wgląd na drogę wiodącą do Przebraża. Spodziewano się tu właśnie upowców. Rzeczywiście, wkrótce potem Ukraińcy skończywszy swoje krwawe dzieło wysypali się bezładną kupą na drogę. Prowadzili ze sobą kilka wozów załadowanych zrabowanym dobytkiem. Ilość banderowców przerażała Żytkiewicza i jego ludzi. Postanowili jednak zaatakować ich, licząc na zaskoczenie i możliwość szybkiego odskoku na ukrytych koniach. Wykorzystując odpowiedni moment, patrol otworzył gwałtowny i skuteczny ogień. Banderowcy mimo przewagi liczebnej, zaskoczeni i rażeni silnym ogniem rzucili się do panicznej ucieczki, pozostawiając na drodze wozy ze zrabowanym dobytkiem. Przebrażanie opanowali furmanki i ruszyli do swego obozu. Na zdobytach wozach poza znalezionymi na nich zbożem, mąką, odzieżą, zabitymi świniami znajdowały się również cztery karabiny i bańki z benzyną, przy pomocy której podpalano domostwa w Czolnicy, Tworymerze,

Wincentówce, którą przygotowano zapewne do spalenia Przebraża. Cios zadany bandzie na dalekim przedpolu skutecznie ostudził jej zapędy. Od zachodniej rubieży Przebraża upowcy nie podjęli już ataku.

W tym czasie, gdy banderowcy atakowali Zagajnik inne ich oddziały ostrzeliwały ogniem moździerzowym wschodnią rubież samoobrony - Chłopiny. Ponieważ wskazywało to na zamiar zaatakowania Przebraża od strony wschodniej, z kierunku Józefina i Majdanu Jezierskiego, to też w tę stronę udał się wzmocniony patrol, którym dowodził odważny młody chłopak i świetny strzelec Zygmunt Sinicki. W patrolu tym wzięły udział „papużki nierozłączki” Munek Cybulski i mój brat Romek. W pewnej chwili zauważono upowców. Patrol skrył się w na pół zniszczonym budynku. Gdy banderowcy znaleźli się przed zaczajonym patrole, obłożono ich gęstym ogniem. Na odgłos strzelaniny odezwały się ukraińskie moździerze. Strzelały jednak niecelnie, przenosząc ogień daleko na tyły patrolu, na którym sprawiało to wrażenie, że został okrażony. Nie wywołało to jednak paniki. Patrol wycofał się bezpiecznie do uroczyska Nagieł, gdzie zaległ w starych okopach i oczekiwał na dalszy rozwój sytuacji. W pewnej chwili kilkunastu upowców w Schutzmańskich mundurach wyszło z lasu i z pewnością siebie, bez żadnego ubezpieczenia skierowało się w stronę Przebraża. Patrol jakby tego oczekiwał. Podpuszczono ich na odpowiednią odległość i zasypało huraganowym ogniem. Trzech zabitych pozostało na miejscu, reszta rozpieczęła się w różne strony. Patrol bez strat własnych wrócił do bazy.

Przed południem wzniecone przez napad pożary zaczęły wygasać, a pod wieczór, wracające z rozpoznania patrole meldowały, że wokół Przebraża nie stwierdziły większych upowskich zgrupowań, które wycofały się w kierunku Kólek i Jaromla. Wiedzieliśmy jednak, że nie jest to jeszcze kres walki. Każdy dzień i każda noc zapowiadały nowe zagrożenia w bazie i poza bazą.

OSTATNIA NOC

W pierwszych dniach lipca 1941 r. Niemcy zajęli Rożyszcze i okolice. Władzę ustanowiła społeczność narodowości ukraińskiej - podobnie jak we wrześniu 1939 r., tylko tym razem bez udziału narodowości żydowskiej.

Utworzona z ludności narodowości ukraińskiej policja dała o sobie znać wychwytywaniem jeńców radzieckich, przeprowadzaniem rewizji i różnymi działaniami przeciwko ludności polskiej. Już w lipcu osiągnęła niemałe wyniki. Policja składała się z ludzi najbardziej nieprzejednanych, a jednocześnie doskonale znających teren. W mojej okolicy: Rożyszcza, Rudnia, Welnianka, Sitarówka, Olganówka Stara i Nowa, Katerynówka, Retowo itd. - działali ci sami, którzy w okresie władzy radzieckiej 1939-1941 r. występowali jako jej rzecznicy. Wymienić tu należy takich jak: Ławrientij Parfeniuk - urzędnik finansowy Sielsowietu Katerynówka, za Niemców zaś pełnomocnik Urzędu w Rożyszczach, Marko Bojarczuk - przewodniczący Sielsowietu, a i później również, Wołodia Parfeniuk syn Ławrientija, policjant posterunku w Rożyszczach i pełnomocnik na wsie Katerynówka, Olganówka Stara i Nowa oraz Retowo. Jego brat Wiktor i siostra Maria pracownicy Urzędu w Rożyszczach byli donosicielami i pierwszymi rabusiami Żydów. Mekita z Olganówki - odpowiedzialny za kontyngenty siły roboczej do Niemiec. Z jego to inicjatywy zostało wywiezionych wielu Polaków i Polek, stanowiących trzon inteligencji polskiej. Chodziło o to, żeby pozbyć się tych wszystkich, którzy mogli w przyszłości zaszkodzić nacjonalistom ukraińskim. Wymienić tu należy także Tura z Nowej Olganówki - członka Rady w Rożyszczach oraz Sławatycz, Iwana Szuma z Katerynówki - członka Rady Komendy Policji w Rożyszczach jak też wielu innych z Rudni, Welnianki i samych Rożyszcz. Właściwa ich rola ujawniła się w okresie zakładania gett i rzezi ludności polskiej. Liczyli się w szczególności tacy „zasłużeni” jak Tur, Sławatycz, Bojarczuk, córka Bojarczuka Nastia Bojarczuk. Oni to właśnie po wyzwoleniu w 1944 r. weszli po raz drugi w skład władzy radzieckiej, aby oddać jak największe usługi donosicielskie na Polaków jako członków „band polskich”.

Duże obszary leśne oraz pomoc ludności polskiej, łatwość zdobywania broni i amunicji pozwoliły obronić się części jeńców radzieckich przed licznymi obławami i łapankami. Już w lipcu 1941 r. w lasach retowskich schroniła się pewna grupa żołnierzy radzieckich, która przetrwała dzięki gajowym Suchowieckiemu i Ferencowi. O poczynaniach policji ukraińskiej dowidywaliśmy się powoli, ale systematycznie. Z moich rówieśników utworzono grupę zwiadowczą, której zadaniem było działanie na rzecz ludności polskiej, jeńców radzieckich oraz obserwacja wszystkich sytuacji i zamierzeń policji.

Pierwsza taka grupa powstała w Katerynowce. Należeli do niej: Henryk Kamola, Leon Wilk, Stanisław Szachnowski, Mieczysław Pachla, Zygmunt Habrych. Ferenc i Suchowiecki wówczas gajowi zaprzysięgli nas. Naszym zadaniem było wyszukiwanie i staranie się o broń, amunicję, odzież oraz wyżywienie dla żołnierzy radzieckich, utrzymujących się w lasach retowskich. Źródłem broni, amunicji, obuwia i płaszczy były groby żołnierzy, którzy zostali pogrzebani w tych okolicach. Nie były to praca łatwa i przyjemna. Po przejściu frontu, zabitych żołnierzy grzebano ze wszystkim, co leżało obok i z tym, co mieli przy sobie. Chociaż nacjonaliści ukraińscy, a w szczególności Wołodzia Parfeniuk policjant i Mykita zobowiązywali mieszkańców do zrównywania grobów z ziemią.

Wspomniana grupa szybko się rozrastała, przybywali coraz to nowi koledzy z różnych miejscowości. Nasi ojcowie już wcześniej byli zorganizowani i udzielali nam rad i wskazówek. Byliśmy tymi, którzy ze względu na swój młody wiek wykonywali niekiedy zadania, których nikt inny nie był w stanie wykonać. Jesienią 1941 r. otrzymaliśmy polecenie przewiezienia broni przez Rozyszcze do nowopowstającej grupy. Wówczas to poznaliśmy nowych chłopaków ze wsi Sitarówka, Welnianka, Rudnia i z Rozyszcz, którzy pomagali nam i z którymi wspólnie wykonywaliśmy różne zadania.

Pod koniec 1942 r. dowiedzieliśmy się o powstawaniu partyzantki, a nieco wcześniej o małych oddziałach Samoobrony, które już wspólnie wspomagały się organizacyjnie. Dochodziły też coraz częściej wiadomości, że nacjonaliści ukraińscy zamierzają rozprawić się z ludnością polską na Wołyniu. Zaczęto więc budować schrony, ukryte i zamaskowane na wypadek zaskoczenia. Prowadzono też szkolenie w obchodzeniu się z bronią i amunicją.

Już na początku 1943 roku słyszało się o pojedynczych mordach w różnych miejscowościach. Mordy takie występowały w odległych wsiach i w różnych okolicznościach, potwierdzały jednak coraz bardziej zamierzenia nacjonalistów ukraińskich. Strach przed okrutną śmiercią zaczynał narastać wśród miejscowej polskiej ludności. To mobilizowało Polaków i tak w mojej miejscowości, w Katerynowce powstał mały oddział samoobrony. Na komendanta wybrano mojego ojca (dziś już nie żyjącego) Jerzego Wardacha.

Żołnierzami byli sąsiedzi : Sakowski z synem Piotrem, Wawrzyniec, Piotr i Roman Mękalowie, Jan i Stefan Kowalczykowie, Jan Walenty i Szachnowski. Każdy z nich budował schron w swoim gospodarstwie, zamaskowane przejścia z domu do schronu. Zaopatrywano się w broń i amunicję, a przez pewien okres wszystkie rodziny zbierały się na noc w jednym miejscu, w schronie. Mężczyźni pełnili warty, a dzieci i kobiety spały w schronie. Takie życie było bardzo uciążliwe, to też z nadejściem wiosny 1943 r. zaniechano takich praktyk i każda rodzina w Katerynowce miała sama czuwać nad swoim bezpieczeństwem. Było to akurat na kilka dni przed napadem.

W nocy z 7 na 8 maja 1943 r. banda nacjonalistów ukraińskich napadła na Katerynowkę. Prawie jednocześnie zaczęły płonąć zabudowania polskich rodzin. Rozległo się wycie psów, ryk bydła, rżenie koni, kwik, pisk. Trzaski i szum olbrzymich płomieni zagłuszały wszystko. Powstało istne piekło. Każdy ratował się przed ogniem, bandyci zaś wyłapywali wybiegających z domów i mordowali. Pomimo, iż posiadali broń palną, to morderstw dokonywali przy użyciu noży w najbrutalniejszy sposób. Rozpruwano i wypuszczano jelita, wylamywano ręce i nogi, dzieci zabijano tłukąc je głowami o ściany domów itp.

W Katerynowce tej nocy zamordowano 27 osób. Jak się później okazało w Klepaczowie oddalonym o około 6 km, oddzielonym od Katerynowki dużym lasem, tej samej nocy zamordowano 30 osób z polskich rodzin. Katerynowka była zamieszkała przez ludność mieszaną, zabudowania gospodarcze były rozrzucone w formie kolonii w odległościach do 0,5 km i więcej jedno od drugiego. W naszym przypadku mieszkało tak po sąsiedzku 7 rodzin polskich, wokół nich zaś ukraińskie. Moja rodzina mieszkała raczej po środku, dlatego do nas schodziły się pozostałe rodziny i u nas omawiano wszystkie sprawy dotyczące bezpieczeństwa. Jednak jak już wspomniałem, właśnie na kilka dni wcześniej wszyscy rozeszli się do własnych domów.

Mord to był okropny. Wszystko spalono, resztki jeszcze dopalały się, czuć było odór spalonych zwierząt ciała ludzkie leżały obok siebie, niektóre na pół spalone. Pamiętam to wszystko jak by to było dziś. Gdy rozwidniało się obiegłem wszystkich pomordowanych, licząc, że komuś może być potrzebna pomoc. Niestety, jedynie małe dziecko, dwuletni synek Piotra Mękala żył jeszcze. Miał obydwie rączki i nóżki wylamane, na wpół przytomny prosił pić i za chwilę zmarł. Drugą osobą, która dawała znaki życia była Zofia Koper, młoda dziewczyna. Miała rozpruty brzuch, jelita były zmieszane z ziemią, zbroczone krwią. W potwornych męczarniach zmarła. Pozostałe osoby już nie żyły. Niektóre były okrutnie poszlachtowane nożami, a każdy był na pół obnażony, tak jak ułożył się do snu. Od rana zjeżdżały się rodziny pomordowanych z dalszych i bliskich wsi. Rozpacz, płacz, lament nie do opisania ogarnęły wszystkich. Około południa przyjechali Niemcy, popatrzeli, poszwargotali i odjechali.

Pod wieczór ułożono wszystkich pomordowanych na drabiniastym wozie konnym i wraz z resztą żyjących opuściliśmy Katerynowkę na zawsze. W Katerynowce zostali wówczas zamordowani również Dunia z żoną (Polacy) oraz Ukraińcy Walery Błaszczuk z żoną i dzieckiem, także stara Błaszczakowa. Wszyscy zostali przewiezieni do Kiwerca i pochowani we wspólnej mogile.

Oto jak ocalała moja rodzina. Jak już wcześniej wspomniałem do nas schodziły się polskie rodziny. Gdy wszystkim dokuczyły już te codzienne wędrówki i postanowili spać we własnych domach, ojciec mój jakby coś przeczuwał. Nakazał matce, aby zabrała dzieci i poszła spać do schronu, sam natomiast pozostał na obserwacji. Wziął karabin maszynowy, obrał dogodnie miejsce i czuwał. Około północy najpierw zaczęły ujażdżać psy, później jako pierwszy palił się dom Wawrzyńca Mękala, a za chwilę następny. Ojciec zorientował się, że jesteśmy zagrożeni, wpadł do schronu, obudził mnie i szybko zajęliśmy stanowiska w okopanym rowie wokół sadu. Sad i rosnąca przed nami wierzbna na tle płonących zabudowań stwarzały cień i dogodne warunki na zmiany stanowiska, dzięki czemu bez przerwy szły krótkie serie z karabinu maszynowego i z mauzera. Zmienialiśmy się bardzo szybko, ostrzeliwując wokół siebie teren i dając pozory, że sad okalający budynki jest cały obstawiony. Bandyci nie odważyli się podejść bliżej. Tylko jeden raz pojawili się od strony Marka Bojarczuka, gdzie była dość głęboka jama. Zostali jednak zauważeni i po dokładnym ostrzale tego miejsca do końca nocy nie powtórzono próby podpalenia naszych budynków z amunicji zapalającej. Gdyby udało im się podpalić zabudowania, uzyskaliby lepszą widoczność i kto wie jakby się to dla nas skończyło.

To była ostatnia noc naszego pobytu w Katerynowce. Pod wieczór wraz z pozostałymi, którzy pozostali przy życiu, zabierając ciała pomordowanych, wyjechaliśmy do rodziny w Sitarówce. Sitarówka to wieś prawie polska, zamieszkała częściowo przez osadników wojskowych. Następnego dnia zgromadziła się cała wieś i natychmiast zorganizowano placówkę samoobrony. Na komendanta znowu wybrano mojego ojca. W dużym kolejowym budynku zorganizowano placówkę. Na parterze zamurowano okna, na piętrze i poddaszu przygotowano punkty obronne i obserwacyjne. Budynek wokół okopano z punktami obrony i dla ludzi pełniących warty. Do tegoż budynku schodziła się na noc cała wieś. Mężczyźni pełnili wartę, a kobiety i dzieci spały na zamurowanym parterze.

Już latem 1942 roku, tuż po wymordowaniu ludności narodowości żydowskiej w gettach, mordowano Polaków, w szczególności nauczycieli oraz ludzi, którzy mogliby być organizatorami samoobrony. Nacjonaliści niszcząc krzyże przyrodne wyznania rzymskokatolickiego oskarżali o to partyzantkę radziecką oraz tak zwane bandy „żydowsko-bolszewickie”. Już jesienią w 1942 r. pojawiły się symboliczne kopce usypane z ziemi. Rozchodziły się

też wieści o walce Ukraińców o „Samostijną Ukrainę”. Takie informacje dochodziły z wiosek zamieszkałych wyłącznie przez Ukraińców, takich jak np. : Serniki, Trościanka, Ulaniki, Krawatka. W tych wsiach były też usypane kopce, a ich wielkość miała świadczyć o sile środowiska nacjonalistów.

Po wymordowaniu Kiepaczowa i Katerynowki Polacy z tamtejszych okolic z całą powagą potraktowali narastającą groźbę. Zaczęły masowo powstawać placówki samoobrony. W Olganówce Starej zorganizowano dwie placówki i punkty wartownicze. Jeden znajdował się u rodziny Dziubów i tam Czesław Dziuba był komendantem. Druga placówka powstała u Baranowskich, gdzie komendantem został Karol Baranowski. W Nowej Olganówce placówka samoobrony powstała u Dobrowolskich, jej komendantem był Stanisław Dobrowolski. Miała ona nawet karabin maszynowy. Placówka w Sitarówce pozostawała do końca pod dowództwem mojego ojca.

Podobne placówki powstały również w Walerianówce, Wełniance, Dubiszczach, Elżbietynie, w którym dowodzili bracia Józef i Stanisław Cichusowie. Natomiast Rożyszcze i Kopaczówka przeistoczyły się w podobne twierdze jak Przebraże, w którym broniło się około 20 tys. ludności polskiej. Wszystkie placówki udzielały sobie wzajemnej pomocy.

W 1943 roku 30 czerwca, kiedy Wełnianka, Rożyszcze, Elżbietyn i Olganówka wyruszyły na pomoc dla Przebraża, nacjonaści w nocy napadli na placówkę w Sitarówce. Po długiej i zaciętej walce odступili, a z naszych ludzi stracił rękę Franciszek Wardach brat ojca, poza tym nic nikomu się nie stało. Ponieważ ojciec był komendantem i był wtajemniczony we wszystkie sprawy, wiele rzeczy nawet najdrobniejszych nie było mi obcych. Zlecano mi różne sprawy, różnego rodzaju powinności, przeważnie łącznika między placówkami i zwiadowcy, dzięki czemu poznałem wcześniej wszystkie miejscowości, wszystkie drogi i przejścia leśne. Najczęściej jechałem na rozpoznanie terenu nawet bez polecenia na własną rękę, a nierzadko też jeździłem konno na Katerynowkę, która była całkowicie wyludniona. Pamiętam taki przypadek. Nigdy nie wracałem tą samą drogą, toteż i tym razem w drodze powrotnej pojechałem łąkami i lasem, zauważając w pewnym miejscu trochę podejrzanych mężczyzn. Przejechałem jednak obok, jakby ich nie widząc. Dalej, koło IV śluzu rodziny polskie grabiły siano. Było tam kilku mężczyzn z bronią, ale na wypadek napadu nie byłoby to wystarczające. Podjechałem do nich i ostrzegłem, że za Katerynowką od strony Budiaczewa pod lasem zauważyłem kilku podejrzanych osobników. Poprosili, abym pojechał jeszcze raz i sprawdził. Pojechałem więc lasem, zajeżdżając ich z drugiej strony. Zauważyłem kilka wozów konnych i sporą grupę uzbrojonych mężczyzn. Szybko uprzedziłem ludzi grabiących siano. Następnie zawiadomiłem placówkę w Olganówce, a potem w Sitarówce. Okazało się jednak, że banda była o wiele liczniejsza niż się spodziewano. Po zaciętej walce dopiero pod wieczór została rozgromiona. Uciekając w stronę Budiaczewa w lesie

pozostawiła część wozów i broni. Placówki biorące udział w tej akcji przeszły tyralierą przez las, aż do Klepaczowa.

Zdarzało się również i tak, że niektóre rodziny ukraińskie z Rudni ostrzegały Polaków o bandyckich przygotowaniach. W lutym 1945 r. po przyjeździe sowieckiej armii, wydawać by się mogło, że wszystko się skończy, że minęły dni grozy, strachu i barbarzyńskich mordów, ale to jeszcze długa historia...

TO ZOSTANIE W PAMIĘCI

Pierwszą znaną nam ofiarą mordu popełnionego przez ukraińskich bojówkarzy, między miejscowościami : Huta Stepańska i Antonówka oraz Stepaniem i Rachwałówką, był mieszkaniec parafii Wyrka p. Jan Zieliński, lat około 40-tu, ojciec pięciorga dzieci, który, uzgodniwszy poprzednio w sąsiedzkiej ukraińskiej wsi o nazwie Werpeże z nieznanym nam z nazwiska Ukraińcem zamianę prosiaka na siano, pojechał dokonać tej transakcji. Nie dojechał jednak. W czasie jazdy przez las został napadnięty, pobity, po czym związano mu ręce i nogi i żywego rzucono w ognisko. Zwęglone zwłoki były wystawione przed kościołem parafialnym we wsi Wyrka. Powyższy mord popełniono jesienią 1942 r.

Drugą ofiarą mordu był p. Jan Skiba, urodzony w Kępnie (woj. poznańskie), nauczyciel we wsi Wyrka. Jan Skiba, który stołował się i mieszkał w naszym domu, został wybrany dowódcą samoobrony wsi. Na początku kwietnia 1943 r. nieznana nam kobieta powiadomiła go, że istnieje możliwość kupna karabinów za zboże. Dla uzgodnienia szczegółów transakcji miał zgłosić się w oznaczonym dniu i miejscu. Miejscem spotkania był las położony między wsiami Szymonisko i Wyrobki. Samoobrona nasza organizowała już wtedy wartę, ale tylko od godz. 20 do 6 rano i to tylko z kosą lub widłami w rękę. Jeśli ktoś miał tzw. „obryzna” - karabin z obciętą do połowy lufą - to był wielkim szczęściarzem. Możliwość zdobycia broni była więc bardzo pożądana. Jana Skibę wiół w umówionym dniu furmanką mieszkaniec wsi Wyrka Bolesław Brzozowski, lat około 50-ciu. Kiedy przybyli na oznaczone miejsce do furmanki podeszło kilku uzbrojonych po zęby mężczyzn i zabralo Skibę ze sobą. Inni mężczyźni nie pozwolili pod groźbą śmierci ruszyć się z miejsca zarówno Brzozowskiemu jak i innym zatrzymanym w tym czasie osobom, przypadkowo przechodzącym lub przejeżdżającym drogą obok wyznaczonego miejsca. Mężczyźni, którzy zatrzymali i zabrali Skibę mówili płynnie zarówno po polsku jak i po ukraińsku i w przeciwieństwie do pozostałych sprawiali wrażenie inteligentów. Po wielu godzinach, wieczorem, Brzozowskiego oraz inne uprzednio zatrzymane osoby

wypuszczono do domu. Dopiero nazajutrz zwłoki Skiby znaleziono w pełnym wody wyrobisku po kamieniołomie. Do jego okaleczonego ciała przywiązany był ciężki kamień. Z ubrania zamordowanego znaleziono tylko krawat. Nau czyciela pochowano na cmentarzu.

Następną ofiarą mordu był Władysław Dziekański ze wsi Wyrka, lat 19-cie, który został uprowadzony wraz z siostrą do lasu, skąd siostrze udało się zbiec i wrócić do domu. Los uprowadzonego pozostał nieznanym.

Ofiarą zbirów padła również nasza piętnastoletnia kuzynka Helena Kar czewska, która wraz z ojcem pojechała radlić swe ziemniaki we wsi Grabina pod miasteczkiem Osowa. Napadnięta przez Ukraińców, wyrwała się im i zaczęła uciekać do ojca, do pobliskiego lasu. Niestety strzał w nogę uda remnił jej ucieczkę. Ukraińcy dopadli ją i po zgwałceniu dobili strzałem w podbródek. Niemym, bezbronnym i bezsilnym świadkiem śmierci córki był jej pięćdziesięcioletni ojciec.

W dniach 15-18 lipca 1943 r. prawie wszystkie okoliczne wsie polskie zostały napadnięte jednocześnie i nie mogły udzielić sobie wzajemnej po mocy. Pamiętamy, że był to piątek. Cała wieś Wyrka została w nocy z trzech stron podpalona i ostrzeliwana z różnorakiej broni. Mama, ja i moja 16-letnia siostra Jadzia zaczęliśmy uciekać zaprzężonym w dwa konie wo zem w kierunku wsi Siedliska, ale i tu pociski zapalające wznęcały coraz to nowe pożary. Z Siedliska uciekaliśmy więc w kierunku Huty Stepańskiej, gdzie wkrótce zebrały się niedobitki ze wszystkich okolicznych wsi. W nie dziele rano ogromny tabor wozów konnych wyruszył z Huty Stepańskiej w kierunku Wyrki, a stąd w kierunku Rafałówki i Antonówki, w zależności od tego, gdzie kto miał rodzinę lub znajomych. Wzięliśmy na swój wóz naszą starszą siostrę Władzię Oczuchowską, mężatkę z dzieckiem Leszkiem na rękę. W powrotnej drodze z Huty Stepańskiej widzieliśmy we wsi Siedlisko zaraz przy drodze zamordowanych Jana i Franciszkę Oczuchowskich i nie co dalej w sadzie Antoniego Oczuchowskiego, lat około 80-ciu. We wsi Wyrka widzieliśmy Helenę Felińską wraz z dwójgiem dzieci lat około trzech i sześciu. Wszyscy byli zamordowani bagnetem lub nożem. Również we wsi Wyrka w pobliżu plebanii leżała zabita bagnetem Dioniza Wawrzynowicz.

We wszystkich wsiach były tylko zgłiszczcza, my zaś, głodni, szukaliśmy przy tych zgłiszczkach resztek pożywienia, gdyż w popłochu rzadko kto wziął ze sobą choćby trochę żywności. Kiedy jechaliśmy przez wieś Wyrka, zosta liśmy ostrzelani z broni maszynowej od strony młyna, czyli od sąsiedniej wsi Soszniki, którą od Wyrki dzieliła błotnista rzeczka i pasmo wierzb i olch. W tym kierunku właśnie zamierzaliśmy jechać, ale konie, prowadzone nie wprawną ręką siostry Jadzi, spłoszyły się, zeszły z drogi między drzewa i wóz utknął w miejscu. Hordy morderców zbliżały się coraz bardziej, było już słychać ich okrzyki. Zostawiliśmy więc wóz z końmi i ruszyliśmy w kie runku wsi Wydymer i Antonówki. Mama niosła na rękę sześciomiesięcznego

Leszka, a Jadzia wlokła krwawiącą siostrę Władzię. Idąc dalej, zobaczyliśmy siedzącego pod płotem spalonego własnego domu Józefa Libere. Miał wydłubane oczy i pełno w ciele krwawiących dziur od bagnatów. O kilka metrów dalej widzieliśmy nieznaną nam dziewczynkę lat około 6-ciu, która stojąc nad swą zabita matką, krzyczała - oj mamusiu ! Prosiłiśmy, żeby szła z nami, ale została przy zabitej matce. Po minięciu wsi Wyrka, we wsiach następnych, aż do Wydimeru przez wsie Ożanie i Hały, wszędzie spotykaliśmy podobne widoki. W taki to sposób dowlekliśmy się wreszcie do Wydimeru i tam znaleźliśmy kilkudniowe schronienie przed bulbowcami oraz przed wywiezieniem do Niemiec na roboty.

Nie mógłbym pominąć faktów, że i wśród Ukraińców spotykało się bardzo dobrych i współczujących nam ludzi. Niestety nie znam nazwisk tych, którzy uratowali polską dziewczynkę, mieszkankę wsi Wyrka, Jadwigę Dziekańską, lat około 6-7-miu. Oto jej historia. W czasie ucieczki przed upowcami dziewczynka była już tak zmęczona, że nie mogła iść o własnych siłach, więc jej mama niosła ją na rękach. Kula karabinowa trafia Jadzię w udo, przechodzi przez mięśnie i więźnię w piersi jej matki Franciszki Dziekańskiej. Matka Jadzi ginie na miejscu. Jadzia, leżąc przy martwej matce, bandażuje sobie sama szmatką krwawiącą ranę i czeka na ratunek. Przez dziesięć dni dziewczynka w dzień jest przy swojej mamie, a w nocy śpi na stojącym w pobliżu rozbitym wozie, pełnym pierzyn i poduszek. Jadzia żywi się wytartym z dojrzewających kłosów ziarnem, pijąc wodę ze znajdującej się w pobliżu kałuży. Któregoś dnia Ukrainiec ze wsi Werpce przyjeżdża kosić pozostawione przez Polaków łany dojrzewającego już zboża i znajduje Jadzię. Jedna z ukraińskich rodzin zabiera ją do wsi Werpce. Rada wsi wywierała na tę rodzinę nacisk, aby dziecko „porzucone przez Łachów” zabić, ale w obronie jej życia wystąpił nauczyciel, również Ukrainiec z Werpca, który zabrał ją do siebie na wychowanie. Wyliczona i odżywiona Jadzia szybko wróciła do zdrowia. W 1944 roku na tym terenie byli już Rosjanie. W okresie organizowania nowego szkolnictwa, na zjeździe nauczycieli w Sarnach zjawiał się również ocalały dawny kierownik szkoły powszechnej we wsi Wyrka p. Kazimierz Karpiński. Był także wspomniany wyżej nauczyciel Ukrainiec z Werpca. Zwierzył się on, że wychowuje polską dziewczynkę ocalałą ze wsi Wyrka. Kazimierz Karpiński, tknięty niejasnym przeczuciem, wyjechał wkrótce do owego nauczyciela Ukraińca. Tuż po jego wejściu do mieszkania na jego widok mała Jadzia zawołała radośnie: „nasz pan przyszedł !” Jadzia bardzo dobrze знаła pana Karpińskiego, gdyż zawsze bawiła się z jego córeczką Lalą. W taki to sposób Jadzia trafiła do rodziny państwa Karpińskich, którzy zwrócili dziecko ojcu po jego powrocie z niewoli niemieckiej. Obecnie pani Jadzia mieszka w Gdańsku i jest nauczycielką.

BYLEBY UCIEC

Huta Stepańska to moja rodzinna wieś. Jedna z większych i ładniejszych w powiecie Kostopolskim na Wołyniu. Tu się urodziłam, ukończyłam siedmioklasową szkołę powszechną, wyszłam za mąż, a w tragicznym 1943 r. wraz z kilkunastotysięczną rzeszą ludzi musiałam opuścić ją na zawsze. Uciekałam przed rzezią ukraińską, nie zabrawszy absolutnie nic z dobytku czy żywności, ledwie przyodziana, z 5 i 7 letnimi dziećmi i siedemdziesięcioletnią ciocią. Dziś, po tylu latach, jeszcze bolą te koszmarnie wspomnienia i sama sobie dziwię się jak mogliśmy przeżyć to piekło.

Huta wraz z małymi kilkurodzinnymi osiedlami liczyła około 1000 mieszkańców. Był tu piękny, drewniany, nowy kościół, który nie był jeszcze całkowicie wykończony, ale jego strzelista wieża już górowała nad okolicą. Była też piętrowa murowana szkoła, Dom Ludowy, poczta, posterunek policji, mleczarnia, cztery sklepy spożywcze, Kasa Stefczyka. Mieliśmy organizacje: Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży, Związek Strzelecki, Koło Gospodyń Wiejskich, Kółka Rolnicze, szkolną organizację harcerską.

Oprócz Polaków mieszkało to około piętnastu rodzin żydowskich, które trudniły się handlem i rzemiosłem. Ukraińcy zamieszkiwali głównie w okolicznych wsiach, takich jak np. Butejki, Werbcza, Rudnia, Mydek, Horodziec, Kryczyłsk i inne. Były to wsie bardzo duże, ciągnące się wzdłuż drogi. Po jednej stronie ulicy stały domy mieszkalne, po drugiej zaś zabudowania gospodarcze. Z Ukraińcami nie mieliśmy żadnych zatargów. Bogatsi rolnicy często wynajmowali ich do prac polowych czy pasienia bydła. Wśród prostych na ogół, a często prymitywnej ludności ukraińskiej pojawiali się również ludzie wykształceni. Tak np. w Stepaniu odległym od Huty o 12 km kierownikiem szkoły był Ukrainiec, a w gminie Stydyń Ukrainiec był wójtem.

Huta była w zasadzie wsią zasobną, choć nie brakowało tu i biedniejszych małorolnych rolników. Tym ostatnim polepszył się byt, gdy w latach trzydziestych odkryto lecznicze solanki i błota. Powstało wówczas uzdrowisko „Stone Błoto”, w którym pracę i zarobek ci biedniejsi znaleźli. Zaczęto

budować szpital, lecz wojna niestety przeszkodziła w realizowaniu wielu przedsięwzięć.

Mój mąż w 1939 r. został zmobilizowany do wojska i dopiero po ośmiu latach tułaczki poprzez Związek Radziecki, Irak, Iran, Palestynę, Egipt, Włochy i Anglię wrócił do kraju. W prowadzeniu gospodarstwa pomagał mi dwiętnastoletni kuzyn, Stanisław Kołodyński, późniejszy partyzant Armii Krajowej.

Jesienią 1942 r. nastąpiły pierwsze pojedyncze morderstwa i grabieże. Z każdym dniem jednak słyszało się coraz częściej o większych napadach na polskie wsie, wieczorami zaś łuny pożarów świadczyły o tym, że coraz większe niebezpieczeństwo zbliża się ku nam. Do Huty zaczęli napływać najpierw pierwsi pojedynczy uciekinierzy z częścią uratowanego dobytku i skromnymi zapasami żywności, ale już po tygodniach przyjmowaliśmy całe okoliczne wsie. Zaczęto też budować schrony, bunkry i zasieki.

Ukraińcy mieli przewagę nie tylko liczebną. Starali się przysłużyć każdej władzy tamtych czasów. Gdy w 1939 r. wkroczyła armia sowiecka Ukraińiec został „Hołową Sielradą” jako komunista. W 1941 r. po wkroczeniu Niemców znalazł się od razu inny Ukraińiec, który objął to stanowisko tym razem występując jako nacjonalista.

8 II 1943 r. nadeszła straszna wieść, że w Butejkach, ukraińskiej wsi, w której mieszkało kilka rodzin polskich, wymordowano 6 osób, w tym dwoje młodych narzeczonych z Huty - Edwarda Kałusa, księgowego w majątku państwowym i jego narzeczoną Eugenię Jucewicz. Pogrzeb odbył się w Hucie z udziałem niezliczonego tłumu wystraszonych ludzi. Z zaciśniętych gardel nie mogliśmy wydobyć słów, książd żegnał dwoje barbarzyńsko zamordowanych, nawołując do organizowania samoobrony i pełnienia warty. Ale z czym wartować ? Z pałką ? Z kijem ? Z pogrzebu wróciłam do domu przygnębiona. Zimowy zmierzch szybko zapadał. Przez okna mojej kuchni i sypialni miałam widok wprost na „Słone Błoto”, gdzie mieszkała z rodziną zamordowana Gienia Jucewicz. Nie mogłam zasnąć, dręczyła wciąż wizja śmierci pomordowanych. Wieczory długie zimowe z braku światła stawały się jeszcze dłuższe. Po naftę musieliśmy jeździć do Sarn odległych od Huty o 40 km. Handel oczywiście tylko wymienny ; za jeden litr nafty płacono się jeden, dwa kilogramy słoniny, trzeba było przy tym jechać furmanką przez wsie ukraińskie i las. Nic też dziwnego, że oszczędzało się tę naftę jak tylko można, wlewało się ją do małego kałamarza, wsadzało mały knot, zrobiony z bawełnianych nici lub flaneli. Przy takim świetle przedtło się, robiło się na drutach czy szyło.

Drzwi były zaryglowane, zamknięte na klucz i podparte grubym kołkiem. Tego dnia zmęczona i przejęta pogrzebem usnęłam, gdy nagle obudził mnie łomot do drzwi i walenie do okien. Przez zamaznięte szyby migwały wielkie czapy na głowach i karabiny na plecach. Zamartam z przerażenia. Dzieci

obudziły się i bez słowa, cichutko leżały, ciocia też milczała. Zerwałam się, narzuciłam jakąś sukienkę na siebie. Wciąż słyszę krzyki i walenie do drzwi: „otwieraj !” Nie pamiętam, co myślałam - nie otwierałam, tylko pobiegłam do chłopca, który spał w kuchni. Błady, wylęknięty nie zdążył się nawet ubrać, gdy z hukiem runęły drzwi wyrwane z zawiasów. Wtargnęli do kuchni. Było ich trzech - twarzy nie pamiętam, chyba nawet nie patrzyłam na nich, tylko zamarła ze strachu odpowiadałam na pytania, że nie otwierałam drzwi, bo się bałam i że żadnej broni w domu nie ma. Zaczęli palić zapalnikami papiery, listy znalezione w szufladzie. Bałam się, że od płonących papierów zapalą się chodniki, zapaliłam więc knot w kałamarzu i jakoś dziwnie opanowana oprowadzałam ich po całym mieszkaniu, mówiąc - zabierajcie wszystko, tylko nas nie zabijajcie. Spieszyli się, zabrali jakieś ubrania, buty tego chłopca, kilka sztuk dzieciennych pończoszek i skarpet. Nagle padły strzały na dworze, gdzieś blisko, myślałam, że to na naszym ganku, potem powtórzyły się, usłyszałam głośny krzyk tuż przed naszymi drzwiami : „wikajcie !” W popłochu przez wywalone drzwi zaczęli się przeciskać, po czym nastąpiła złowroga cisza, która nie pozwoliła nam odezwać się słowem. Przy otwartych i nie mogących się zamknąć drzwiach, czekamy na ich powrót. Dociera do nas jakiś tumult i nikt nie wraca. Wyjrzelśmy na dwór, noc i cisza. Nie pamiętam dziś, ani wówczas nie umiałam uprzytomnić sobie jak długo to trwało.

Mieszkałam w środku wsi przy głównej drodze. Na przeciwko mieszkała rodzina Piotrowskich; solidny, szanowany we wsi Stanisław, najstarsza jego córka Mirka, młodszy syn Henryk i najmłodszy Czesław. Tej nocy Henryk był na warcie z kolegą, Zbyszkciem Hofmanem. Gdy po północy nadjechały sanie z uzbrojonymi Ukraińcami, wielu stróżujących zdołało się ukryć, ci dwaj jednak zostali zatrzymani. Ukraińcy kazali prowadzić się do gospodarza z dobrymi końmi. Poszli więc do Hipolita Sawickiego. Tam tych dwóch młodych chłopców rozebrano i kazano gospodarzowi ich pilnować pod groźbą śmierci. Syn Hipolita Marian poszedł zaprzęgać konie i przez siebie tylko znajome wyjście zdołał uciec ze stodoły.

Jak się później okazało, w tym samym czasie, kiedy u nas grasowali trzech Ukraińców, do drzwi Piotrowskich, też zaryglowanych i też wywalonych wtargnęło ich również trzech, inni zaś byli przy koniach. Kiedy walenie w drzwi wzmagало się tak jak u nas i stało się jasne, że jest to napad, Ukraińców, Piotrowski drzwi nie otworzył i wszedł po schodach prowadzących z kuchni na piętro, gdzie były jeszcze nie ukończone pokoje. Czy chciał się stamtąd bronić, czy tam ukryć, nie wiadomo, bo zginął zmasakrowany i wyciągnięty na podwórkę. Mirka i Czesław, słysząc odgłosy walki, wyskoczyli przez wybite okno, boso i w bieliźnie pobiegli do nas na przeciwko. Przy migotliwym świetle naszego kaganka zauważyli przez szybę, że i u nas są bandyci. Pobiegli więc dalej po śniegu, w siarczystym mrozie do Hipolita. Tam zastali swego brata, kolegę i sąsiada, który na odgłos wystrzałów

wyszeli z domu, aby pomóc napadniętym. Natychmiast schowali ich do łózek, każąc udawać dzieci gospodarza. Po jakimś czasie wtargnęła banda ukraińska i na oczach zamarłych ze strachu gospodarzy zastrzelili trzech mężczyzn. Tak więc 10 II 1943 r. zostali zamordowani : Stanisław i Henryk Piotrowscy, Zbyszek Hofman i Władysław Libner - ojciec trojga dzieci.

Ludzie obudzeni strzałami, powoli, o świcie zaczęli się zbierać. Wszyscy zrozpaczeni i bezbronni. Od tej nocy, gdy tylko mrok zapadł chodziliśmy na noc do szkoły. Na siennikach i derkach układaliśmy się do snu na podłodze, nie świeciliśmy nawet „ślepiakiem”, bo duże okna na piętrze rozpraszały światło. Mężczyźni gromadzili się po kilku lub kilkunastu na warcie. Coraz częściej małe wsie zostawiały wszystko i ludzie uciekali do Huty. Jeszcze żyliśmy nadzieją, że to jakoś minie, jeszcze staraliśmy się siał i orać na wiosnę, lecz coraz więcej ludzi napływało do Huty. W każdym większym domu mieszkało po kilka, kilkanaście osób.

7 kwietnia 1943 r. znowu zginęło w Butejkach wielu młodych ludzi z Huty, którzy pojechali na ratunek polskim rodzinom. Opuszczone wsie stały się obfitym łupem dla Ukraińców.

Tragiczny lipiec 1943 r. Coraz bliższe łuny, coraz więcej ofiar, coraz mniej nadziei na ratunek. Nocą z piątku na sobotę 16 i 17 VII 43 r. słyszemy głos dzwonów kościelnych na alarm. Kto może, ciśnie się do szkoły. Ścisk, tumult, ciżba. Schody, korytarze i podwórze przepełnione. Walki toczą się w samej Hucie. Płoną domy, stodoły, chłewy. Zgliszcza, woń spalonych zwierząt i dym snujący się po ziemi jeszcze bardziej przytłaczają. Dostałam się jakoś do domu, który nie był spalony, bo dachy blaszane nie poddawały się ogniom. Nic z domu nie wzięłam, bo chleba nie było upieczonego, a o jakimś zapasie żywności, czy dobytku, to się nie myślało, wszak śmierć wisiła w powietrzu.

18 VII 1943 r. zapada decyzja ewakuacji całej Huty. I oto rusza kolumna furmanek, idą piesi, jadą ranni - dokąd ? Do stacji kolejowej do Antonówki, Rafałówki, gdziekolwiek, byleby uciec od ukraińskiej siekiery...

Henryk Komański

ZAGŁADA POLSKIEJ WSI JEZIORANY SZLACHECKIE

Byłem świadkiem zagłady wsi Jeziorany Szlacheckie. W ciągu pięciu dni została całkowicie zmieciona z powierzchni ziemi polska wieś z przeszło 200-letnią historią. Z rąk bojówek szowinistów ukraińskich spod znaku OUN-UPA zginęło ponad 30% mieszkańców. Straty ludzkie byłyby prawdopodobnie znacznie większe, gdyby nie podjęto próby zbrojnej obrony.

Losy moje tak się ułożyły, że po deportacji rodziców i trójki młodszego rodzeństwa przez władze sowieckie na Sybir w lutym 1940 r. Boskim chyba przeznaczeniem uniknąłem zsyłki. Znalazłem schronienie u swoich dziadków, ukrywających się pod nazwiskiem panieńskim mojej matki w Jezioranach Szlacheckich. Stały się one drugą rodzinną miejscowością. Tu miałem wujków, ciotki i kochającą babcię, która zastępowała mi moją mamę. Tu miałem kolegów, przyjaciół i wielu krewnych. Pomimo, że większość mieszkańców wsi wiedziała o moim pobycie, nikt o tym nie doniósł do NKWD.

Pragnienie spłacenia moralnego długu wobec wszystkich mieszkańców ; tych co przeżyli i tych co zginęli podczas tragicznych dni roku 1943, zdecydowało o podjęciu próby opracowania historii tragicznych losów mieszkańców na zawsze unicestwionej polskiej wsi. Przez około 40 lat z dużymi przerwami gromadziłem materiały o losach mieszkańców Jezioran Szlacheckich, których pod groźbą utraty życia zmuszono do ucieczki i opuszczenia rodzinnych stron. Mam nadzieję, że udało mi się w tej historii zawrzeć w miarę obiektywny i pełny obraz wydarzeń. Zdaję sobie jednak sprawę z tego, że mogłem pominąć lub przedstawić niepełny ich przebieg, za co przepraszam żyjących jeszcze mieszkańców Jezioran Szlacheckich.

Serdecznie pragnę podziękować tym wszystkim świadkom i mieszkańcom Jezioran Szlacheckie, którzy pomogli w odtworzeniu historii minionych tragicznych wydarzeń, a szczególnie niżej wymienionym : Mieczysławowi Siateckiemu, Józefowi Tchórzewskiemu, Janinie Tchórzewskiej i jej synowi Zygrydowi Tchórzewskiemu, Zofii Borzęckiej-Niewiadowskiej, Władysławie Trzpił z d. Marmuckiej, Stanisławowi Marmuckiemu, i jego ojcu Janowi

Marmuckiemu, Jadwidze z d. Marmuckiej - córce Kamili-wdowy, Izabeli Marmuckiej, Bronisławie Zawada z d. Marmuckiej, moim wujkom Zenonowi i Bronisławowi Omańskim, Franciszkowi Omańskiemu, Mirosławowi Tchórzewskiemu, Janinie Budkiewicz.

Wiele z podanych wyżej osób, niestety, odeszło już na zawsze. Dziś z perspektywy ponad połowy wieku, oddając o wiele lat spóźnione opracowanie historii jednej z podobnych wielu wsi polskich, które uległy zagładzie w latach 1942-1946 w imię obłędnej idei czystki etnicznej, zadaję sobie i wszystkim Polakom następujące pytania :

Dlaczego wśród potępionych i uznanych za zbrodnie i akty ludobójstwa, popełnione przez hitlerowskie Niemcy i stalinowski reżim wobec polskiej ludności, nadal nie wyjaśniono rozmiarów i nie potępiono zbrodni ludobójstwa i na szeroką skalę zastosowanej czystki etnicznej przez szowinistów ukraińskich spod znaku OUN-UPA ?

Dlaczego podjęto sławetną uchwałę potępiającą skutki akcji „Wisła”, a jednocześnie „zapomniano” potępić jej przyczyny, źródła i morderców spod znaku OUN-UPA ?

Odpowiedzi na te pytania oczekuje wiele setek tysięcy Polaków, którzy na obszarach zamieszkałych również przez ludność ukraińską w granicach Polski przedwrześniowej, w latach 1939-1946, stracili swoje domostwa, zagrody, dorobek życia pokoleń oraz swoich najbliższych. Do dziś dnia ofiary zamordowanych Polaków od wsi Parośle przez Hutę Stepańską i Hutę Pieniacką do Baligrodu czekają na swój pogrzeb i znak krzyża na grobie.

Z rodzimych przekazów wynika, że początki wsi, której losy przedstawiam, sięgają końca XVII wieku. Nad istniejącym tu dawniej jeziorem zamieszkiwało kilka rodzin o nazwiskach : Barmucki, Marmucki i Szadurski. Pochodzili z drobnej szlachty herbowej. Te fakty prawdopodobnie zadecydowały o nazwie wsi „Jeziorany Szlacheckie”. Z biegiem lat w wyniku podziału ziemi w rodzinach oraz napływu nowych rodzin : Budkiewiczów, Błędowskich, Czajkowskich, Izdebskich, Macichowskich, Omańskich, Siateckich, Remiszewskich, Tchórzewskich i innych, wieś zaczęła się powiększać o nowe zagrody.

Na początku XX-go wieku, jeszcze przed I Wojną Światową, osiedlili się nowi mieszkańcy, tworząc dwie kolonie : tzw. „Wigurzycką” i „Polską” nazywaną często Południową. Tak więc wieś ukształtowała się w swojej zabudowie i obszarze jeszcze w okresie zaboru rosyjskiego. Przejęcie Wołynia w 1919 r. przez Państwo Polskie, wpłynęła na dalszy rozwój wsi, która uzyskała prawa sołeckie. Zdecydowanie przeważała w niej ludność polska.

W 1939 roku wieś liczyła 58 zagród, w tym 11 ukraińskich i czeskich, pozostałe 47 należało do rodzin polskich z ok. 220 mieszkańcami. W okresie międzywojennym przybyły nowe gospodarstwa. Wielu gospodarzy

pobudowało murowane, kryte blachą i bardzo nowoczesne budynki mieszkalne i gospodarcze.

Wieś, jak na ówczesne warunki ekonomiczne, uważana była w połowie za bogatą, a w połowie za średnio zamożną. Z ogółu gospodarstw ok. 1/3 posiadała od 15-30 ha, kolejna trzecia część od 8 do 14 ha, dalsza część od 4 do 7 ha ziemi. Do wybuchu wojny niemiecko-polskiej w 1939 r. we wsi wyższe studia ukończyło dwie osoby: syn Józefa Budkiewicza został inżynierem i pracował w Warszawie, syn Zenona Biernackiego był lekarzem weterynarii i podjął pracę w sąsiedniej miejscowości. Z rodziny Edwarda Omańskiego syn Zygmunt zdobył stopień podoficerski WP. Z drugiej rodziny Omańskich, Bronisław posiadał średnie wykształcenie. Ponadto 5 osób uczęszczało do szkół średnich. Ludność w swej większości w rodzinach kontynuowała tradycje polskości. Miejscem coniedzielnich spotkań Polaków był kościół parafialny w Nieświczu, odległym o ok. 5 km. Do siedziby gminy w Czarukowie było ok. 4 km, natomiast do miasta z siedzibą powiatu i województwa, Łucka dzieliło ok. 25 km. Wieś miała dogodne połączenie z dwoma stacjami kolejowymi na trasie Łuck - Stojanów - Lwów; do Dębowych Karczm ok. 1,5 km, a do Nieświcza ok. 3 km.

Wieś rozciągała się z zachodu na wschód, na przestrzeni ok. 3,5 km, wzdłuż dróg z kierunków stacji Dębowe Karczmy i Wigurzyce, do wsi Poznanka i Ławrów oraz do osad Maczkowce, Jeziorany Polskie i Rado-myśl. Szerokość wsi wraz z polami od południa na północ sięgała do 2,5 km. Jeziorany Szlacheckie od wschodu graniczyły z polską wsią Poznanka i osadą Maczkowce. Od południa częściowo z osadą Maczkowce i Jezioranami Polskimi. Od zachodu z lasem Dąbrowa i polami majątku Jana Zwolińskiego. Od północnego zachodu z dużą ukraińską wsią Wigurzyce. Od północy z osadą Chrobrow i częściowo z chutorami wsi Czaruków.

Jeziorany Szlacheckie składały się jak gdyby z sześciu części:

- W południowo-zachodniej stronie leżała kolonia tzw. „Polska” - 13 zagród.
- W zachodnio-północnej stronie była kolonia tzw. „Wigurzycka” - 10 zagród.
- Środkiem wsi przebiegała droga w kierunku z zachodu na wschód. Po obu jej stronach leżało rozrzuconych po polach 8 zagród.
- W środku wsi od strony południowej położony był chutor ukraiński - 9 zagród.
- W centrum wsi na wzgórzach znajdowało się 12 zagród.
- We wschodniej części wsi, rozrzucone po polach, znajdowały się dalsze 4-y polskie zagrody.

Mieszkańcy Jezioran Szlacheckich nie zamykali się wyłącznie w kręgu swej wsi. Utrzymywali dość ściśle i bezpośrednie kontakty z okoliczną ludnością ukraińską. Większość mieszkańców doskonale знаła język ukraiński i posługiwała się nim często w rozmowie z sąsiadami Ukraińcami. Podobnie oni znali język polski. Istniała wzajemna pomoc sąsiedzka przy zbiorach

i siewach zbóż i ziemniaków. Miały miejsce wzajemne pożyczki lub wymiany zbożowe czy żywnościowe, urządzano wspólne zabawy, dożynki, zapraszano się wzajemnie na uroczystości religijne czy rodzinne.

We wsi mieszkało 9 rodzin ukraińskich, z którymi współzycie układało się poprawnie i po sąsiedzku. Żadna z nich, jak się później okazało, nie wzięła udziału w napadach na mieszkańców Jezioran, a nawet jedna z tych rodzin przez pewien okres ukrywała u siebie jednego z ocalałych z pogromu Polaka. Ocalili mu życie. Mieszkały tu także dwie rodziny mieszane polsko-ukraińskie. Tomasz Czajkowski, Polak ożeniony z Ukrainką, w okresie zaboru rosyjskiego przyjął prawosławie i uczęszczał do cerkwi. Jego synowie ożenili się z Polkami, byli wyznania rzymskokatolickiego, uważali się za Polaków. W okresie międzywojennym lat 30-tych doszło do małżeństwa polsko-ukraińskiego Kazimierza Rudnickiego. Zachował on swoje wyznanie, a jego żona Ukrainka swoje tzn. prawosławne. Syna ochrzcił w kościele, a córkę, gdyby była, mieli ochrzcić w cerkwi. Tak więc w rejonie tej wsi nie było żadnych konfliktów religijnych ani narodowościowych. Tak to trwało do września 1939 r.

Po zajęciu Wołynia przez wojska sowieckie, stosunki między wiejską ludnością polską, a ukraińską z sąsiednich wsi, uległy pewnemu ochłodzeniu i kontakty stały się rzadsze. Istotną rolę odegrał tutaj fakt, że wieś miała własne sołectwo i Polak był sołtysem. Władze sowieckie i wspierająca je część ludności ukraińskiej były bardziej zajęte tzw. ludnością napływową polską, w stosunku do której zaczęto stosować represje. W lutym 1940 r. z dwu sąsiednich osad (Maczkowce i Chrobrów) zostało wywiezionych na Sybir ponad 30 rodzin. W przygotowaniach do wywózki uczestniczyło wielu miejscowych Ukraińców. Podobne listy na zsyłkę były już przygotowywane przez miejscowe komitety ukraińskie również i w stosunku do mieszkańców Jezioran Szlacheckich.

Wybuch wojny niemiecko-sowieckiej wzbudził nastroje nadziei, ale i wielkie obawy wśród mieszkańców wsi - Polaków. Niemców obawiano się tak samo jak i Sowietów. Większość Ukraińców od pierwszej chwili uwierzyła, że Niemcy stworzą „Wolną Ukrainę”. Znalazło to wyraz w zaangażowaniu się po stronie Niemiec hitlerowskich. Przejęcie terenowej władzy administracyjnej i policji przez Ukraińców stworzyło wyjątkowo trudną sytuację Polakom. Od tej chwili zaczynają następować istotne zmiany w stosunkach między mieszkańcami Jezioran Szlacheckich, a Ukraińcami z sąsiednich wsi. W pierwszym okresie uwidoczniło się to w zdecydowanym popieraniu władz niemieckich i wykorzystywaniu swoich uprawnień z tytułu posiadanej władzy. Znacznie zwiększono świadczenia narzucone na polską wieś, w porównaniu do wsi ukraińskich. Dość wyraźnie zauważano też zdecydowaną wrogość w stosunku do Polaków. Widać było istotną zmianę w postawie Ukraińców, byłych zwolenników władzy sowieckiej, obecnie proniemieckich.

Należy zaznaczyć, że pewne grupy Ukraińców, brały w obronę Polaków i przeciwstawiały się szowinistycznej nagonce. Niestety, ta grupa ludzi była coraz bardziej izolowana.

Już od początku 1942 roku hasła w rodzaju „Lachy za Bug”, „śmierć Lachom”, czy „wyrzucenie Lachów” stawały się coraz głośniejsze i częstsze. W 1942 roku do wsi docierają różne wieści o pojedynczych mordach na osobach, a czasami na rodzinach polskich w innych wsiach. Dokonują ich nacjonaliści ukraińscy nazywani bulbowcami lub najczęściej banderowcami. Te fakty zaczynają budzić niepokój wśród mężczyzn i młodzieży polskiej.

Pod koniec czerwca 1942 r. został dokonany bandycko-rabunkowy napad na dom Józefa Budkiewicza, w sierpniu tego roku na dom Stanisława Biernackiego (sołtysa) i w marcu 1943 r. na dom Bolesława Tchórzewskiego. Wszystkich napadów dokonano przy użyciu broni palnej.

Janina Budkiewicz, córka Józefa Budkiewicza, bezpośredni świadek tego napadu, opisuje to wydarzenie następująco :

„...Była noc, godzina 1-sza. Spałam z rodzicami w pokoju. Nagle obudziło mnie wściekłe ujadanie psów podwórzowych, które w pewnej chwili zamilkło. Sprawiało to wrażenie jakby ktoś ze znajdujących się na podwórzu ludzi, znał psy, a one jego. Jak się później okazało, wśród rabusiów był Ukraińiec, który przez wiele lat służył u nas. Po chwili ciszy usłyszałam głośny brzęk tłuczonych szyb w oknach. Przez te okna wpadli do mieszkania napastnicy. Było ich kilkunastu, wszyscy z karabinami. Mnie z ojcem i matką zapędzono do jednego pokoju i kazano się położyć twarzami do podłogi. Pod groźbą użycia broni nie wolno było nam podnieść głów. Nad nami bez przerwy stało trzech z karabinami wycelowanymi w nasze głowy. Splądrowali całe mieszkanie, zabrali wszystkie ubrania, pościel, zastawę stołową, biżuterię i to, co się tylko dało spakować do worków. Po zakończeniu rabunku bandyci zdemolowali cały dom. Zniszczyli dywany, strzelali do pieców kaflowych i podpaliли podłogi. Przed odejściem mocno zbili mego ojca i odjechali kilkoma furmankami...”

W podobny sposób zostali obrabowani później gospodarze Stanisław Biernacki - sołtys i Bolesław Tchórzewski.

W połowie 1942 r. część mieszkańców Jezioran zaczęła sobie zdawać sprawę z narastającego zagrożenia. Rozpoczęło się gorączkowe poszukiwanie broni palnej. Ci którzy ją mieli, wydostawali na noc z ukrycia, a ci co nie mieli, starali się o jej zdobycie. Od czerwca 1942 r. wielu mężczyzn nie spało nocą w swych domach. Noclegi wybierano na strychach domów, stajni, obór, w stogach słomy itp. Nieraz zbierano się po kilka osób lub rodzin w murowanych budynkach, jak np. u Franciszka Tchórzewskiego. Pełniono warty ostrzegawcze wokół swych zagrod. Nocami zawsze trzymano w pogotowiu posiadaną broń.

Z początkiem 1943 r. słowo „banderowiec” stało się synonimem bandyty i mordercy. Nazwę tę rzadko na ogół przywiązywano do określonego Ukraińca. Zazwyczaj był to człowiek anonimowy, jakiś Ukrainiec, ale z innej wsi, nieznany. Dopiero podczas napadu na kolonię Wigurzycką rozpoznano Ukraińca, sąsiada z pobliskiej wsi Wigurzyce.

Szeroko były rozpowszechniane hasła, że Polacy urodzeni na Wołyniu i mieszkający tu przed II Wojną Światową mogą być spokojni, że im nie zagraża żadne niebezpieczeństwo. Niestety okazały się one podstępne, fałszywe i obliczone na uśpienie naszej czujności.

Do ostatniej chwili znaczna część gospodarzy, zwłaszcza starszych wiekiem i najbogatszych, nie wierzyła w możliwość masowego mordy. Byli oni przekonani, że poszczególne mordy mają charakter porachunków osobistych lub dotyczą jedynie tych, którzy byli w „strzelcach” lub „krakusach”, czy też zbyt głośno manifestowali swoją polskość. Powoływali się przy tym na swe doświadczenia z pierwszej wojny światowej. Takie poglądy odbiły się ujemnie na prowadzonych zakupach broni od Węgrów i Niemców, których zaniechano. Wymagały one znacznych środków materialnych w tym i złota. Starzy ojcowie nieraz wydawali swoim synom polecenia wyrzucenia posiadanej broni. Wielu jednak chłopców wbrew swym rodzicom broń zachowało w wielkiej tajemnicy przed nimi. Okazało się to później zbawienne podczas napadu banderowców. Posiadana broń uratowała życie wielu mieszkańcom.

Do dnia 19 VI 1943 r. we wsi nie było w sensie strukturalnym i organizacyjnym ani samoobrony, ani sprawnie działającej komórki AK. Zaledwie kilka osób w wielkiej tajemnicy należało do AK. Nie miało to jednak istotnego wpływu na praktyczną działalność obronną we wsi. Jedynym efektem tego był wyjazd dwóch młodych ludzi pod koniec maja 1943 r. do Łucka, celem wstąpienia do oddziału partyzanckiego, organizowanego przez Inspektorat AK. Byli to Romuald Tchórzewski i Zdzisław Macichowski.

Mieszkańcy posiadali 20-25 sztuk różnej broni palnej. Ukrywana ona była w wielkiej tajemnicy przed sąsiadami, a nawet własną rodziną. Posiadaczami była głównie młodzież i niektórzy bardziej przewidujący mężczyźni, jak np. Franciszek Tchórzewski, Zenon Omański i kilku innych. Posiadana broń, to głównie karabiny rosyjskie z I i II wojny światowej, często składane z różnych egzemplarzy i kilka „obrzynków” z tego typu broni. Do nich miano jednak stosunkowo sporo amunicji. Tych karabinów było około 15 sztuk. Pozostała broń to kilka karabinów austriackich z I-szej Wojny Światowej, jeden karabin francuski typu „libella”, przerobiony na rosyjską amunicję, kilka pistoletów oraz parę sztuk broni myśliwskiej.

Posiadana broń z pewnością wystarczała do odparcia pojedynczych lub niewielkich grup napastników. W przypadku dużej bandy, uzbrojonej w broń maszynową, nie mogła stanowić skutecznej obrony. Posiadacze broni byli rozrzućeni po całej wsi. Najwięcej broni, bo około 14 sztuk, posiadali

mieszkańcy tzw. centralnych Jezioran. Na kol. Wigurzyce dysponowano 3 karabinami, na kol. Polskiej ok. 2 karabinami, w zachodniej części wsi w rejonie zagród Marmuckiego i Franciszka Tchórzewskiego były ok. 4 sztuki broni palnej, na tzw. „Karczunku” ok. 2 sztuk broni.

Nie było zorganizowanego systemu obrony całej wsi. Ograniczała się ona wyłącznie do obrony własnych zagród i to tylko w okresie nocy. Nie przewidywano możliwości napadu w dzień.

Pierwszy napad banderowców nastąpił 19 czerwca 1943 r. między godzinami 8 i 9 rano. Około 50 osobowa grupa napastników uzbrojonych w karabiny dokonała jednoczesnego ataku na cztery punkty wsi. Napadu o tej porze nikt się nie spodziewał. Większość mieszkańców z nastaniem dnia pochowała broń, powróciła z ukryć do domów, przystąpiła do pracy, lub znużona całonocnym czuwaniem ułożyła się do snu.

W zależności od stopnia zachowanej czujności losy poszczególnych części wsi potoczyły się różnie. Napad na tzw. kolonię południową był dla jej mieszkańców całkowitym zaskoczeniem. Banderowcy wyłapali wszystkich obecnych Polaków i spędzili do jednej stodoły. Zamordowali wtedy 24 osoby, a ich ciała spalili razem z budynkiem. Ocalały prawdopodobnie 4 osoby, które zdołały się ukryć przed mordercami. Do nich należały dwie dziewczynki : Marysia Niewiadomska lat 14, córka Pelagii wdowy i Zosia Słomska ok. 12 lat, córka Józefa. Obie dotarły do wsi Nieświcz, odległej o ok. 5 km. Tam miały swoich krewnych.

Kolonia liczyła 13 zagród i około 56 mieszkańców. Tego dnia część mieszkańców przebywała w Łucku lub Nieświczu. Niektórzy pozostawiający tam rodziny powrócili do domów po żywność lub inny dobytek, zastali zaś śmierć. Na przykład Władysław Niewiadomski pozostawił w Łucku żonę i córkę, a sam powrócił po żywność. Zamordowani zostali też : pięcioosobowa rodzina Andrzeja Kursy, małżeństwa : Kowalczyków, Jana Żłobckiego, Józefa Tomczaka, Józefa Słomskiego, Pastuszków oraz babcia Łatwińska z wnuczką Kowalską i Pelagia Niewiadomska-wdowa. Z 13 rodzin całkowitej zagładzie uległy dwie, 8 rodzin straciło od 1 do 4 osób. Tylko trzy rodziny ocalały w całości. W napaści brało udział ok. 12 banderowców. Na kolonii posiadano 2 karabiny. W wyniku zaskoczenia okazały się bezużyteczne.

Kolonii Wigurzyckiej nie udało się zaskoczyć. Dzięki szczęśliwemu przypadkowi mieszkańcy zostali ostrzeżeni i zdołali zbiec, ukrywając się w zbożach. Banderowcy zamordowali jednak 4 osoby. Były to te, które pozostały w domach lub nie mogły uciekać. Antoni Rudnicki „Kulawy” został zastrzelony na podwórzu swego domu. Uważał, że nic mu nie grozi. Jadwigę Janiewicz ok. 70 lat zastrzelono na progu swego domu. Nie uciekała, sądziła, że jej, starej, nie powinni zrobić krzywdy. Dwie siostry Elżbieta lat 32 i Janina lat 28 Omańskie zakłute zostały bagnetami w domu sąsiada Izdebskiego,

gdzie schroniły się przed napastnikami. Jedna z nich była chora i nie mogła uciekać, druga - Janina nie chciała jej zostawić samej. Obie zginęły.

To wydarzenie wspomina naoczny świadek, ich siostrzeniec Henryk. „...Razem z babcią Marią i ciotkami Elżbieta i Jasią pracowałem w ogrodzie przy pieleniu warzyw. Ok. godziny 9-tej rano usłyszeliśmy od strony pola sąsiada Sebastiańskiego kilka strzałów karabinowych. Ich odgłos skłonił nas do ucieczki na podwórze domu. W tym czasie wpadł do nas przerażony i blady nasz znajomy Szadurski, kuzyn sąsiada Sebastiańskiego, głośno wołając : „uciekajcie, banderowcy !” - i sam pobiegł w zboża. Byliśmy zaskoczeni. Nikt się nie spodziewał napaści w biały dzień. Do sąsiada, gdzie już mogli być banderowcy było zaledwie ok. 80 metrów. Wujek Zenek Omański trzymał już w ręku karabin i w pośpiechu wypędzał konie i bydło z obory. Szybko na jego polecenie chwyciłem za swój karabin i pomagałem mu wypędzać bydło, które jak na złość nie chciało wychodzić. Uporaliśmy się jednak z tym dość sprawnie. Wujek Zenek polecił babci i ciotkom uciekać wzdłuż północnej granicy kolonii. Po dojściu do zagrody Izdebskiego, miały one przejść przez drogę i schronić się w wielkim zagonie wysokiego żyta. My obaj wpadliśmy do sadu naszego sąsiada, aby znaleźć ukrycie za drzewami. Czekaliśmy z karabinami gotowymi do strzału. W tym czasie wybiegł z domu blady jak ściana Kazik Rudnicki, nasz sąsiad. Wujek krzyknął do niego głośno : „Kazik, gdzie twój karabin ?”. Ten natychmiast zawrócił do domu i za chwilę wybiegł z karabinem. Wujek oddał kilka strzałów w kierunku zagrody Sebastiańskiego, którą już płądrowali banderowcy. Być może, że to zatrzymało ich na chwilę. Kazik stał z karabinem jak sparaliżowany. Wujek krzyknął do niego ostro : „Kazik strzelaj !”. Ten jednak machnął karabinem rzucając go w głąb krzewów i uciekł. Byliśmy obaj zaskoczeni jego postawą. To dziwne „tchórzostwo”, jak się później okazało, miało swoje głębsze uzasadnienie. Kazik odbył służbę wojskową i był znany z odwagi w swoim środowisku. Ożenił się z Ukrainką, z którą miał synka. Jego szwagrowie należeli do OUN, byli zaciekłymi nacjonalistami, być może więc zgodnie z ich poleceniem miał strzelać właśnie do nas ? Może ruszyło go sumienie i nie był w stanie tego zrobić ? Może obawiał się ryzyka, bo było nas dwóch ? Może sądził, że nie mieszając się do walki, ocali siebie i rodzinę ? Na te pytania do dziś dnia nie jestem w stanie dać jednoznacznej odpowiedzi.

Kazimierz Rudnicki wraz z żoną i dzieckiem ocalili z tego pogromu, chroniąc się u swoich szwagrów Ukrainców. Przeżył pod ich opieką jeszcze blisko dwa miesiące. W sierpniu 1943 r. został zamordowany na polu podczas pracy przy zbiorach. Chodziły różne pogłoski na temat jego śmierci. Jedni twierdzili, że zrobili to banderowcy z innej wsi, inni, że dokonali tego jego szwagrowie w tajemnicy przed swoją siostrą. Podobno otrzymali taki rozkaz z UPA.

Dalszy ciąg owego napadu wspomina Zenon Omański. „...Po ucieczce Kazika Rudnickiego i nieudanej próbie odnalezienia karabinu wyrzuconego przez niego, musieliśmy opuścić sad. Udaliśmy się umówioną trasą na spotkanie z moją mamą i siostrami w zbożach za domem. Tymczasem zasiała moja siostra Elżbieta. Była chora na serce, nie mogła iść dalej. Postanowiła ukryć się w domu Izdebskiego, prosząc nas abyśmy uciekali bez niej. Początkowo nie chciałem się na to zgodzić. Mamie poleciłem ukryć się w zbożu, co też zrobiła. Siostra nadal jednak odmawiała pójścia z nami w obawie, że będzie dla nas przeszkodą, że przez nią możemy wszyscy zginąć. Prosiła, abyśmy uciekali bez niej. Siostra Janina zdecydowała się pozostać z chorą Elżbietą. W tej sytuacji wysłałem mego siostrzeńca Henryka do Marmuckich z prośbą o pomoc. Dwaj bracia Marmuccy posiadali broń. Siostry schroniły się do budynku Izdebskiego. Dom był zbudowany z surowej cegły, o grubych ścianach. Dawały one gwarancję przed kulami karabinowymi. Sam ukryłem się za węglem domu, oczekując z karabinem na banderowców. Po chwili ujrzałem idących drogą ludzi z karabinami. Miałem nad nimi przewagę: dom stał na wzgórzu, miałem dobre pole ostrzału, sam byłem dla nich niewidoczny. Kiedy zbliżyli się na odległość ok. 150/200 m oddałem w ich kierunku kilka strzałów. To ich zatrzymało. Upadli na ziemię. Przez kilka minut trzymałem ich w szachu. W pewnym momencie zaciął mi się karabin. Nie mogłem wyciągnąć łuski po wystrzale. Próby odblokowania zamka nie udawały mi się. Obawiając się zaskoczenia od tyłu, ukryłem się z boku w gęstym ziele. Po chwili szamotania się z zamkiem udało mi się usunąć zacięcie. Musiało to jednak trwać przez dłuższą chwilę. Banderowcy, nie słysząc strzałów z mojej strony, zdecydowali się na skok pod dom, wpadli do środka budynku, gdzie zastali moje obie siostry. Zakłuli je bagnietami i szybko wybiegli na podwórze. Kiedy wychodzili z domu, ja zdążyłem odblokować zamek. Oddałem do nich kilka strzałów. Jeden widocznie został ranny, bo dwóch chwyciło go pod ramiona i zaczęło uciekać. Czwarty ochraniał ich, strzelając do mnie.”

Obie siostry Omańskie otrzymały po 5-6 ciosów bagnietem w okolicy serca. Mordercy podobno mieli się chwalić, jak przekazał to jeden ze znajomych Ukraińców: „były harne diwczata, ale nasze sztyhi szesc razy ich uhodyły”. Wśród napastników Zenon Omański rozpoznał znajomego sąsiada, Ukraińca z wsi Wigurzyce. Za Sowietów uchodził za aktywnego komunistę, a za Niemców stał się zajadłym nacjonalistą.

Zenon Omański na widok zamordowanych sióstr przez dłuższy czas nie mógł dojść do siebie. Miał wyrzuty sumienia, że stało się to niemal na jego oczach. Położył się przed kłodą drzewa w pobliżu budynku i czekał na powrót morderców. Z tego oszołomienia wyrwał go dopiero powrót siostrzeńca Henryka. Oto jego relacja. „...Do Marmuckich na skróty przez pola było ok. 1 km - opowiadał Henryk. Droga prowadziła wśród łąk wysokiego zryta,

dojście do zagrody Marmuckich było zakryte. Niezauważony przez nikogo szybko dotarłem polną drogą prawie pod samo obejście. Od zamkniętej bramy dzieliło mnie ok. 50/60 m. Zatrzymałem się na niewielkim wzgórzu. Kiedy uważnie przyjrzałem się, co się dzieje na podwórzu, na moment zdrętwiałem. Przez lukę między stodołą, a oborą widać było wyraźnie uzbrojonych banderowców. Obaj Marmuccy jak się później okazało już nie żyli. Banderowcy również mnie zauważyli. Jeden z nich zaczął do mnie machać ręką, wołając po ukraińsku : „chody siudy !”. W jednej chwili zdałem sobie sprawę z grozy mego położenia. Nadziei na czyjąś pomoc nie było żadnej. Musiałem sam myśleć jak wybrnąć z tej niebezpiecznej opresji. Pierwszym moim odruchem była chęć ucieczki, nogi aż same do tego się rwały. Przeważył instynkt samozachowawczy. Jakiś wewnętrzny głos podszepnął mi - nie uciekaj, idź wolno, dopiero jak się skryjesz i będziesz dla nich niewidoczny, wtedy goń, co sił. Machnąłem do nich ręką, wołając po ukraińsku: „zara do was pryidu !”. Spokojnie odwróciłem się i wolno opuszczałem pagórek. Przez chwilę stanowiłem doskonały cel. To spokojne zachowanie prawdopodobnie mnie uratowało. Widocznie sądzili, że jestem jednym z tych banderowców, którzy poszli na Kolonię. Kiedy opuściłem pagórek, obejrzałem się, czy jestem widoczny. Wzgórze już mnie zasłaniało. Poczutem się nieco bezpieczniej i zacząłem biec jak szalony w kierunku zagrody Izdebskiego. Nie byłem pewny, co tam się dzieje. Różne złe i czarne myśli zaczęły mnie nachodzić. Nagle usłyszałem rozdzierający i pełen bólu i rozpacz szloch. Poznałem w nim głos mego wujka. Dochodził spod domu Izdebskiego. Poczutem się bezpieczniej, a więc wujek żyje. Ogarnęły mnie przy tym straszliwe gniew i złość na samego siebie. Za moje gapiostwo. Kiedy zabierałem karabin ze schowka, zapomniałem zabrać wycior do niego. Był niezbędny przy moim karabinie. Po każdym wystrzale musiałem łuskę wybijać wyciorem. W praktyce mogłem liczyć tylko na jeden nabój, choć miałem w torbie ponad 50 sztuk. W rzeczywistości byłem bezbronny. Świadomość tego paraliżowała moje ruchy. Gdy podszedłem do wujka i przemówiłem do niego, spojrzał na mnie i powiedział cicho : „twoje ciotki już nie żyją”. Powstał w milczeniu i obaj schroniliśmy się w zboża, gdzie czekała na nas moja babcia Maria, a mama mego wujka.

Po tej próbie oporu ze strony Zenona Omańskiego banderowcy wycofali się i zrezygnowali z penetracji dwóch dalszych zagród. Kolonia liczyła 9 zagród i ok. 32 mieszkańców. Tego dnia zginęły 4 osoby, a ocalało 28.

W tym samym czasie ok. 10-cio osobowa grupa banderowców napadła na polskie zagrody na tzw. Karczunku. Mieszkały tam trzy rodziny, w sumie 19 osób. Wykorzystując zaskoczenie, banderowcy zdołali zamordować 5 osób. Byli to : Edward Omański ok. 60 lat i jego rodzice Michał i Franciszka w wieku ponad 80 lat. Pozostałych 6 osób z rodziny zdołało zbiec i ukryć się w zbożach. Zginął wtedy Anastazy Szadurski, a trzy osoby z jego rodziny

zdołały się ukryć. Poniósł również śmierć Józef Szadurski, a 5 osób z jego rodziny ocalało. Straty w ludziach prawdopodobnie byłyby większe, gdyby nie fakt, że od szukania w zbożu skutecznie odstraszył banderowców Frank Omański, strzelając ze swego „obryzka”.

Czwarta, najliczniejsza grupa banderowców, bo licząca ponad 20 ludzi, zaatakowała środkową część wsi. Z uwagi na duże odległości między zagrodami musiała się ona podzielić na mniejsze grupki. Pełne zaskoczenie spotkało dwie pierwsze zagrody: Józefa Budkiewicza i Jana Marmuckiego. Ocalała z pogromu Janina Budkiewicz, która już w 1942 roku przeżyła bandycką napaść, wspomina: „...Byłam w domu sama. Moja mama stała przy studni; coś tam robiła, mój ojciec kosił mieszkankę w sadzie. Nagle usłyszałam jakieś obce głosy, mówiące po ukraińsku. Wyjrzałam przez szybę okna. Na podwórku stało kilku uzbrojonych banderowców. Jeden z nich głośno wypytywał moją mamę: „hde wasza doczka?”. Słyszałam jak mama odpowiedziała mu: „wyjechała do Łucka”. Zdałam sobie sprawę z niebezpieczeństwa. Szybko wyskoczyłam przez okno i ukryłam się w zbożu, w pobliżu stodoły. Za chwilę usłyszałam kilka strzałów, potem skowyt zastrzelonych psów. W kilka minut później zaczęła płonąć stodoła. Byłam w pobliżu. Bałam się ruszyć z miejsca, aby nie zostać zauważoną. Zostałam dotkliwie poparzona przez spadające gorące żagwie. Banderowcy podpalili też inne budynki, ale te szybko zgasły, bo były murowane. Konie i bydło wyprowadzono i zabrano. Kurnik z drobiem spłonął. Z domu wyniesiono wszystko, co zostało po pierwszym rabunku w 1942 r. i miało jakąś wartość. Po odejściu banderowców znalazłam ciało mego ojca. Był ciężko ranny w ramię, a w czoło miał wbity duży gwóźdź. Jeszcze żył. Po chwili skończył na moich rękach. W kieszeni jego ubrania wetknięta była karteczka z napisem w języku ukraińskim: „on мене хлібом кормив, а я Jewo за to убив”. Moją mamę znalazłam zastrzeloną w pobliżu stodoły. Była na pół zwęglona od żaru. W napaści brał udział nasz długoletni służący, którego ojciec traktował prawie jak syna. Wyprawił mu nawet huczne wesele.”

W tym samym prawie czasie grupa około 5 banderowców wpadła na podwórze Jana Marmuckiego. Jan Marmucki ocalał i tak wspomina to wydarzenie: „...Przebywałem w mieszkaniu i przez okno widziałem przebieg napadu. W pewnej chwili usłyszałem wystrzał karabinowy. Wyjrzałem przez okno na podwórze. Moi synowie czyścili konie, przy nich pojawiło się kilku uzbrojonych ludzi. Widziałem jak od strzału upadł mój syn Feliks. Władysław uciekał w kierunku mieszkania. Na odgłos strzału wybiegła moja żona i stanęła na progu ganku, aby zobaczyć, co się dzieje. Na jej oczach, tuż prawie przed gankiem Władysław został trafiony kulą mordercy, upadł prawie przed matką. Banderowcy zastrzelili też i moją żonę, która miała jeszcze szansę ucieczki, ale stała jak skamieniała na widok śmierci dwóch synów. Ja wyskoczyłem przez okno w domu z drugiej strony i ukryłem się

w gęstwinie malin. Ze mną uciekła też nasza służąca Bąk. Banderowcy zastrzelili wtedy jeszcze mego wnuczka Zbyszka Krzysztofowicza lat 8 i młodszą siostrę Bąk (ok. 14 lat)..." Razem w rodzinie Jana Marmuckiego zginęło 5 osób.

Po przeciwnej stronie drogi, na znacznie wyższym wzgórzu stał mурowany dom Franciszka Tchórzewskiego. O tym wydarzeniu wspomina Zygfryd Tchórzewski, który miał wówczas 9 lat. "...W naszym domu od wczesnej wiosny 1943 r. na każdą noc zbierali się sąsiedzi, zawsze było po kilka rodzin. 19 czerwca 1943 r., jak zawsze, wczesnym rankiem, nocujący u nas sąsiedzi rozeszli się do domów, szczęśliwi, że noc przeszła spokojnie. Mój ojciec ukrył karabiny, amunicję i granaty w piwnicy, tak, aby w razie niemieckiej rewizji nie można było niczego znaleźć. Tego dnia przebywało u nas jeszcze dwóch mężczyzn : Czesław Niewiadomski z Kolonii i Tadeusz Szadurski, który mieszkał u nas.

Około godziny 9-tej przebywałem razem z mamą na podwórzu. Kiedy patrzyliśmy w kierunku zagrody Jana Marmuckiego, zauważyliśmy jadące dołem drogą dwa wozy konne. Na każdym z nich siedziało co najmniej po pięciu zbrojnych w karabiny ludzi. Niektórzy mieli hełmy na głowach i niemieckie wojskowe mundury. Oboje z mamą byliśmy przekonani, że to żołnierze niemieccy. Nagle wozy zatrzymały się przed drogą wiodącą do Marmuckich. Z wozu zeskoczyło kilku ludzi i pobiegło do zagrody. Po chwili usłyszeliśmy kilka wystrzałów karabinowych. Do dziś pamiętam i nie mogę zapomnieć, usłyszanego ludzkiego jęku. Moja mama krzyknęła : „to banderowcy !". Zawołała ojca, mówiąc, że powinniśmy uciekać. Ojciec wpadł do mieszkania, zabrał z piwnicy karabin i amunicję, zamknął okiennice i zarygłował drzwi. Obaj mężczyźni, którzy byli u nas uciekli w zboża, w kierunku Kolonii. Jak się później dowiedziałem, wpadli wprost w ręce banderowców. Zginęli obaj. Mój ojciec zabrał mnie i mamę i zaczęliśmy uciekać w kierunku centrum wsi Jeziorany. Nagle koło uszu zaczęły gwizdać nam kule. Ojciec polecił położyć się nam na ziemi, a sam się odwrócił i oddał kilka strzałów w kierunku strzelających do nas. To z naszego podwórza strzelało czterech banderowców. Wiem, że mój tata był bardzo dobrym strzelcem. Po pierwszych strzałach na podwórzu zostało trzech napastników. Odbiegliśmy kilka metrów, gdy ponownie zaczęły bzykać kule. Ojciec odwrócił się i ponownie strzelił. Drugi bandyta upadł na ziemię. Od tej chwili przestano strzelać, mogliśmy spokojnie biec przez pole. Prawdopodobnie strzały mego ojca były jednak celne..."

Kolejne kilkusobowe grupy banderowców napadły na dwie zagrody Zenona i Stanisława Biernackich. Z 9-cio osobowej rodziny 6 osób zdołało zbiec i ukryć się w zbożach. Trzy natomiast zostały zamordowane. Byli to dwaj bracia Zenona : Bronisław i Józef i jego syn Emil. Stanisław Biernacki -

sołtys został zastrzelony na podwórzu swej zagrody, jednak 5 osób ocalało: żona, dwie córki, zięć i wnuk zdążyli ukryć się w zbożu.

Ostatnia zagroda w tym rejonie należała do Tomasza Siateckiego. Jego rodzina składała się z 6 osób: żony Marii, córki Haliny, dwóch synów Jana i Mieczysława oraz babci Antoniny Biernackiej. O tych wydarzeniach tak wspomina Mieczysław Siatecki: „...Po powrocie o godzinie 6-tej z placówki, która mieściła się w murowanym budynku Franciszka Tchórzewskiego, obaj z bratem pracowaliśmy przez dwie godziny przy okopywaniu ziemniaków. Zmęczeni nocnym czuwaniem i pracą położyliśmy się spać po godzinie 8-mej. Ok. godziny 9-tej obudziła nas matka, informując, że w zachodniej części wsi słychać strzały karabinowe. Byliśmy pewni, że to napad. Szybko chwyciliśmy za swoją broń. Razem z ojcem zaprzęgnęliśmy konie do wozu, na który wrzucono niezbędne odzież i żywność. Ojciec pootwierał drzwi do obory i stajni, wypuścił żywy inwentarz na podwórze. Szybko wyjechaliśmy w kierunku wschodnim do centrum wsi. Widzieliśmy uciekających już innych mieszkańców.

Koncentracja uciekinierów nastąpiła głównie w zagrodach dwóch Biernackich na górze. W centrum wsi wszyscy zostali już ostrzeżeni. Większość mężczyzn z bronią palną zgromadziła się na wzgórzu wokół domów Marmuckiego i Biedowskiego. Wzgórze górowało nad centrum wsi. Stąd miano doskonale pole ostrzału. Droga przechodziła dołem między dwoma wzgórzami, nadawała się do załobkowania i na zasadzkę. Około godziny 10-tej - 11-tej w dole na drodze pojawiły się dwie furmanki załadowane uzbrojonymi ludźmi. Było ich około dwunastu. Furmanka zatrzymała się przed wzgórzem, na którym dwunastu jeziorańców przygotowywało się do obrony i walki z banderowcami. Nagle z furmanki jakaś kobieta zaczęła krzyczeć i machać rękami, żeby nie strzelać. Sytuacja była idealna do wystrzelania wszystkich siedzących na wozach. Obrońcy na wzgórzu byli jednak zdezorientowani, bo z dołu zaczęto wołać po polsku: „nie strzelajcie! Jesteśmy Polakami z ochrony majątku w Uhrynowie”. Jednocześnie wołano: „jak nie wierzycie, niech ktoś zejdzie z góry i sprawdzi”. Na ochotnika zgłosił się Wiktor Marmucki. Znał on wielu Polaków z Uhrynowa. Nikt nie wiedział, że tej nocy był napad na Uhrynów i że majątek został spalony, a Polacy schronili się w Sienkiewiczówce. Marmucki schował pistolet do kieszeni i wyszedł na spotkanie. Umówiono się, że w razie zagrożenia wykona określony ruch lewą ręką. Po dojściu do furmanek stało się jednak coś, czego obrońcy na wzgórzu nie przewidzieli. Dwaj rośli mężczyźni nagle zeskoczyli z wozu, szybkim ruchem chwycili pod rękę W. Marmuckiego i wrzucili go na wóz, jednocześnie zawrócili i zaczęli szybko odjeżdżać. Wśród obrońców na wzgórzu nastąpiła konsternacja. Jak się okazało, był to sprytny podstęp banderowców. Ocalili nie tylko swoje głowy, ale porwali jeszcze zakładnika. Na drugi dzień dowiedziano się od Czecha Krala, że na skraju lasu Dąbrowa

banderowcy pozostawili ciało Wiktora Marmuckiego. Miał obie ręce ucięte..."

Kobieta, która wołała z banderowskiego wozu okazała się Polką o nazwisku Szadurska, mieszkanką Jezioran z tzw. Karczunku. Z jej relacji wynikało, że została na drodze zatrzymana przez banderowców. Zapytano ją czy jest Polką. Szadurska zorientowała się, że ma do czynienia z banderowcami i odpowiedziała, że jest Ukrainką. Poddano ją szczegółowemu egzaminowi, m.in. kazano jej modlić się po ukraińsku. Znała doskonale język ukraiński jak i też wiele modlitw w tym języku. Egzamin wypadł pomyślnie. Przez cały czas była w wielkim strachu, aby nie spotkać przypadkiem kogoś z miejscowych Ukraińców, co oznaczałoby jej zdemaskowanie i śmierć. Kiedy wozy banderowskie zostały zatrzymane przez Polaków ze wzgórza, a banderowcy podstępem zwabili Wiktora Marmuckiego i z nim odjechali, Szadurska skorzystała z chwilowego zamieszania, zeskoczyła z wozu i uciekła. To ją ocaliło.

Banderowcy napotykając na próbę oporu ze strony mieszkańców wycofali się ze wsi i zrezygnowali z dalszych morderstw. Podczas tego dnia, jak obliczono, zamordowali 47 osób, mieszkańców wsi, Polaków.

Po wycofaniu się morderców z porwanym zakładnikiem, większość ocalałych mieszkańców zgrupowała się w centrum wsi. Ucieczka banderowców osłabiła panujący strach, ale jednocześnie wywołała dyskusję i zapytania, co robić dalej? Dyskusje trwały do wieczora. Jedni byli za jak najszybszym wyjazdem do Łucka, uważali, że bandyci w każdej chwili mogą powrócić. Inni byli przeciwni temu, w obawie, że w mieście zginiemy z głodu. Końcówka dnia 19 czerwca 1943 r. upłynęła mieszkańcom wsi w trwodze i niepokoju. Ocalałe rodziny skupiły się w kilku wybranych zagrodach. Wszyscy mężczyźni z posiadaną bronią pełnili na zmianę patrole i warty, gotowi do obrony życia swoich rodzin. Tak też upłynęła cała noc.

Nazajutrz, wczesnym rankiem do centrum wsi napłynęły ocalałe rodziny z kolonii Wigurzyckiej, w tym dwie osoby miały karabiny: Zenon Omański i Henryk Komański. Dołączyły też i inne pojedyncze osoby z zachodniej części wsi. Dokonano przeglądu liczbowego i technicznego posiadanej broni. Było tego ok. 20 sztuk. Siedem egzemplarzy broni stracono bezpowrotnie podczas pierwszego napadu. Z posiadanej, do efektywnej broni zaliczyć można było jedynie 12 karabinów rosyjskich, do których posiadano sporą ilość amunicji. Specjalistami od rusznikarstwa okazali się Bolek Trębacz i jego ojciec z zawodu kowal i ślusarz. Tego dnia samorządnie utworzyła się grupa samoobrony licząca 12 osób. Przewodzili jej Zenon Omański i Bolek Trębacz. Należeli do niej m.in. wyżej już wymienieni oraz Henryk Czajkowski, bracia Siateccy Jan i Mieczysław, Tchórzewscy Józef i Mirosław, Adam Marmucki, Henryk Komański i Czesław Cichocki.

Większość mieszkańców zdawała sobie sprawę, że banderowcy mogą dokonać ponownego napadu, tym razem w zwiększonej sile. Pozostawiali do wyboru tylko dwie drogi: po pierwsze wyjazd do miasta Łucka, ale to wymagało odpowiedniego zaopatrzenia się w żywność, zabrania odzieży i niezbędnych przedmiotów oraz przygotowania zaprzęgów konnych. Tymczasem część mieszkańców uciekla tylko w ubraniach, pozostawiając na miejscu wszystko. Po drugie - pozostanie we wsi pod warunkiem zorganizowania placówki samoobrony na terenie dwóch gospodarstw u Biernackich „na górze”. Tylko tam, z uwagi na obszerne budynki murowane oraz położenie terenu, istniały warunki do zorganizowania placówki. Centrum wsi nie nadawało się do tego. Większość budynków była tu drewniana, kryta słomą, bardzo łatwa do spalenia. Ponadto bezpośrednie sąsiedztwo z ukraińskimi zagrodami dawało możliwość wglądu do tego, co się dzieje w polskich domostwach.

Około godziny 10-tej rano sformowano grupę mieszkańców z zachodniej części wsi. Byli to gospodarze: Franciszek Tchórzewski, Zenon Omański, Sebastiański, Izdebski i Budkiewicz. Wzmocniono ją jeszcze 6-sio osobową grupą uzbrojonych ludzi. Należeli do niej Czesław Cichocki, Mirosław i Józef Tchórzewscy, Jan i Mieczysław Siateccy, Henryk Czajkowski. Razem 12 ludzi, z tego 9-ciu z karabinami. Celem tej grupy było dotarcie do zagrody Franciszka Tchórzewskiego, następnie przejście przez zagrodę Jana Marmuckiego, dotarcie do kolonii Wigurzyckiej i zabranie koni, wozów, żywności, odzieży oraz niezbędnych rzeczy. Całość grupy najpierw dotarła w pobliże zagrody F. Tchórzewskiego. Tutaj odłączyli się gospodarz i jego kuzyn Józef Tchórzewski. Obaj byli uzbrojeni. Zabrali konie, wóz i niezbędne przedmioty i sami powrócili do centrum wsi.

Druga grupa w składzie 10 ludzi, z tego 7 uzbrojonych weszła na podwórze Jana Marmuckiego. Natknęto się tutaj na zwłoki ofiar z przedwczorajszego dnia. W pobliżu stodoły leżał na wznak zastrzelony Feliks Marmucki. Był pierwszą ofiarą morderców w tej rodzinie. Przed gankiem domu, twarzą do ziemi, z postrzałem w tył głowy leżał Władysław Marmucki. Na progu ganku z kilkoma kulami w piersi leżała ich matka Józefa Marmucka. Wewnątrz mieszkania znaleziono jeszcze dwa trupy. Leżeli tu wnuczek Marmuckich - 8-letni Zbigniew Krzysztofowicz i 14-letnia dziewczynka o nazwisku Bąk, pastuszka do bydła. Po krótkich oględzinach cała grupa szybko przez pola udała się na Kolonię. Czas naglił. W każdej chwili można było spodziewać się banderowców. W drodze napotkano Czecha Krala, miejscowego mieszkańca sympatyzującego z Ukraińcami. Od niego dowiedziano się o losie porwanego Wiktora Marmuckiego. Jego zwłoki leżały w pobliskim lesie Dąbrowa. Nie mieliśmy jednak czasu, aby tam pójść i je pogrzebać.

Po dojściu do zabudowań Kolonii wszyscy gospodarze rozbiegli się do swoich gospodarstw. Odnaleziono konie, wozy, załadowano żywność

i niezbędne przedmioty. Spotkanie furmanek miało nastąpić na drodze. Grupa uzbrojonych w karabiny chłopców obserwowała teren, gotowa do walki. W pobliżu gospodarstwa Zenona Omańskiego spotkano 19-letniego Ukraińca, syna Iwana Kowalczuka, sąsiada z Wigurzy. Podejrzewano go początkowo o to, że przyszedł rabować. Zaprzeczył temu, a przy sobie nie miał nic, co by o tym świadczyło. Od niego dowiedziano się, że u nich w domu ukrywa się 5-cio osobowa rodzina Markowskich, mieszkańców Kolonii. Polecono mu, aby powiadomił ich, że mogą jechać z nami do Jezioran. Po chwili powrócił, mówiąc, że Markowscy wolą pozostać na miejscu. Nie mieliśmy czasu sprawdzać wiarygodności tej informacji, musieliśmy się spieszyć. W każdej chwili należało się liczyć, że o naszym tu pobycie dowiedzą się banderowcy. To mogło grozić napadem z ich strony. Szybko zostały wyprowadzone wozy na drogę i całość szczęśliwie dotarła do centrum Jezioran.

Wielu mieszkańców obawiało się wyjazdu do Łucka, nie chciało też pozostawić swych domostw. Szukano trzeciego rozwiązania. Wysłano dwie kilkusobowe grupy mężczyzn do sąsiednich polskich wsi: Poznanki i Jezioran Polskich. W każdej z tych wsi mieszkało co najmniej po 70 rodzin. Sądzono, że może wspólnie uda się zmontować jakąś samoobronę. Niestety, przyniesione wiadomości były więcej niż złe. W obu wsiach ludność była wystraszona, nie miała żadnej koncepcji obrony. Nie posiadano broni i większość również nosiła się z zamiarem ucieczki do Łucka. Podczas spotkania z mieszkańcami Jezioran Polskich, na terenie osady Maczkowce, spotkano Czecha o nazwisku Sidlaczek. Zaproponował on schronienie we wsi Jeziorany Czeskie. Nadmieniał przy tym, że Czesi posiadają broń maszynową i w przypadku napaści wspólnie można się bronić. Ta propozycja przyniesiona do wsi znalazła wielu zwolenników.

Okolo godziny 14-tej zgromadziło się do wyjazdu 21 wozów z ok. 90 osobami. Nie wyraziło chęci wyjazdu ponad 30 osób. Kolumna wozów dotarła do Jezioran Czeskich przed godziną 15-tą. Czesi przyjęli bardzo serdecznie polskich uciekinierów. Wszystkie furmanki czasowo ulokowano w dużym sadzie na skraju wsi, w pobliżu zagrody Sidlaczka. Postój trwał ok. 2 godzin. Ok. godziny 17-tej do uciekinierów przybył znajomy Czech z tzw. „ewangelickiej” części wsi. Uciekinierzy kwaterowali w „prawosławnej” części. Tenże Czech ostrzegł, że banderowcy przygotowują nocą napad na tabor polskich uciekinierów i radził czym prędzej uciekać. Czym się kierował Sidlaczek zapraszając Polaków do wsi? Trudno dać jednoznaczna odpowiedź. Czy były to szczere intencje? Czy zamierzona pułapka?

Na wieść o tym zdecydowano się natychmiast opuścić Jeziorany Czeskie. Konwój szybko wyjechał ze wsi bez powiadomienia Czecha, u którego się zatrzymał. Wyjazd nastąpił ok. godziny 17³⁰. Po oddaleniu się od miejsca postoju, zatrzymano się w głębokiej kotlinie wśród wysokiego łąu żyta

na polnej drodze. Z uwagi na bezpieczeństwo postanowiono wyruszyć do Łucka dopiero w nocy. Około godziny 22-giej kolumna wozów ruszyła w dalszą podróż. Wybrano dłuższą drogę przez tzw. trakt Horochów - Łuck. Miał on tą zaletę, że omijał wszystkie większe osiedla ukraińskie. Jedynym niebezpiecznym odcinkiem były chutory Czarukowskie, rozłożone wokół drogi dojazdowej do traktu. Tu obawiano się zasadzki. Uzbrojonych ludzi rozstawiono po wszystkich wozach, ze szczególnym uwzględnieniem czołówki i tyłów kolumny. Przez chutory postanowiono jechać wolno. Wszyscy mężczyźni, w tym i uzbrojeni, szli pieszo. Broń trzymano gotową do strzału.

Po przebyciu zagrożonego odcinka, wszyscy wsiedli na wozy, a po wyjeździe na trakt, ruszono pełnym galopem. Około godziny 1-szej w nocy przednie wozy dotarły do wsi Górka Połonka. Tam zatrzymano konwój na postój. Miał być krótki - do Łucka było 7 km. Potrwał jednak prawie dwie godziny. O przejeździe konwoju zachowałem takie wspomnienia :

Noc była ciemna. Czarne, nisko idące chmury przesłaniały skryty za nimi księżyc. Czasami tylko wiatr przeganiał chmury i robiło się jasno jak w dzień. Od stron północnej i zachodniej na horyzoncie widać było luny pożarów, gdzieś daleko paliły się polskie zagrody. Od czasu do czasu można było usłyszeć pojedyncze strzały karabinowe lub krótkie serie z broni maszynowej. Była to niesamowita noc. Sprawiała wrażenie grozy i czającej się wokół śmierci. Przez ukraińską wieś Czaruków jechaliśmy wolno. Mężczyźni szli obok wozów z karabinami gotowymi do strzału. Kiedy jechaliśmy przez zamieszkałe osiedla ukraińskie, instynktownie czułem, że ktoś nas śledzi i obserwuje. To uczucie towarzyszyło mi do końca podróży. Wydawało mi się, że ktoś za nami idzie lub jedzie konno.

Ten prawie dwugodzinny postój przed mostem na małej rzeczce Połonce, jak się później okazało, był tragiczny w skutkach. Z daleka było widać wysokie kontury budynków majątku dworskiego. Z piętrowych okien widoczne były świetliki, sprawiające wrażenie świateł. Wiedzano o tym, że w majątku kwaterowali zawsze Niemcy. W przeszłości nieraz zdarzało się, że żołnierze niemieccy kontrolowali na moście dokumenty, czasami robili rewizję zawartości chłopskich furmanek. Po zatrzymaniu się furmanek wśród jadących rozgorzała dyskusja, czy jechać dalej, czy zatrzymać się i poczekać do rana ? Obawiano się, że Niemcy w przypadku wjazdu na most mogą strzelać bez ostrzeżenia. Jedni naciskali, żeby jechać, ponieważ mogą nadejść banderowcy, drudzy zaś mówili, że skoro tam są Niemcy, to należy poczekać, bo można się nadziać na ich ogień. W dyskusji zwyciężyła ta druga motywacja. Czekało ok. dwóch godzin. Gdy zaczęło się rozjaśniać, wyciągnięto wozy na szosę. Miano już odjeżdżać. Furmani z ostatnich trzech wozów podeszli do przodu z pytaniem o czas odjazdu. I wtedy się zaczęło. Wśród tych furmanów byłem i ja z wujkiem Zenonem, naszym sąsiadem Sebastiańskim i jeszcze jednym, którego nazwiska nie pamiętam.

Nasze wozy znajdowały się na końcu konwoju. Po powrocie do wozów zamierzaliśmy jechać w tyle za konwojem, gdy nagle na wzgórzu szosy pojawiło się kilka postaci...

Tego pamiętnego ranka 23 czerwca 1943 roku przestała faktycznie istnieć polska wieś Jeziorany Szlacheckie. Wieś z ponad 250-letnią historią. Jej nieliczni mieszkańcy, którzy ocalali, zostali rozproszeni w różne strony...

Na tle nieludzkich mordów, szowinistycznego upowskiego terroru w szczególny sposób należy odnotować przypadki szlachetnych czynów tych Ukraińców, którzy z narażeniem własnego życia ratowali pojedynczych Polaków, a czasem całe polskie rodziny. Oto przykład :

Po ocaleniu z pierwszego pogromu 19 czerwca 1943 r. Jan Marmucki, mieszkaniec Jezioran, ukrywał się w zbożu w pobliżu swojej zagrody. Gdy to stało się niebezpieczne, skontaktował się ze znajomą ukraińską rodziną Fuksów. Rodzina ta składała się z dwóch braci i siostry Kaliny. Ona podjęła się ukrycia Jana Marmuckiego. Wykopano w sadzie zamaskowaną piwnicę, której przebywał podczas dnia. W nocy pod opieką któregoś z członków rodziny Fuksów wychodził na spacer. Trwało to przez pewien czas. Banderowcy z sąsiedniej wsi musieli się domyślać, że Fuksowie kogoś ukrywają. Co pewien czas zaczęli ich na zmianę nachodzić ten lub inny banderowiec, pytając, czy nie widzieli czasem ukrywających się Polaków. Fuksowie czując zagrożenie niebezpieczeństwem, zdecydowali się potajemnie wywieźć Jana Marmuckiego do pobliskiego Nieświcz, gdzie stał garnizon niemiecki. Znowu podjęła się tego siostra Fuksów Kalina. Przygotowano furmankę, na której Marmucki położył się, przykryto go słomą, a na wierzch położono worki ze zbożem. Tym sposobem dowiozła go do Nieświcz jako „kontyngent zbożowy”.

Jan Marmucki ocalał. Z Nieświcz dostał się do krewnych w Łucku. Po wojnie repatriował się do Polski. Zmarł w latach 50-tych w województwie opolskim. Był ostatnim Polakiem mieszkańcem tej wsi, który ocalał, dzięki pomocy tych Ukraińców, którzy zachowali ludzką godność.

Zygmunt Stański

STRACIŁEM CAŁĄ RODZINĘ

Wychowałem się w domu rodzinnym w Porycku pow. włodzimierski, skąd od wielu pokoleń pochodziła moja rodzina. Uczyłem się w Gimnazjum Państwowym im. M. Kopernika we Włodzimierzu i tam otrzymałem maturę w 1928 r. W tym samym roku wstąpiłem do Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie, którą ukończyłem z dyplomem inżyniera rolnika i rozpocząłem pracę w Warszawie, w Gabinetie wicepremiera Eugeniusza Kwiatkowskiego, zajmując się głównie sprawami produkcji roślinnej.

W czasie wojny zajmowałem się pracą w rolnictwie, w różnych miejscowościach województwa wołyńskiego. Po napadzie upowców na mnie wyjechałem do Włodzimierza, gdzie zostałem zatrudniony w powiatowym wydziale rolnym, którego kierownikiem był wówczas pan Jurczenkowicz, mąż mojej koleżanki z gimnazjum Pauliny Przybyłówny. Oboje Jurczenkowiczów dobrze znałem.

We Włodzimierzu, już w okresie okupacji hitlerowskiej zgłosił się do mnie, jako do oficera rezerwy WP, były podoficer zawodowy z 23 pułku piechoty z Włodzimierza, którego znałem, ale nazwiska obecnie nie pamiętam, z propozycją współpracy z oddziałami konspiracji. Gdy wyraziłem zgodę, umówiliśmy się na spotkanie u dowódcy o nazwisku „Dworakowski”. Był to jego pseudonim. „Dworakowski” podobno pochodził z Łucka. Przed nim i na jego ręce złożyłem przysięgę konspiracyjną. „Dworakowski” mianował mnie dowódcą obrony wschodniej części miasta Włodzimierza. Miałem oddział składający się z 32 ochotników i ja, jako 33-ci, zostałem ich dowódcą. Oddział ten miał za zadanie bronić miasta, a w szczególności Polaków, na wypadek ataku ukraińskich nacjonalistów na Włodzimierz. Był to więc oddział Samoobrony.

Latem 1943 r. miał być dokonany napad oddziału UPA na Włodzimierz od strony południowo-wschodniej części miasta. Nie odważono się jednak dokonać tego napadu, choć bandy upowców zbliżyły się już do mostu na Łudze, od strony Zarzecza i Zimna, a w nocy docierały do nas ich okrzyki. Przypuszczam, że wywiad UPA orientował się w zorganizowaniu i gotowości

do obrony naszej załogi. Po pewnym czasie nadjechał z Kowla pociąg z oddziałem artylerii niemieckiej, który o świcie rozpoczął ostrzeliwanie prawosławnego klasztoru w Żymnym pod Włodzimierzem, gdzie koncentrowały się znaczne siły UPA. Plany ich najwidoczniej zostały zmienione i oddziały nacjonalistów ukraińskich skierowały się na Poryck. W dniu 11 lipca 1943 r., w niedzielę o godzinie 11-tej, w czasie nabożeństwa w kościele w Porycku dokonały one zbrojnego napadu na kościół, wypełniony licznie zgromadzoną ludnością przybyłą na Mszę Świętą. Wśród tłumu wiernych znalazła się cała moja rodzina, z wyjątkiem mojej matki Anny Stańskiej. Matka tego dnia pozostała w domu na Holenderni. Tak nazywała się część Porycka, w której znajdował się nasz dom rodzinny.

Oddziały UPA rozpoczęły atak na kościół od ostrzelania z karabinów maszynowych drzwi wejściowych, raniąc i zabijając wielu ludzi, wypełniających kościół po brzegi. Został wówczas ranny m.in. ksiądz proboszcz Bolesław Szawłowski, który tego dnia odprawiał Mszę Świętą. Ojciec mój Jan Stański ranny w głowę doczołgał się do stopni ołtarza, by ratować księdza. W tym czasie upowcy dobijali rannych. Ksiądz Szawłowski chciał odbyć spowiedź przed śmiercią i dlatego prosił napastników o sprowadzenie księdza prawosławnego z sąsiedniej cerkwi. Pop przybył ubrany w szaty liturgiczne i leżącego na stopniach ołtarza księdza Szawłowskiego wyspowiadał, udzielając Sakramentu Świętego, po czym odszedł bez słowa, nie próbując nawoływać do opamiętania zbrodniarzy ukraińskich. Część z około 500 osób zebranych w kościele zginęła okrutną śmiercią, część zmarła od ran i wykrwawienia. Były tam dzieci, młodzież, kobiety, mężczyźni, starcy i chorzy. Część uciekała, część pozorowała śmierć. Ocalała mała grupa osób spośród tych, którzy znaleźli się na chórze i na schodach wiodących na chór, skąd dostawali się na strych i ukrywali się przez czas rzezi i mordów.

Wszyscy uciekinierzy z Porycka i okolic wraz z rodzinami i dobytkiem przedostawali się nocami do Włodzimierza, gdzie znajdowali się wśród swoich rodaków bezpieczeństwo, pomoc i pociechę. Wnieśli do miasta swoje rozpacz, lament i płacz, a ponadto opowiadania o losach swoich nieszczęśliwych zamordowanych bliskich, krewnych i sąsiadów. Potem te opowieści potwierdzały się w całej swej tragicznej wymowie.

Nazajutrz 12 lipca 1943 r. bandyci nadal napadali na domy nawet i swoich pobratymców i dobijali rannych. W ten sposób zginęli moi ojciec i siostra Maria, oraz moja matka Anna, która ratowała ofiary mordów w kościele. W ten sposób została zgładzona cała moja rodzina.

Do Porycka już nigdy nie wróciłem. Wiadomo mi, że po dokonanych morderstwach, oddział UPA spędził ludność okolicznych wsi, aby we wspólnych grobach zakopać wszystkich zabitych. Wobec obojętności wojsk niemieckich, rozzuchwalone bezkarnością oddziały zbrojne UPA nadal napadały i mordowały okoliczne wsie takie jak np. : Kałusów, Chrynów, Koniuchy

czy Kisielin. Wiadomo mi, że kościół w Porycku nie istnieje. Groby fundatorów kościoła - Czackich zostały zbezczeszczone, ciała wywleczone i zniszczone. W tym miejscu należy wspomnieć historyczny fakt, przeniesienia z Rzymu do kościoła w Porycku prochów kardynała Włodzimierza Czackiego, który wcześniej został pochowany w katakumbach watykańskich dla zasłużonych duchownych. Jego prochy sprowadziła do Porycka rodzina Czackich jeszcze za caratu w Rosji.

Kościół w Porycku został wzniesiony w latach 1759-1774. Jego budowniczym był Andrzej Ahorn, jezuita który był również autorem fresków. Na ironię losu zasługuje znamieny fakt, że Czaccy Michał i Konstancja z Wielhorskich - rodzice Tadeusza Czackiego, założyciela słynnego Liceum Krzemienieckiego i dobrodzieja Kolegium Bazylianów we Włodzimierzu, fundując kościół, wybudowali także z własnych funduszy w Porycku cerkiew prawosławną i bóżnicę żydowską.

Rok 1943 był dla Porycka rokiem zagłady, a dla ludności polskiej rokiem tragedii. Czas ten jednak był tragiczny również dla rodzin mieszanych polsko-ukraińskich dotąd spokojnie żyjących w swoich wsiach. Jedno z tego rodzaju wydarzeń przytoczę. W jednej wsi w pow. włodzimierskim, w rodzinie mieszanej matka była Polką, a ojciec Ukraińcem. Mieli pięcioro dzieci. Któregoś dnia dorosły syn przybył z lasu do swoich rodziców z nakazem zabicia matki Polki. Z zamiaru tego zwierzył się swemu ojcu. Ojciec zaskoczony tym i wstrząśnięty starał się odwieść syna od tego zamiaru. Niestety, żadna perswazja nie pomogła i syn własną matkę wyprowadził do lasu. Tuż przed egzekucją ojciec uderzył syna siekierą w głowę, żonę zaś z dziećmi wywiózł do miasta, podobno do Sokala.

Zdarzały się też przypadki, kiedy to Ukraińcy bronili Polaków przed Ukraińcami. W majątku rolnym w gminie Grzybice pow. włodzimierski rządcą był Polak. Mieszkał z żoną i dwójkiem małych dzieci. Pewnego dnia do kancelarii wpadło trzech uzbrojonych Ukraińców w ubraniach cywilnych. W kancelarii był księgowy, którego żona była Ukrainką i wspomniany już zarządca majątku. Zostali oni zrewidowani i kazano im iść do lasu. Gdy obaj mężczyźni wzbranieli się przed uprowadzeniem i sytuacja z każdą chwilą stawała się coraz groźniejsza, nagle padł strzał z karabinu i w tejże chwili wbiegła do pokoju żona księgowego - Ukrainka. Zaskoczeni tym napastnicy wycofali się, rezygnując ze swoich poprzednich zamiarów.

GOŁE, GŁODNE, BOSE

Moje smutne wspomnienia zacznę od daty 20 III 1943 r., kiedy to w sobotę, około godziny 20-ej, weszli do domu Ukraińcy w niemieckich mundurach. i aresztowali mego ojca i leśniczego pana Dołwiata. Po jakiejś godzinie wrócili, oznajmiając, że ojciec i leśniczy uciekli. Na drugi dzień pod sterłą omlóconego zboża znaleziono zwłoki ojca i pana Dołwiata. Mieli na sobie tylko bieliznę. Pochowani zostali w Porycku, bo tam były kościół i cmentarz. Ojciec mój pracował u hr. Czackiego w majątku Lachów. Takich majątków było sześć. Były w nich większe skupiska Polaków, ale przeważała ludność ukraińska, z którą bardzo dobrze się nam żyło, aż do dnia, w którym wybuchła tak ogromna nienawiść.

11 V 1943 r. zbudził mnie, mamę i siostrę ogromny tupot koni i czerwona luna pożaru. Wówczas to podpalono zabudowania folwarczne, a konie i bydło zabrano. W krótki czas potem dom też podpalono, od dachu, tak że niewiele zdołaliśmy uratować. Zamieszkałyśmy u księdza prawosławnego, popa Balickiego. Był to dobry człowiek, ale nie lubiany przez Ukraińców, gdyż nie odprawiał nabożeństw po ukraińsku, tylko w języku rosyjskim. U niego też przechowywał się doktor medycyny, Żyd.

Tymczasem coraz częściej słyszało się o pojedynczych mordach na Polakach, ale mówiło się też, że są to osobiste porachunki. Jedynie p. Zacharczuk, którego żona była w Porycku lekarzem, mówił po cichu, że „fala się zbliża” i trzeba się mieć na baczności. Jego całą rodzinę, tuż przed ogólnym mordem Polaków, ukraińscy chłopcy wywieźli na furmankach do Iwanicz na stację kolejową. Jako człowiek i lekarz był bardzo szanowany, a jego dom był zawsze otoczony furmankami z chorymi.

11 VII 1943 r. Ukraińcy napadli na kościół w Porycku. Podczas „Gloria” padły pierwsze strzały, raniąc ciężko księdza Szawińskiego. W kościele byłam z siostrą. Mama została w domu. Ocalałyśmy dzięki Opatrzności Bożej, bo leżałam na granacie, który nie wybuchł. Kiedy posłyszala, że bandyci chodzą po kościele dobijając rannych i mówią: „o tej szczie żywyj” – to szybko jakąś czapkę, umoczoną w jeszcze ciepłej i lepkiej krwi, potarłam

sobie i siostrze twarze i tak udawałyśmy zabite. Raz tylko podniosłam trochę głowę i zobaczyłam straszliwie poranionych ludzi, po prostu żywe jeszcze trupy, uciekające przed duszącym dymem, ale seria z karabinów maszynowych przerwała cierpienie tych ludzi. Pamiętam taką panienkę, Józję Filipowicz z Barbarówki, całą ociekającą krwią. Ukraińcy nawoływali : „wychodite, chto żywyj” - po to by w drzwiach zabijać. Na nasze szczęście lunął okropny deszcz. Posłyszaliśmy odgłosy odjeżdżających wozów. Na moment znów trochę podniosłam głowę i zobaczyłam p. Ratusińskiego i jeszcze parę osób, jak odciągali taką kłapę do zejścia do podziemi, gdzie już przeczekaliśmy do końca. Próbowano też wysadzić w powietrze kościół, ale poczuliśmy tylko okropny wstrząs i wszystko ucichło. W pewnej chwili posłyszeliśmy, że ktoś chodzi po kościele i woła : „uciekajcie już odjechali”. Wtedy dopiero wyszliśmy i przez małą rzeczkę i pola dobiegliśmy do domu, a była już godzina coś koło 15-ej, bo z Porycka do Lachowa było około 3 km.

Z osób, które ocalały, pamiętam tylko pana Józefa Ratusińskiego. Przez Lachów zaczęły wkrótce ciągnąć całe zaprzęgi konne ze zdobyczą po wymordowanych Polakach. Tymczasem uprzedzone zostałyśmy przez Ukrainkę, nauczycielkę p. Pokydko, żeby natychmiast uciekać, nic ze sobą nie biorąc i ubrać się tak jak na niedzielny spacer. Tak też zrobiliśmy. Droga prowadziła pod lasem, nikt nas nie zaczepił, ale wciąż wydawało się nam, że każde drzewo się rusza, lub że ktoś idzie ku nam.. I tak dotarłyśmy do Iwania, gdzie była stacja kolejowa. Z Iwania pociągiem towarowym dojechaliśmy do Włodzimierza, gdzie przygarnełi nas pp. Holcowie. Gołe, głodne i bose dostałyśmy dach nad głową, jedzenie i ubranie, za co wdzięczność nasza nie ma granic.

OCZAMI DZIECKA

Początek października 1939 r., ojciec wraca z kampanii wrześniowej. Mieszkamy w miejscowości Derażne pow. Kostopol. Dom szczytowy - parterowy, niski, ulica wąska, żwirowa. Szczyt budynku i ganek dochodzą do ulicy głównej. Na ulicy tej chodniki są drewniane, nawierzchnia brukowana. Naprzeciwko nas mieszka batiuszka - ukraiński, prawosławny pop. W miasteczku mieszka kilka tysięcy mieszkańców. Największą liczbę ludności stanowią Żydzi, potem Ukraińcy i Polacy, oraz kilka innych narodowości. W mieście są kościół, cerkiew i synagoga.

Rodzina nasza składała się z 5 osób : ojciec Ludomir, rocznik 1900, mama Stanisława z 1904 r., brat Romuald ur. w 1932 r., siostra Wanda urodzona przed wybuchem wojny 20 kwietnia 1939 r. i ja ur. w roku 1930 w Mikułiczach koło Włodzimierza Wołyńskiego.

Na Wołyniu wiosna jest tak piękna i ciepła, że tego roku w dniu urodzin siostry zakwitły bzy. Lato było upalne, wspaniałe, zima zazwyczaj ostra, mroźna, dużo śniegu. Rok 1939 był szczególnie piękny, gorące lato, ciepła i słoneczna jesień.

Ojciec mój urodził się 10 listopada. Tego roku, w dniu tym jak zawsze mieliśmy obchodzić uroczyste imieniny, urodziny ojca i 11 listopada Święto Niepodległości. Te dni były zawsze dla nas olbrzymim przeżyciem i wspaniałym świętem. W tym roku miało być inaczej. W miasteczku są już wojska sowieckie - przyszli brudni, źle ubrani i umundurowani. Zaczynają się „wizyty domowe”, sprawdzanie dokumentów. Wypędzają księdza z plebanii, powstaje tam NKWD. Rozpoczynają się aresztowania. Ktoregoś dnia spędzają wszystkich na rynek, na tzw. mitting. Żydzi i Ukraińcy cieszą się z upadku Rzeczypospolitej, szkalują byłe władze, plugawią. Nieprzyjemnie jest słuchać i patrzeć jak byli sąsiedzi i znajomi potrafią tak nisko upaść i płaszczyć się przed Rosjanami.

Rozpoczyna się nauka w szkole, oczywiście w języku rosyjskim. Zostajemy cofnięci o rok, chodzimy obecnie do tzw. „dziesięciolatki”. Ojciec, w przewidywaniu tego, co może nastąpić w każdej chwili, wyjeżdża rzekomo

do rodziny. Mama sprzedaje różne rzeczy i przedmioty dla utrzymania domu.

Do NKWD ciągle prowadzą ludzi, niektórych wypuszczają, ale większość nie wraca. Część ludności wywożą w nieznanym kierunku, furmankami, w kajdanach. Późną jesienią przychodzi do naszego mieszkania sowiecki wojskowy i pyta mamy : „a wasz muzyk wiernuścia z wajny ?”. Mama odpowiada : „tak, ale wyjechał do rodziny, do siostry, bo jest bardzo chora”. On wciąż stoi i patrzy, chwila wydaje się wiecznością, bo na ścianie wisi portret marszałka Piłsudskiego. Mama przerażona mówi : „zapomniałam, zaraz zdejmę”. On zaś odpowiada : „nie nuda, kakby wasz dieduszka żył, nas by zdies nie było - puść wisit” - i wyszedł.

Przed Bożym Narodzeniem 1939 r. nauczycielka, Żydówka Berta Aros dokonała w klasach przeglądu noszonych przez dzieci medalików. Co wartościowsze, w tym mój złoty krzyżyk z łańcuszkiem, prezent Chrztu Świętego od mego ojca chrzestnego, zostają zerwane i zabrane. Nauczycielka Berta Aros zabrania noszenia tych przedmiotów. Do szkoły uczęszcza również mój brat Romuald.

Zima 1940 r. jest bardzo mroźna, śnieg leży na wysokość jednego metra. Coraz częściej wywożona jest ludność polska. „Kulacy”, pracownicy byłej polskiej administracji, nauczyciele, inteligencja, gajowi, osadnicy, leśnicy itp. Codziennie jadą do stacji kolejowych niekończące się ilości furmanek. Ludzie zamarzają. Na furmankach przymocowane są napisy „miałężniki”-buntownicy. Wywożeni mogą ze sobą zabrać jedynie ubranie, mały węzełek, trochę żywności. Transporty obstawione są po obu stronach przez żołnierzy NKWD, nie można do ludzi tych podejść, podać ciepłej strawy czy odzieży, traktowani są przez Rosjan jak zaraza.

Ukraińcy i Żydzi nie tają swojej radości i donoszą kogo by tu jeszcze należało wywieźć. Już wiemy, że część ludzi zatrzymanych przez NKWD jest rozstrzeliwana, ale gdzie, tego nikt nie wie. Ksiądz nadal uczy nas religii w kościele, przygotowując młodzież do służenia do Mszy Św. Zostają jedynym z ministrantów. Dzieci w szkole są wypytywane, co robią, dokąd chodzą, o czym w domu rozmawiają ich rodzice. Pisane są nawet na ten temat klasówki. Dzieci nieświadomie wydają rodziców. I znów całe rodziny są wywożone, lub następują dalsze aresztowania.

Nie pamiętam, co stało się z księdzem Krokiem, nauczycielem Łozirskim i jego żoną, aptekarzem Gulmuntowiczem, organistą Podgórskim, czy wywiezieni zostali, czy uciekli ? Do opuszczonych domów sprowadzają Sowieci własne rodziny, osiedlają się jakby na stałe. Wszędzie jest niedostatek, wszędzie kolejki, po chleb stoi się całymi nocami.

Mama dla utrzymania rodziny robi i sprzedaje mydło. Pamiętam przygotowanie, gotowanie i nalewanie do form gęstego płynu, który po ostygnięciu staje się szarym, ciemnym mydłem. Raz w tygodniu wychodzę raniutko

z domu, plecak mam załadowany tym mydłem. Idę do wsi Pieńki i starym, zarosłym nasypem kolejowym dalszych 12 km do miejscowości Wielka Debryca. Po południu z powrotem ; niosę chleb, topione masło, słoninę. Po drodze zatrzymuję się jak zwykle w Pieńkach dla odpoczynku. Pamiętam, że jesienią 1940 roku obok nasypu kolejowego, zawsze, co tydzień w jednym i tym samym miejscu, znajdowałem gronadkę borowików. Była to przepiękna rodzina grzybowa.

Po częściowym ustaniu wywożenia ludzi wraca mój ojciec i zgłasza się jako bezrobotny. Dostaje pracę w instytucji pod nazwą - pamiętam ją skrótowo - „Rajpotrebsojuz” - jako buchalter. Po powrocie ojca olbrzymia radość; każdy przebyty razem dzień, bez aresztowań, to dzień święta, wieczornej modlitwy o dalsze przetrwanie. W każdy wolny od pracy dzień ojciec wychodzi z domu i wraca dopiero wtedy, kiedy musi pójść do pracy. My jako dzieci nie wiemy dokąd. Mama jest bardzo nerwowa i wciąż powtarza, że poszedł do znajomych. Dopiero po wojnie mama wyjaśniła nam, że ciągle obawiał się aresztowania i wychodził z domu. Był przecież piśsudczykiem, legionistą odznaczonym krzyżem Virtuti Militari.

Latem 1941 r. dociera wieść o napadzie Niemiec na Związek Radziecki. Wszyscy Rosjanie uciekają w popłochu. Na drogach i polach zostaje sprzęt wojskowy, czołgi, armaty, karabiny. Część Rosjan nie chce uciekać, pozostaje po wsiach i miasteczkach. Wkraczają Niemcy, chaos i bałagan jakie powstały po ucieczce Rosjan, powoli zanikają. Tam, gdzie Rosjanie mieli NKWD, teraz jest Gestapo - jest to budynek plebanii.

Do Derażnego przyjeżdża młody ksiądz z Równego, Dąbrowski. Jest to nasz dobry znajomy. Obok kościoła stoi budynek, parterowy bliźniak, w którym przed wojną mieszkali kościelny i zakrystian. Obecnie zamieszkuje tam ksiądz. Połowę domu oddaje nam i my tam również mieszkamy. Na przeciwko domu, w ogrodzie stoi drewniany budynek - stodoła czy obora. Tak jak budynek mieszkalny, tak i budynek gospodarczy podzielony jest na dwie części. Ogrodzenie między budynkiem, a oborą dzieli obie posesje także na dwie części. Od szczytu budynku, gdzie mieszka ksiądz oraz od szczytu, gdzie my mieszkamy są oddzielne bramy i furtki. Przy budynku od strony frontowej znajduje się ganek, rozdzielony na dwie części jak cała reszta.

Nie mogłem wtedy pojąć, co kierowało rodzicami, że zajmując część budynku od strony miasta, zajęli połowę stodoły od strony, gdzie mieszkał ksiądz. Wymagało to zrobienia osobnej furtki w płocie. Kury chodziły po podwórku księdza, a krowa i świnka, które kupili rodzice, były też w tej części. Cały chlew-stodoła był przecież pusty i po zajęciu jednej połowy, ta druga na przeciwko nas była pusta.

Było to późną jesienią 1941 roku Mama doła krowę, ja świeciłem lampą naftową tzw. stajenną. Nagle usłyszałem jak ktoś kółkiem przesuwając po pionowych deskach obory i dochodzi odgłos - ta, ta, ta, ta. Wyszedłem na

zewnątrz, nikogo nie było. Ponieważ następnego dnia to się powtórzyło, powiadomiłem ojca, który wyszedł zobaczyć, kto nas tak „straszy”, ale on też nikogo nie znalazł. Powiadomiliśmy o wszystkim księdza Dąbrowskiego. On z ciekawości stanął przy jednym narożniku obory, ojciec zaś przy drugim. Obaj usłyszeli ów stukot, ale nadal nikogo nie było. Ojciec wieczorem przy rozmowie z księdzem powiedział, że stukot ten przypomina mu głuche wystrzały. Ksiądz Dąbrowski tak się tym przejął, że podczas kazania w najbliższą niedzielę wezwał rodziny, w których kogoś z rodziny aresztowało NKWD, aby zgłosiły się do niego. Za zezwoleniem władz niemieckich ludzie zaczęli przeszukiwać teren, szukając świeżych wykopów w rejonie byłego budynku NKWD, a obecnego Gestapo oraz okolicznych ogrodów i pomieszczeń gospodarczych. W stodole na przeciwko naszego mieszkania znaleziono w gnoju 11 osób, rozstrzelanych przez NKWD. Rodziny rozpoznały swoich. Pomordowanych pochowano na cmentarzu.

Wkrótce władze niemieckie zaczęły rozprawiać się w pierwszej kolejności z tymi, którzy służyli Rosjanom. Nastąpiły aresztowania i wywożenie poza miasto. Przed naszymi oknami, które musiały być ciągle zasłonięte, widzieliśmy gromadki ludzi prowadzone do Gestapo. Działo się to przeważnie w nocy.

Późną jesienią 1941 r. ojciec dostał pracę w majątku u Niemców. Pamiętam, że wykonywał pomiary jako mierniczy całego majątku. Znał bardzo dobrze języki rosyjski, węgierski i niemiecki. Bardzo często wyjeżdżał sam lub z księdzem do chorych na poszczególne wsie. Przypadek sprawił, że za oficjalną pracę odkryłem inną działalność ojca. Któregoś dnia mama, pod jego nieobecność, posłała mnie po coś do piwnicy. Oświetlając sobie drogę świecą, rozglądałem się po piwnicy z ciekawością dziecka. Jak dotychczas przychodził tu tylko ojciec. Interesowało mnie wszystko, co zobaczyłem: rozmaite beczki, skrzynki, pudełka. W pewnym momencie zaczęłem o wystającą lekko cegłę. Ukląkłem, postawiłem świecę i chciałem to poprawić, wyrównać. Podłoga była z cegieł, a między cegłami piasek. Znalazłem jakiś przedmiot i zacząłem dłużyć wokół cegły. Wyjąłem cegłę, aby ją ponownie ułożyć, ale pod spodem były deski, wyjąłem jedną, drugą, trzecią, czwartą, chyba ze sześć desek i podniosłem je, a tam znalazłem szmaty brudne od oliwy. Chciałem je wyjąć, ale stawiały opór. Rozchyliłem je i zobaczyłem krótką broń, amunicję, granaty. Przestraszyłem się i czym prędzej wszystko schowałem na poprzednie miejsce. Wydawało mi się, że śladu nie zostawiłem, ale następnego dnia ojciec spytał mamę, kto był w piwnicy, a mnie co ja tam robiłem. Bałem się przyznać do mego odkrycia i powiedziałem, że tylko zamiotłem podłogę. Ojciec kategorycznie zabronił komukolwiek wchodzić do piwnicy. Od tego czasu nigdy już tam nie byłem.

Wszystkich Żydów spędzono w jedno miejsce. W mieście powstało getto, a w 1942 r. rozpoczęto jego likwidację. Któregoś dnia w okresie likwidacji

getta, przez nasze podwórko biegła Żydówka, uciekała, goniło ją dwóch Niemców. Nasz pies Wen, łańcuchowy, bo tylko takie psy wolno było trzymać, zerwał się i rzucił na Niemca. Pies został zastrzelony, a nad rzeką Horyń, w miejscu, gdzie wpływa rzeczka Derażka, znaleziono martwą Żydówkę.

W 1942 r. przez naszą miejscowość przemaszerowały wojska węgierskie. Pamiętam, że ojciec wyszedł do nich, by w ich języku porozmawiać. Wiem też, że ojciec ostrzegał okoliczną ludność, przed mającym nastąpić zabieraniem tzw. „kontygentu”. Ludność miała możliwość ukrycia bytła w lasach.

Często rodzice rozmawiali między sobą po cichu, tak, aby nie słyszały tego dzieci. Podejrzewaliśmy, że mama skarżyła na nas i chce by ojciec nas skarcił. W szkole uczyliśmy się w języku ukraińskim. Utworzono też ukraińską policję. Na budynkach i w szkole pojawił się „tryzub”. Mówiono, że powstanie „Samostijna Ukraina”. Zaczęły pojawiać się inne wojska tzw. „Własowcy”. Polacy coraz bardziej obawiali się o swoje życie, część ludności polskiej wyjechała do większych miast, do rodzin, lub na duże wsie polskie. Sąsiadki Ukrainki coraz częściej opowiadały radośnie o powstaniu ukraińskiej partyzantki, do której pójda ich mężowie i synowie.

Ja w dalszym ciągu służyłem do Mszy Świętej. Ksiądz Dąbrowski zapraszał dzieci do swego mieszkania, gdzie uczył religii i bardzo ciekawie uczył historii Polski. W nastroju niepokoju i obaw minęły święta Bożego Narodzenia.

Rozpoczął się rok 1943. Rodzice byli coraz bardziej niespokojni. W nocy 22 lutego 1943 r. przyszło do naszego mieszkania trzech uzbrojonych mężczyzn, mówiących po rosyjsku. Kazali ojcu się ubrać i około 1-szej w nocy zabrali go ze sobą. Od tego dnia ojca naszego więcej już nie widzieliśmy. Rozpacz była straszna. Rano mama chodziła do majątku i władz niemieckich dowiedzieć się o jego losie, ale oświadczono jej, że nikt nic nie wie. Mówiono tak wszystkim.

Na początku marca 1943 r. obudziły nas nocą strzały. Odgłos ich pochodził z kierunku północnego, jakby koło szkoły, cerkwi i zbliżał się coraz bardziej, z krótszymi lub dłuższymi przerwami. Ostatnie słychać było tak, jakby padały na naszej ulicy. Po północy do naszego mieszkania podjechał wóz ciągnięty przez siwego konia i zatrzymał się przed bramą. Z wozu wysiadło czterech uzbrojonych mężczyzn, widziałem ich przez okno. Jak tylko usłyszeliśmy strzały, mama kazała nam się położyć się pod łóżka rodziców. Po zobaczeniu podjeżdżającej furmanki i ja położyłem się pod łóżko. Siostra Wandzia miała wtedy niecałe cztery latka. Mama trzymała cały czas palec na ustach i powtarzała cichutko : „cicho, cicho, nie wolno nic mówić, nie wolno płakać, jak chcesz siusiu, to rób na podłogę”. Siostra rzeczywiście była cicho, dom jakby pusty, cisza. W tym czasie słychać było stukanie do

naszych drzwi od podwórka, rozbijanie szyb w oknach oraz rozbijanie przedmiotów w mieszkaniu księdza. Następnie usłyszałem głosy : „księdza ne ma, u nych małaja detyna, w domu nykoho ne ma” i odeszli. Przeleżeliśmy pod łózkami do świtu. Po wschodzie słońca mama wyszła zobaczyć, co się dzieje dokoła. Pod domem zebrało się kilka Ukraińek, które weszły na podwórko. Mama im otworzyła drzwi, a one : „pani, wy żywete ? Wsich Polaków wystreliali”. Przypuszczam, że szły rabować. Po godzinie, czy dwóch wyszedł z kościoła ksiądz Dąbrowski i opowiadał, że jak tylko usłyszał pierwsze strzały, stukał do nas. Musieliśmy już wtedy leżeć pod łózkami i tego nie słyszeliśmy. Ponieważ nikt nie odpowiadał, sądził, że nas nie ma. Poszedł do kościoła i tam przesiedział do rana.

Bandyci ukraińscy mordowali w tę noc Polaków, chodząc od domu do domu. Po południu, bojąc się iść przez miasto, poszliśmy brzegiem rzeki Derażki, a następnie polami do odległej o 2 km wsi Pieńki. Na polach miejscami leżał jeszcze śnieg. Rzeka Derażka wiosną i jesienią wylewała - potworzyły się stropy lodowe, składające się z kilku warstw lodu.

Po opowiedzeniu tego, co się stało tej nocy, Polacy ze wsi Pieńki i Pendyki przyjechali do miasta, dla pochowania pomordowanych. Widok był straszliwy. Zastygłe zwłoki ludzi dorosłych i dzieci w różnych pozach nie mieściły się w zbitych z desek trumnach. Zwłoki układano na wozy i przykrywano prześcieradłami. Kondukt pogrzebowy był bardzo długi. W mieście panowała cisza, na ulicach było pusto.

Tak rozpoczęła się zbrodnicza działalność nacjonalistów ukraińskich. Pomordowano wtedy prawie wszystkie polskie rodziny w miasteczku Derażne, w tym zaprzyjaźnionych z nami Kaczyńskich i Słowikowskich. Dzieci Słowikowskich uciekły na Pieńki. Zostaliśmy żywi tylko my i ksiądz Dąbrowski. Wieczorem po pogrzebie zabraliśmy tobołki i krowę, i pojechaliśmy wozem na Pieńki. Zakwaterowani zostaliśmy czasowo u gospodarza nazwiskiem Ramus. Nie pamiętam, co stało się z księdzem Dąbrowskim. Przypuszczam, że pozostał samotnie przy kościele.

W dniu 25 marca 1943 r. tj. w święto Zwiastowania Najświętszej Marii Panny wraz z mamą poszedłem po żywność do gospodarstwa państwa Sewruków, oddalonego od wsi Pieńki o około dwa kilometry. Sewrukowie jeszcze w Derażnem mówili zawsze mamie, że jak tylko zaistnieje potrzeba, to zawsze chętnie pomogą. Pogoda była ładna, lekki mroziak, świeciło słońce. Było to przed południem, pani Sewrukowa gotowała obiad, mąż i córka byli w domu, a dwaj synowie na podwórku rąbali drewno. Nie dlatego, że była akurat taka potrzeba, ale po to, żeby będąc na podwórku obserwować ze wszystkich stron, czy ktoś nie napada. Zdążyliśmy zaledwie usiąść, przywitać się i zamienić kilka słów, kiedy jeden z synów wpadł do domu i krzyknął: „proszę uciekać, napadają od strony lasu !”. Wybiegliśmy wszyscy i przeskakując przez płot skierowaliśmy się na południe, w kierunku wsi Pieńki.

Na płocie swego gospodarstwa zabity został pan Sewruk. Moja mama i pani Sewrukowa zostały w tyle. Ukraińców nie widać, ale słysząc strzały i świst pocisków. Synowie i córka Sewruków przebiegli przez drogę, obiegli stodołę w gospodarstwie i skierowali się na Pieńki. My zostaliśmy z tyłu. Mama i pani Sewrukowa zrzucając z siebie płaszcze, ja wracam i podnoszę je, po-
naglami kobiety, krzycząc : „prędzej, prędzej !”. Wbiegamy do stodoły i chcemy przez nią przebiec - drugie wrota otwarte, ale w rzeczywistości zamknięte zasiekami z kółków i włożonymi luzem między kółkami snopkami słomy na wysokość około dwóch metrów. Słyszymy biegnących i strzelających bandytów, ich krzyki i głosy. Słyszymy : „hde lachy?” i odpowiedź : „lachy pobiehlі w lis”.

Jesteśmy w przybudówce, na kłęczkach, w plewach. Za snopkami Ukraińcy strzelają do uciekających. Widzę ich sylwetki, niektóre twarze. Wydaje mi się, że serce moje bije głośno jak dzwon, oddech też jest za głośny. Jestem zesztywniały, w pozycji w jakiej się znalazłem, wydaje mi się, że oni usłyszą mój oddech, bicie mego serca i że za chwilę nas odkryją, pomordują. Nie sposób jest opisać to przeżycie, ten strach, lęk w oczekiwaniu na śmierć. Słysząc ich głosy : „wsi pobiehlі w lis”. Przystają wreszcie strzelać i odchodzą. My czekamy. Potem cicho wchodzimy do wnętrza stodoły. Po lewej stronie jest siano, chowamy się w tym sianie. Pani Sewrukowa mówi cichutko, że jesteśmy u ich sąsiada Ukraińca. O zmroku otwierają się wrota, słysząc, że ktoś wchodzi i cichy głos : „pani Sewrukowa, ja znaju szczo pani tu jest, ja stał koło chaty jak wy tu wbiehlі. Wyjdite oni poszli”.

Wyszliśmy z ukrycia. Sąsiad Sewruków, Ukrainiec mówi, że mamy nie wychodzić ze stodoły tak długo, dopóki on nie przyjdzie i tego nie powie. Nie mamy wyjścia, pozostajemy na sianie w stodole. Ukrainiec mówi, że pan Sewruk wisi na płocie zabity i że on jego pochowa w jego gospodarstwie. Była już noc, kiedy przyszedł i kazał nam wyjść. Powiedział : „proszę iść spokojnie, powoli, gdyby ktoś szedł lub jechał, proszę nie uciekać”. Wiadomo, że Ukraińcy nie boją się i nie uciekają, takie zachowanie świadczyć będzie, że jesteście Ukraińcami i nikt was nie zaczepi. Poszliśmy dołem rzeki, a następnie przez pola w kierunku południowym, do wsi Pieńki. Było mgliście i mroźnie. Szliśmy po omacku, cicho, bez rozmowy. Chwilami stajemy i nasłuchujemy. Po północy dochodzimy do wsi, a tam polskie straże nie chcą nas wpuścić. Myślą, że to Ukraińcy. Leżymy w grudzie i w resztkach śniegu, mówimy kim jesteśmy. Powoli podchodzą do nas, rozpoznają. Jesteśmy znów wśród swoich. Okazuje się, że troje dzieci Sewruków przybiegło na wieś i opowiedziało o napadzie. Uznano nas za pomordowanych. Spodziewano się raczej napadu, niż nas żywych.

Z uwagi na liczne już napady bandytów ukraińskich na kolonie i gospodarstwa Polaków, ludność wsi Pieńki postanowiła przenieść się do sąsiedniej wsi Pendyki i tam zorganizować samoobronę. Wieś Pendyki leży

oddzielona od wsi Pieńki nasypem kolejowym, od dawna nieużywanym, za-
rośniętym drzewami i krzewami. Na zachód i północ od Pendyk bliżej było
do lasu.

Na drugi dzień po napadzie mama stwierdziła, że mam przestrelone
czapkę i kurtkę w dwóch miejscach. Sporo ludzi przyszło to oglądać, dzi-
wiąc się jakim cudem uniknąłem śmierci. Po kilku dniach nastąpił napad na
Pendyki z dwóch kierunków : od strony Pieniek i od północnej - lasu.
W Pieńkach nikogo już nie było, bowiem duża część ludności, mając własne
przygotowane konie i wozy, uciekła w kierunku zachodnim do lasu. Część
schowała się w piwnicach domów, dużo ludności zginęło i leżało pomordo-
wanych we wsi. Obie wsie płonęły. Ci, co schowali się w piwnicach zginęli
od uduszenia dymem. My nie mieliśmy czym i dokąd uciekać. Schowaliśmy
się w kurniku, przybudówce do obory. W pewnej chwili słyszymy, że coś
trzeszczy. Okazało się, że to płonie obora, w której jesteście ukryci. Ukraiń-
cy otwierają wrota, wypuszczają bydło, świnię i kury. Raptem otwierają się
drzwiczki kurnika i widzimy Ukraińca ze skierowaną do nas łufą. Mama od-
pycha łufę na bok i mówi po ukraińsku : „ni strilej, my Ukraińcy” - a on od-
powiada : „a czemu wy u Lachów ? pijdete do sotnyka”. Stanął na drodze
i nas pilnuje. W tym czasie inni rabują, podpalają. Płoną ule z pszczołami,
po wiosce chodzą krowy, świnię, kury. Mama ma przy sobie polskie doku-
menty - rozrywa mufkę i wkłada do wewnątrz ; może nie znajdą. W czasie,
gdy my stoimy, widzimy jak zabijają staruszka i dziecko, i wrzucają do pło-
nącego domu. Mama mówi po ukraińsku - ty nas pilnujesz, a tymczasem
twoi koledzy nagrabiają się dobra. Wtedy poprowadził nas w kierunku północ-
nym do lasu, zatrzymał się przy bardziej okazałym domu, każe nam czekać.
Nagle zjawia się staruszek Ukrainiec, mieszkający w tej wsi, podchodzi do
nas, obejmuje mamę i woła po ukraińsku : „kumoczka, a ty czemu wtikła
z chaty ?” To nasi, Ukraińcy - i prowadzi nas. Widząc to, pilnujący nas Ukra-
iniec, pozostawia nas i idzie rabować jak inni.

Staruszek ten żył w biedzie, żonę miał sparalizowaną, chodził po proś-
bie, zawsze kiedykolwiek był w Derążnem, przychodził do naszego mieszka-
nia. Zawsze został nakarmiony, dostawał żywność na drogę oraz coś
z odzieży. Był jedynym Ukraińcem mieszkającym w Pendykach. Gdy prze-
kroczyliśmy próg jego domu powiedział po polsku : „pani mnie zawsze przy-
jęła i nakarmiła i ja panią przyjmę, ale tylko do czasu jak odjadą tamci”. Ka-
zał nam wszystkim wejść na piec i ukryć się. Sam zaś pilnował, wychodził
na zewnątrz i tak nas przechował do następnego dnia. Była również u niego
mała dziewczynka, Polka, której rodzina uciekła furmanką do lasu. Mówił,
że poszuka jej rodziców, a jeżeli nie znajdzie, to wychowa jak własną.

O świcie następnego dnia poszliśmy do wsi Pieńki, znaleźliśmy starego
konia i furmankę, nałożyliśmy do wozu siana, z jakiegoś domu wzięliśmy
chleb i słoninę i pojechaliśmy w kierunku północnym do miejscowości

Stepań, gdzie mieszkała rodzina naszej mamy. Jechaliśmy lasami, widzieliśmy spalone gospodarstwa, błąkające się po polach bydło. Nasyp kolejowy ciągnął się bardzo długo, czasami musieliśmy zjeżdżać do lasu lub na pola, gdyż w niektórych miejscach był nieprzejezdny. Po ujechaniu kilku kilometrów odpoczywaliśmy i nasłuchiwaliśmy, czy można jechać dalej. Cały czas rozmawialiśmy po ukraińsku, a zwłaszcza z siostrą, którą mama nazywała Marusia, aby dziecko zorientowało się, że tak trzeba. Ponieważ nie potrafiłem posługiwać się lejcam i kierować koniem, denerwowałem się mówiąc po polsku, mama zaś wciąż przypominała mi: „Wołodzia, ne zabuwajsia”. Wreszcie skończył się nasyp kolejowy i wyjechaliśmy na drogę, prowadzącą z Derażnego do Stepania. Pierwsza wieś, przez którą przejeżdżaliśmy nazywała się Stydyń Mały. Była to wieś ukraińska. Zabudowa wzdłuż drogi, budynki drewniane, kryte słomą. Było południe. Jedziemy, mijamy pierwsze zabudowania, gdy nagle wyskakują i biegną do nas Ukraińcy z siekierami. Zatrzymują nas i pytają: „wy kuda? wy chto?” - mama odpowiada: „my Ukraińcy, jidem do Stydyna do rodziny” i wymienia nazwisko znajomych nam i bogatych Ukraińców. Ciągną konia za uzdę na podwórze, kaza nam zsiadać z wozu i prowadzą na poczęstunek. W domu zmrok, mdło, czuć alkoholem, przy podłużnym stole siedzą Ukraińcy, z jednaj misy jedzą kielbasę i jajecznicę. Nas częstują, podają czaj. Dziękujemy mówiąc, że nie jesteśmy głodni, kiedy nagle Wandzia odzywa się do mamy po ukraińsku: „mama, ja choczu jisty”. To wywołuje zdumienie: „Ty odietą jak Laszka - odzywa się któryś - my dumali szto tebe zariżem, a ty Ukrainka!” Kaza jeść bo „detyna chocz”. Jedzenie rośnie nam w ustach. Słowami wypowiedzianymi po ukraińsku Wandzia ratuje nam życie. Tamci opowiadają o swoich bandyckich sukcesach, mówią dokąd dziś wyruszają. Spieszmy się, wychodzimy. Proszą, aby pozdrowić tę „naszą” rodzinę. O zmroku dojeżdżamy do wsi Stydyń Wielki. Jest to duża wieś ukraińska, dość bogato zabudowana. Kierujemy się do środka wsi, tam mieszka nasza znajoma ukraińska rodzina, ale nie wiemy jak nas przyjmą.

Otwieram bramę i wprowadzam konia z wozem na podwórze. Przez okno przygląda nam się gospodyni domu, wychodzi nas powitać i na cały głos krzyczy: „siestra radnaja!” - wita po ukraińsku. Konia wprowadzamy do stajni, wchodzimy do ciepłego pomieszczenia. Ukrainka wita nas cicho po polsku, pyta o ojca, mówi, że nas nakarmi i przenocują, ale przed wschodem słońca musimy ze wsi wyjechać, grozi im bowiem kara śmierci za przechowywanie „Lachiw”. Budzą nas, gdy jeszcze jest ciemno. Koń jest już zaprzęgnięty, dziękujemy, wyjeżdżamy, za nami natychmiast zamyka się brama. Wieś jeszcze śpi, słychać pianie kogutów, szczekanie i wycie psów.

Nie zatrzymywani przez nikogo, dojeżdżamy po południu do miasteczka Stepań. Z Derażnego do Stepania jest 50 km, my jechaliśmy bocznymi

drogami około 70. Zajeżdżamy do ciotki Ani - siostry naszej mamy, nazwiskiem Włoszczyńska. Jej mąż jest Ukraińcem. Wszyscy wiedzą już, że małe osiedla i kolonie polskie są napadane i Polaków mordują. Dowiadujemy się, że babcia nasza Maria i wujek Marian z rodziną wyjechali na kolonię Borek do brata mamy, wujka Teofila, a wujek Tadeusz Kalus z rodziną do wsi Mielnica. Mama nasza pochodzi z rodziny Kalusów; duża to jest rodzina - babcia miała dwanaścioro dzieci. Ciotka Ania zostaje w Stepaniu, my po kilku dniach wyjeżdżamy do kolonii Borek, do wujka Teofila. Po przybyciu na miejsce, rozpacz: dowiadujemy się, że zimą w dawnym majątku Charnów w Butejkach zostali zamordowani przez obcięcie głów siekierami nasz cioteczny brat Edek Kalus syn wujka Teofila z narzeczoną Genią Jucewiczową, administrator majątku p. Sokołowski z żoną oraz ich córka, a żona leśniczego, będąca w ciąży i jej półtoraroczny synek. Wiadomość o mordzie przyniosły dwie młode kobiety, z których jedna była Ukrainką, a druga Polką. Obie siedziały schowane w kuchni na piecu i słyszały jak Edek pytał po imieniu znajomych Ukraińców, za co ich mordują. Osoby, które widziały już pomordowanych, to moja siostra cioteczna Kazimiera Maszkowska i jej brat Stanisław oraz Edek Libner. Nieduża gospodarka wuja Teofila usytuowana jest na skraju lasu, w każdej chwili grozi napad. Ponadto zgromadzenie tak dużej ilości ludzi, a w szczególności dzieci, stwarza dodatkowe niebezpieczeństwo. Wyjeżdżamy więc do dużej wsi Huta Stepańska. Jest to duża wieś polska. We wsi są kościół, murowana piętrowa szkoła oraz remiza strażacka. Od strony południowej, za bagnistymi terenami, znajdowało się uzdrowisko Słone Błota.

Jest miesiąc kwiecień 1943 r. Wiosna budzi się do życia, w powietrzu unosi się zapach dymu od pożarów, a zewsząd czyha śmierć z rąk dawnych sąsiadów, a dziś bandytów. W Hucie Stepańskiej zakwaterowani zostaliśmy u państwa Zielińskich. Pan Zieliński był fryzjerem. Było tu bardzo dużo ludności, przeważnie uciekinierów z pobliskich wsi i kolonii polskich. Wszyscy po przybyciu byli rejestrowani i kierowani na zakwaterowanie. Dowództwo samoobrony składało się z kilkunastu osób, spośród których pamiętam Libnerów, Blachowskiego, Szablewskiego, Drozdowskiego, Piotrowskiego, księdza Drzepeckiego, księdza Śpiwaka, Władysława Kurkowskiego, Sawickiego i „Wujka”. Organizacja samoobrony prowadziła szkolenie dla dorosłych i młodzieży. Budowano schrony i okopy oraz rozpoczęto stawianie bunkrów i barykad na wsi. Przygotowywano broń.

Na przełomie kwietnia i maja 1943 roku przybyli do Huty Stepańskiej dwaj młodzi chłopcy, Maszkowscy i powiadomili, że w miejscowości Butejki zebrało się bardzo dużo Ukraińców, którzy szykują napad na Hutę Stepańską. Polacy postanowili uprzedzić ten napad zaatakowaniem Ukraińców w Butejkach. W tym czasie we wsi przebywało czasowo kilku partyzantów radzieckich, którzy zgłosili chęć pomocy w ataku na Butejki. W kierunku tej

wsie wyjechały dwie furmanki z uzbrojonymi Polakami i partyzantami radzieckimi. Udział w tym wzięli Edek i Janek Libnerowie. Ukraińcy nie przeczuwając niczego, bawili się w tym czasie w szkole i pałacu Chamców. Polacy zaskoczyli ich i dzięki zaskoczeniu rozbili zgrupowanie bandytów. W czasie bitwy zginęło około 160 Ukraińców i około 20 Polaków. Na zabawie dla Ukraińców usługiwała Polka przebrana za Ukrainkę, a druga Polka złapana przez Ukraińców, Genia Libnerówna zamknięta została w piwnicy i miała być zamordowana. Obie polskie dziewczyny w czasie bitwy uciekły do Huty Stepańskiej.

Do Huty przywieziono broń, zabitych w czasie walki Libnerów, jednego partyzanta radzieckiego oraz wielu rannych. Bitwa w Butejkach oddaliła na pewien okres groźbę napadu na Hutę Stepańską oraz pozwoliła na lepsze przygotowanie wsi do obrony. Po kilku dniach partyzanci opuścili Hutę Stepańską. Polacy zostali sami. Po pewnym czasie Hutę Stepańską okrążyli Niemcy, ustawiono w kierunku wsi działa, a do wioski przyjechało kilku Niemców, żądając wydania broni, amunicji i partyzantów. Od nich dowiedzieliśmy się, że w Butejkach zginęło 160 Ukraińców. Partyzantów już nie było, a pokazana broń w postaci bagnetów nabitych na drewniane „karabiny” i kitku obrzynków uspokoiła Niemców. Ugoszczeni bimbrem opuścili Hutę.

Tymczasem wciąż przygotowywano się do obrony. Kopano okopy, stawiano bunkry i podziemne schrony, zwożono z pobliskiego lasu olbrzymie ilości drewna, przygotowywano broń. Szkoleniem młodzieży zajmowały się trzy osoby. Komendantem był pan Szablewski. Po przeszkoleniu młodzieży odbywała się uroczysta Msza Święta i po niej przysięga. Przez okres miesięcy maja, czerwca i lipca zbudowano podziemne przejścia i schrony, bunkry i okopy. W pobliżu szkoły wykopano olbrzymi dół, ściany obudowano drewnem, strop wykonano z bali sosnowych i przykryto ziemią. Szkoła była murowana, budynek piętrowy, zamieniono ją w schron i ośrodek sanitarny. Okna wypełniono poduszkami, kółkami i pierzynami. Po wsi w dzień i w nocy krążyły patrole.

Wokół Huty oraz na jej obrzeżach zdarzały się pojedyncze napady na rodziny i gospodarstwa polskie. W takich napadach zginęli Piotrowski z synem - reszta jego rodziny oraz Tadeusz Libner zdolali uciec. W rejonie Huty Stepańskiej leżały wsie i kolonie polskie takie jak Omelanka, Nowa Kamionka, Borek, Werbcze, Rudnia, Mielnica Duża i Mała, Siedlisko, Wyrka, Perespa, Hały. Z miejscowości tych wyjechały do Huty Stepańskiej całe rodziny lub niedobitki pomordowanych przez Ukraińców Polaków.

Rozpoczęły się żniwa, był lipiec 1943 r. Wywiad polski donosił, że czynione są przygotowania do napadu na Hutę Stepańską. Wokół wsi gromadziło się coraz więcej Ukraińców. Napad nastąpił w dniu 15 lub z 15 na 16 lipca 1943 r., najpierw na kolonię Borek, oddaloną od Huty około 2 km

i bezpośrednio potem na Hutę Stepańską. Część ludności zdołała uciec, część zginęła. Płonęły wokół Huty gospodarstwa i zabudowania Polaków. Ukraińcy dotarli do Huty i zaczęli pierwsze okopy obrzucać granatami, lecz atak został odparty.

W szkole i schronach zgromadzono wszystkie dzieci z matkami, chorych i starców. Reszta ludności brała udział w obronie. W wyznaczonych rejonach stały przygotowane zaprzężone w konie furmanki do ewentualnej ewakuacji. Z rejonu uzdrowiska Słone Błota strzelano do Huty z granatników. Upadające pociski wznicały pożary, zabijały ludność, rozbijały furmanki i konie. Mama moja z bratem i siostrą była w szkole, ja z drewnianym „karabinem” i nasadzonym na nim bagnetem byłem w bunkrze. Słychać było straszliwe krzyki ludzi, pomieszane z wybuchami granatów i kanonadą strzałów. Pierwsze wrażenie było straszne. Napór Ukraińców od stron północnej i wschodniej był tak silny, że rozkazano nam kilkakrotnie w ciągu tego napadu wybiegać z bunkra i krzycząc „hurra!” biec do walki na bagnety. To zatrzymywało Ukraińców. Na polu przed naszymi bunkrami leżała duża ilość zabitych bandytów i Polaków. Ukraińcy napadali z kosami, widłami i siekierami. Rozpoczęty napad trwał z przerwami do 19 lipca 1943 r. Wpadając do wsi Ukraińcy mordowali bagnetami pojedyncze osoby. Tak zginęła jedna z córek państwa Czernskich, a druga, Hela, przebita bagnetem zemdlą, po czym ocknęła się i dowlokła do punktu opatrunkowego w szkole. Leżała potem w szpitalu w Sarnach. Przeżyła.

Do szkoły znoszono coraz więcej rannych, nie pamiętam, kto był lekarzem i czy w ogóle był ktoś taki, pomoc jednak była udzielana. Ksiądz Drzepecki i przywódcy samoobrony byli dosłownie wszędzie, dodawali otuchy i zachęcali do obrony. Spaliśmy w chwilach przerwy, stojąc lub przykucnięci w bunkrach. Część ludności rozpoczęła chaotyczną ewakuację z Huty Stepańskiej. Ludność ta po wyjeździe ze wsi została zaatakowana i wymordowana, część wróciła do wsi. Ze względu na to, że amunicja była na wyczerpaniu, postanowiono w dniu 19 lipca ewakuować Hutę Stepańską.

W godzinach przedpołudniowych, korzystając z przerwy w napadach, zebrano ludność na placu przed szkołą. Ksiądz Drzepecki i dwóch młodych księży odprawili Mszę Świętą, rozdali wszystkie posiadane komunikanty wiernym oraz udzielili wszystkim w obliczu bezpośredniego zagrożenia życia zupełnego odpustu i błogosławieństwa Bożego. Powiadomiono też, że w dniu dzisiejszym nastąpi ewakuacja ludności. Powstała chwilowa panika, która została opanowana. Na furmankach mogły znajdować się tylko i wyłącznie małe dzieci oraz chorzy, ranni i starzy. Reszta ludności musiała iść na piechotę. O godz. 15-ej, tj. o godzinie miłosierdzia Bożego ruszyły pierwsze furmanki. Po obu stronach prowadzono konie i krowy oraz szli obrońcy Huty Stepańskiej jako obstawa i ochrona. Maszerowałem z „karabinem” z drewna z osadzonym na nim bagnetem. Kilka osób z dowództwa, w tym

pan Szablewski było rannych. Kolumna ciągnęła się na kilka kilometrów. Szło i jechało wozami około 15 tysięcy ludzi, konie i bydło. Wszyscy modliliśmy się o szczęśliwe wydostanie się z tego piekła. Po opuszczeniu Huty spotkała nas olbrzymia burza, deszcz lał strumieniami, niebo błyskało piorunami, Bóg wysłuchał naszych modlitw. Mówili ludzie - jest to cud. Bóg zacierą ślady wozów i pieszych, umęczonych wygnańców z własnego domu i własnej ziemi.

Nie wiedzieliśmy w jakim kierunku jedziemy, wiedzieli o tym jedynie dowódcy samoobrony. Po odjechaniu kilku kilometrów zobaczyliśmy straszliwe żniwo walki - ciała zabitych bandytów ukraińskich i pomordowanych w bestialski sposób Polaków z pierwszego transportu jaki wyszedł w nocy z 18 na 19 lipca; powywracane wozy, zabite konie i krowy. Wycinano z nich kawały mięsa i składano na furmanki. W pewnym momencie podniósł się krzyk: znaleziono żywe małe dziecko z pierwszego transportu nocnego oraz znalazła się jego matka, która szła teraz ze wszystkimi, a uciekła nocą z rozbitego pierwszego transportu.

Jechaliśmy bardzo powoli, ciągle zatrzymywaliśmy się. Prowadzono nas bezdrożami i lasami, nie wolno było palić ognisk, głośno rozmawiać. Nocowaliśmy koło kolonii Hały i widzieliśmy z oddali płonące zabudowania, słyszeliśmy krzyk i rozpacz mordowanych, lecz nie mogliśmy pomóc. Nie mogliśmy zdradzić naszej obecności, naszego miejsca pobytu. Zasoby amunicji starczały jedynie na nikłą obronę własną. Ściśały nam się serca, dopiekał straszliwy ból z bezsilności, że oto widzimy i słyszymy, a nie możemy pomóc. O świcie kolumna ruszyła do przodu, nadal jechaliśmy bardzo powoli. Zwiad obserwował teren; nie mogliśmy jechać bez przerwy lasami, musieliśmy omijać mokradła i gęsto zarośnięte miejsca. Tak dojechaliśmy do kolonii Józefiówka. Wszyscy już wiedzieliśmy, że jedziemy do stacji kolejowej Rafałówka i usytuowanej tam kolonii polskiej.

Koło tej kolonii nocowaliśmy. Cały czas chodziły patrole i warta, pilnując całego transportu. Była to olbrzymia ilość ludzi, skupiona pod sklepieniem niebios, zdana na własne siły, własną obronę i opatrność Boską. Następnego dnia dojechaliśmy do kolonii i stacji kolejowej Rafałówka. Niemcy dopuszczają do stacji etapami. Podstawiają wagony towarowe, ładują całe rodziny i wywożą do Sarn i Równego, skąd mają wyjechać do Niemiec na roboty. Trwa to kilka dni.

Jak się później dowiedzieliśmy w Hucie Stepańskiej pozostali pan Stefan Słojewski z synem, przechowywani przez znajomych Ukraińców. Opowiadał on, że po naszym wyjeździe nastąpił największy z napadów na Hutę Stepańską, w której nikogo już nie było. Przerwa w napadach, dnia 19 lipca, nastąpiła na skutek konieczności przygotowania bandytów ukraińskich do zadania ostatecznego ciosu. Polacy wykorzystali tę przerwę na ewakuację

całej ludności. Ślady zatarte olbrzymią burzą nie pozwoliły odnaleźć naszego transportu. Pan Stefan Słojewski dopiero po wojnie odnalazł córkę.

Część Polaków pozostała w Rafałówce z zamiarem wyjazdu do swoich bliskich lub znajomych w miastach : Sarny, Kostopol lub Równe. Wyjeżdżający do Niemiec pozostawiali konie, furmanki i bydło. Część młodzieży udala się z bronią do lasu. Tak na tych terenach rodziły się i powstawały oddziały Armii Krajowej, częstokroć złożone z ludzi umęczonych i rodzin tych, których pomordowano.

Ciocia Ania Włoszczyńska, żona Ukraińca - który za to, że nie wydał i nie zamordował żony, powieszony został do góry nogami i tak skonał - uciekła do Huty Stepańskiej, a następnie z Rafałówki wywieziona została do Niemiec na roboty.

Po kilku dniach nastąpił nocą napad na Rafałówkę. Mordowano ludzi w poszczególnych domach, kolonia płonęła, Polacy zgrupowani bliżej stacji kolejowej stawiali większy i skuteczniejszy opór, dzięki czemu większa część ludności przeżyła. Z rana po napadzie wyjechaliśmy pociągiem towarowym do Sarn, do siostry mamy Stefani Sobolewskiej. Nie mogliśmy długo przebywać w Sarnach. Niemcy wyłapywali uciekinierów i wywozili do Niemiec na roboty. Wyjechaliśmy na krótko do Kostopola, a stamtąd do Równego. Tu zajęła się nami polska podziemna organizacja. Otrzymaliśmy mieszkanie przy ulicy Handlowej na przeciwko kościoła. Mieszkanie było na parterze. Składało się z jednego małego pokoiku, w którym stała kuchenka, piecyk okrągły, żelazny na nóżkach tzw. „koza”. Nad nami również mieszkali Polacy.

Zaczynamy głodować, jest bardzo ciężko, po ulicach bez przerwy dzień i noc chodzą patrole niemieckie. Mama i ja szukamy wciąż kontaktu z organizacją polską, bo wierzymy, że taka na pewno istnieje. Pewnego dnia przyszedł do nas wieczorem starszy mężczyzna, ubrany był w skórzany płaszcz. Rozmawiał po polsku, pytał skąd przyjechaliśmy, wypytywał o Huty Stepańską, gdzie mamy rodzinę, sprawdzał dokumenty. Po kilku dniach otrzymałem skierowanie i pracę w magazynach sklepu „DEHAG” przy ulicy 3 Maja. Zarabiałem miesięcznie 30 marek, otrzymałem kartki żywnościowe. W sklepie tym nic nie mogliśmy kupić, sklep był „nur für Deutsche”, ale w magazynie pracowali sami Polacy. Z czasem nabraliśmy do siebie zaufania i postanowiliśmy sobie pomagać. Nosząc worki z solą, pudełka z karbidem, kamienie do zapalniczek, zapalki, papierosy i bibułkę rzucaliśmy to celowo tak, aby rozerwało się, zmokło lub zabrudziło i wtedy robił się rwetes. Ze sklepu wychodził Niemiec, wysoki, chudy, ryżawy krzychał gonił nas pejcem i kazał sprzątać. O to nam właśnie chodziło. Dzieliiliśmy potem pomiędzy sobą rozsypaną sól, zapalki, karbid, papierosy i bibułkę. Karbid używany był do lamp, sól była na wagę złota - kilogram można było wymienić na kilogram

tluszczu lub mięsa, zapalki, papierosy i bibułka były również cennym towarem.

Ten mężczyzna, o którym wspomniałem, był przedstawicielem organizacji polskiej. Pracę otrzymałem dlatego, aby nie zabrano mnie do Niemiec na roboty. Po pewnym czasie ten mężczyzna odwiedził nas ponownie, pytając jak się nam żyje, czego nam brakuje. Nie mieliśmy odzieży, nadchodziła zima, brak odzieży, opału, spaliśmy dotychczas na podłodze. Wkrótce otrzymaliśmy dwa stare łóżka drewniane, stół, krzesła. Po brykiety opałowe chodziłem do jednego z domów niedaleko dworca kolejowego. Zanosilem tam sól, karbid, zapalki. W jakiś czas potem otrzymaliśmy szare koce, z których mama szyła nam odzież, spodnie, bluzy, kurtki. Były ciepłe i po prostu wspaniałe.

Któregoś dnia, późnym popołudniem niosłem jak zwykle brykiety, kiedy poczułem, że ktoś za mną idzie. Zapadał już zmrok, zacząłem iść coraz szybciej, ale ten ktoś był szybszy. Dopędził mnie i chwycił za ramię. Zrobiło mi się słabo - czego się boisz? - usłyszałem. Przede mną stał ten sam mężczyzna, który załatwił mi pracę i który pomógł w skromnym urządzeniu naszego mieszkania. Składałeś przysięgę w Hucie Stepańskiej? - spytał. Odpowiedziałem twierdzącą. Będiesz nadal żołnierzem, co i jak dowiesz się w domu, do którego chodzisz po brykiety. Po kilku dniach poszedłem po ten sam co zwykle opał. Gospoś wyšla do szopki, wyspała do torby brykiety, zaszyła ją i powiedziała - będziesz teraz w oznaczone dni jeździł pociągiem z taką torbą i wysiadał tam, gdzie pociąg krótko zagwizdże i zatrzyma się. Z powrotem też z tego miejsca będziesz wracał pociągiem.

Nie zdawałem sobie sprawy z tego, co wożę. Torba była zawsze zaszyta i ciężka. Skontaktowany zostałem z maszynistą kolejowym, który jeździł pociągiem towarowym. Umawiałem się z nim, przychodziłem na boczne tory, siadałem z przodu na wagonach, na których był piasek. Przed parowozem zawsze były 2 lub 3 wagony, platformy naładowane piaskiem, jako zabezpieczenie parowozu przed minami. Pociągi jeździły powoli. Mój pociąg zatrzymywał się zawsze w innym miejscu. Gdy ruszał dalej podchodziło do mnie dwóch, czasem trzech mężczyzn. Zawsze bardzo miło mnie witali. Jeden zabierał torbę i szedł do lasu. Odprowadzali mnie potem do torów i czekali, dopóki nie odjadę z powrotem. Jeździłem tak do końca grudnia 1943 r., prawie cztery miesiące. Ostatni raz było to już po Bożym Narodzeniu. Trasa, którą przebywałem najpierw ograniczała się do przystanków pomiędzy Równem, a Kostopolem, potem kilkakrotnie dojeżdżałem aż pod Sarny. Zsiadałem w Kostopolu z wagonu i stawałem się pomocnikiem maszynisty. Torba zawsze była ukryta w piasku na platformie. Bardzo się zawsze bałem, żeby nie wylecieć w powietrze. Na tej właśnie trasie, bardzo często były wysadzane tory i wykolejane transporty niemieckie. Przed Nowym Rokiem 1944 wyjechałem po raz ostatni. Dziękowano mi za odwagę, choć nie bardzo

zdawałem sobie sprawę ze swojej roli. Któregoś dnia jednak pożegnałem się z tymi, którym owe „brykiety” dowoziłem. Powiedzieli mi, że przesuwają się w głąb Polski i już ich nie będzie.

Do Równego wojska radzieckie wkroczyły na przełomie 1943-1944 r. Ja nadal nosiłem do domu brykiety, ale któregoś dnia kobieta, która zawsze pakowała mi je do torby, powiedziała z uśmiechem : „Chyba się domyślasz, co woziłeś do lasu ? Każde wysadzenie torów było też i twoją zasługą, to był twój udział w walce z okupantem i bandami UPA”.

Latem 1944 roku dowiedzieliśmy się, że będziemy musieli opuścić te tereny, ponieważ nie są... polskie...

LICZYĆ TYLKO NA SIEBIE

W 1939 r. mieszkałem w kolonii Borówka, gm. Derażne, pow. Kostopol. W 1940 r. w kolonii Borówka Sowieci wybudowali łagier dla 600 polskich żołnierzy. NKWD prowadziło ich do wyrębu lasu. Zgłosiłem się do tego łagru, bo potrzebowali kogoś, kto by dowoził prowiant. Po prowiant jeździłem z enkawudzistą do Równego. W jeden dzień po prowiant, w drugi dzień po chleb do Kłewania, tak na zmianę, co dzień w drodze. 22 czerwca 1941 wybuchła wojna. 23 czerwca Sowieci chcą nas ewakuować, więc ja i siedmiu żołnierzy polskich uciekamy. Gdy niemieckie samoloty nas ostrzelały, to wróciliśmy do Borówki, gdzie Sowietów już nie było. Żołnierze zostali przyjęci przez polskich gospodarzy. W późniejszym terminie żołnierze ci rozeszli się, każdy w swoją stronę, do domów. W październiku 1941 roku, spośród tych żołnierzy, wracają do Borówki Stanisław Pawłowski (Warszawa - Praga) i Stefan Pietrykiewicz z Łunińca. Na pytanie jakie mają plany - odpowiedzieli - „będziemy pracować w Janowej Dolinie”. Pawłowski pracował w warsztacie kowalsko-ślusarskim, Pietrykiewicz w biurze. Dzień Bożego Narodzenia obaj spędzili u gospodarzy. Przy tej okazji spotkali się ze mną. Pawłowski zaproponował mi, żebym poszedł z nimi, obiecując, że załatwi mi pracę w warsztacie i że przy okazji nauczę się zawodu. Zgodziłem się. Po pewnym czasie Pawłowski zapytał mnie czy jestem zadowolony z pracy i nauki. Powiedziałem, że tak, tylko szkoda, że to nie jest Polska, lecz Niemcy i Ukraińcy, więc w takim razie dla nich pracujemy. Pawłowski położył rękę na moim ramieniu : „fajny jesteś chłopak” - powiedział. Któregoś dnia Pawłowski zaprosił mnie do siebie na kwaterę. Poszedłem do niego i tam zastałem Pietrykiewicza. W trakcie rozmowy Pawłowski zapytał mnie: „wiesz dlaczego cię zaprosiłem?”. Nie wiem - odpowiedziałem. „To ci powiem. Myślę, że jesteś fajny i dyskretny, ale nie wiem, czy rzeczywiście taki jesteś i chcę cię wypróbować. Postaram się dla ciebie o wolny dzień i pojedziesz rowerem do Derażnego do księdza.” - Ale ja nie mam roweru - odparłem. „Będzie rower” - powiedział z przekonaniem i dał mi list. „Tylko dobrze schowaj - uprzedził - to będzie próba twojej lojalności.” Nie wiedziałem

o co chodzi. Zadanie wykonałem. Od księdza przywiozłem też list i oddałem Pawłowskiemu. Na drugi dzień zaprosił mnie do siebie i zapytał czy lubię alkohol. Odpowiedziałem, że nie przepadam. A czy zechciałbym pracować dla Polski ? Ucieszyłem się, że wreszcie będzie Polska. „No, nie tak prędko” - ostudził mnie i spytał, czy jestem gotów złożyć przysięgę ? Odpowiedziałem, że tak. Powiedział, że o terminie mnie powiadomi.

W pierwszą niedzielę czerwca 1942 r. wraz z Pawłowskim pojechaliśmy do Kostopola. Ulicy i domu nie pamiętam. Tam złożyłem przysięgę w obecności, jak się okazało, kapitana „Bomby” - Kochańskiego i trzech mężczyzn, których nazwisk nie pamiętam. Wróciliśmy do Janowej Doliny i po przysiędze zaczęło się szkolenie. Prowadził je przedwojenny policjant Franciszek Kwiczor, który w Berestowcu przed wojną był zastępcą komendanta. Ukrywał się on przed Sowietami, aż do nadejścia Niemców. Po przyjeździe Niemców, ujawnił się. Dobrze znał język niemiecki, bo pochodził z Kaszub. Pracował w nadleśnictwie i u niego też odbywało się szkolenie dywersyjne.

Po przeszkoleniu Pawłowski wydawał mi różne rozkazy. Na dworcu kolejowym np. do miseczki smarującej wsypywałem żwir i w ten sposób w czasie jazdy zacierały się osie wagonu. Była to dobra robota, ale niebezpieczna. Udało się to kilka razy. Niemcy wzmocnili czujność i któregoś dnia omal mnie nie przyłapano. Szczęśliwie zdołałem uciec.

Ktoregoś dnia Pawłowski zlecił mi inne zadanie. „Będziesz kolportował prasę podziemną” - powiedział. Miałem do obsługi cztery miejsca : Borówka, Derażne, Pendency i Michałówka. Jeździłem raz w tygodniu.

Nadchodziła jesień 1942 r. Ukraińska policja aresztowała księdza Kowalskiego w Derażnem i nauczyciela Dykę w Michałówce. Parafianie zrobili listę z podpisami, z petycją, żeby księdza i nauczyciela wypuścić i udali się do Kreisländwirta. Mieszkał on w pałacu Potockiego w Derażnem. Niemiec obiecał, że ich wypuści, ale jak się okazało, Ukraińcy natychmiast odwieźli obu aresztowanych do Kostopola i tam ich rozstrzelali.

W sierpniu 1942 r. Niemcy i nacjonaliści ukraińscy wyjechali na oblęgę w poszukiwaniu zbiegłych z łagru kilku jeńców sowieckich. Korzystając z tego, że w ten sposób posterunek został osłabiony, nasz oddział dokonał napadu. Zdobyto wówczas 17 karabinów, 5 pistoletów i wiele amunicji, i granatów, co pozwoliło na uzbrojenie oddziału.

Nadszedł rok 1943. Coraz więcej było na wioskach wypadków. Polacy zaczęli szukać schronienia w miastach i większych ośrodkach polskich. Znany mi był Stanisław Dąbrowski. Mieszkał we wsi Czudwy nad Horyniem, gm. Derażne. W tejże wsi były zaledwie dwie polskie rodziny. Pewnego dnia Dąbrowski poszedł do młyna, też do Polaka Franciszka Brocika. (Cała rodzina Brocika została później wymordowana przez bulbowców.) Dąbrowski przyniósł mąkę i jego żona już miała miesiąc chleba, gdy do mieszkania wtargnęła grupa bulbowców. Wyrwali Dąbrowskiemu dziecko z rąk, rzucili

o ścianę. Dąbrowska zaczęła płakać. Ukraińiec ją uderzył. Potem wyprowadzono Dąbrowskiego na podwórko, skrupowano mu ręce drutem. Dąbrowska zobaczyła, że dziecko nie żyje i że męża mordują. Rzuciła się do ucieczki przez okno. Koło domu, niedaleko, było bagno, trzęsawisko. Zaczęli do niej strzelać i wtedy upadła. Bulbowcy myśleli, że ją trafili. Pół dnia przeleżała w tym mokradle. Gdy zapadł zmrok przysłała do swoich rodziców, do kolonii Borówka.

W tym czasie z Borówki wyjeżdżał Antoni Romaniuk z całą rodziną. Zamordowano ich, gdy minęli kolonię i dojeżdżali do lasu. Miałem akurat jechać do Janowej Doliny i Polacy z Borówki przekonywali mnie, że nie powinienem jechać, bo mogę zginąć. Mimo to zdecydowałem się jechać. W połowie drogi, w ukraińskiej wiosce Korczynie, zepchnięto mnie z roweru i zabrano go. „Szto ty za odyn?“, - dopytywali się. - Swij - odparłem. „To wtkaj piskom“.

Poszedłem do Janowej Dolny i opowiedziałem wszystko Pawłowskiemu. Wkrótce postanowiono wysłać do Borówki kilkunastoosobową grupę pod dowództwem Pawłowskiego. Znalazłem się również w tej grupie. Doszliśmy szczęśliwie, lasami omijając wioski. Całą pierwszą noc czuwaliliśmy nad całą kolonią. Zauważyliśmy, że bulbowcy coś szykują. Radziliśmy właśnie gospodarzom, żeby jednak stąd uciekali, gdy zjawiał się jakiś Ukraińiec. Nie zauważył nas, bo byliśmy w innym pokoju. Ukraińiec ten przypadł do gospodarza: „panoczku - niemal błagał - wtkajcie i ja z wami budu wtkaty, wsich Polaków wymordujut“. Ukraińiec ten, Siergiej Kopernik, którego dwaj bracia byli bulbowcami, miał Polkę narzeczoną i dlatego ujawnił nawet, gdzie szykuje się zasadzka. Zebrało się 27 furmanek. Zrobiliśmy naradę z gospodarzami i postanowiliśmy, że pojedziemy dalszą drogą, traktem, bo na krótszych drogach może być bardziej niebezpiecznie. Jak się później okazało rzeczywiście były obstawione przez bulbowców. Polacy, którzy nie chcieli z nami jechać i zostali w Borówce i Józefinie, zostali wymordowani.

Wracaliśmy lasami do Janowej Doliny, zamierzając przejść przez Pendyki koło Derażnego. Po drodze spotkaliśmy uciekinierów z Pendyk, którzy poinformowali nas, że kolonia tej nocy, została wymordowana i spalona. Zostali przy życiu tylko ci, którym udało się zbiec. Ostrożnie podeszliśmy pod Pendyki. Zobaczyliśmy pełno trupów. Widzieliśmy nawet jak banderowcy rabowali, nie mogliśmy jednak nawiązać z nimi walki, bo było nas tylko pięciu. Nocą doszliśmy do Janowej Doliny. Po tych paru dniach naszej nieobecności przybyło do Janowej Doliny bardzo dużo ludzi z pobliskich okolic. Liczono powszechnie, że w przypadku napaści miejscowy garnizon niemiecki przyjdzie z pomocą. Niestety stało się inaczej. W Wielki Piątek bulbowcy dokonali napadu na Janową Dolinę i tylko nielicznym Polakom udało się wyjść z tej rzezi. Niemcy nie wysunęli nosa poza rejon swego zakwaterowania. Liczyć można było tylko na siebie.

KOSZMARNĄ NOC

Okres okupacji sowieckiej i niemieckiej spędziliśmy w Krzemieńcu na Wołyniu. Dwa miesiące (koniec grudnia 1939 do połowy lutego 1940 r.) byliśmy we Lwowie, we własnym mieszkaniu przy ul. Zyblikiewicza, lecz popękane od mrozów kaloryfery uniemożliwiły tam dalszy pobyt, musieliśmy więc wrócić do rodziny, do Krzemieńca. Trudne, pełne obaw lata 1940-1941, w okresie rządów radzieckich, przeżywaliśmy głodni, sprzedając lub wymieniając na żywność ubrania i sprzęt domowy. Pod koniec lata 1941 r. Niemcy zatrudnili mego męża Leona Czepielowskiego (juniora), z zawodu rolnika, w majątku Matwiejowce. Poprawiła się wówczas nieco nasza sytuacja żywnościowa. Na wiosnę 1942 r. przeniesiono męża do majątku krzemienieckiego Tetylkowce, 11 km od Krzemieńca. Bliskość Krzemieńca pozwalała na częste odwiedziny naszej rodziny, jak i na kilkudniowe przebywanie krewnych u nas, w Tetylkowcach. Ten „niby sielski” stan trwał do marca 1943 r. Dzień 19 III 1943 r. i następne utkwiły mi w pamięci niby na kliszy fotograficznej i dziś mogę dokładnie opisać przeżyć swoich i moich bliskich.

Tego dnia przyjechał do nas z majątku Szkrobotówka zarządca Jan Szulc. Długo chodzili z moim mężem dookoła gazonu rozmawiając. Pan Szulc wsiadł w końcu na bryczkę i odjechał do Krzemieńca. Pytałam potem męża o czym tak debatowali? Mąż wyjaśnił, że pan Szulc opowiedział, że podobno milicja ukraińska 16 lutego opuściła swoje posterunki i z bronią w rękę „poszła do lasu”. Odczuwa się niepokój na wsiach i Szulc namawiał mego męża, żeby zaraz wyjechał do miasta. To była sobota i mąż odpowiedział, że właśnie wysłał konie po rodziców i brata, oraz po Jana Anselma (zatrudniony fikcyjnie w Tetylkowcach mego kolegę, absolwenta L.K.). Goście mają przyjechać na niedzielę, a w poniedziałek wszyscy razem wyjedziemy do Krzemieńca.

Po odjeździe p. Szulca przyjechała rodzina męża, ale nie przyjechał Anselm. Po kolacji usiedliśmy do gry w brydża: ojciec Leon Czepielowski-senior, Jan Kućewicz zarządca majątku Tetylkowce, mój mąż i ja. Moja teściowa Regina Czepielowska, przed wojną kierowniczka internatu dla dziewcząt

przy ul. Pierackiego, po kąpieli położyła się do łóżka w sąsiednim pokoju. Tadeusz, młodszy brat mego męża, absolwent L.K. był w łazience. Moja ciotka Ewa Spława-Neyman przebywała u nas. Męża jej, Radosława, byłego starostę Rówieńskiego i Zdobunowskiego, aresztowały władze sowieckie jeszcze 20 IX 1939 r. i ślad po nim zaginął. Ciotka, zmieniając wciąż miejsce zamieszkania cudem wraz z synem ocalała. Gdy tak siedzieliśmy przy kartach, ciocia przybiegła nagle z alarmującą wiadomością: jacyś ludzie kręcą się pod oknami. Mąż mój i jego ojciec stwierdzili, że dom jest otoczony. Jan Kucewicz chwycił za telefon w sąsiednim pokoju, niestety, telefon był głuchy.

W tym momencie rozległa się seria strzałów w oszklony ganek i kilku mężczyzn wtargnęło do mieszkania. Ja wpadłam do sypialni, gdzie spała nasza trzy i pół letnia córeczka Joanna. Bandyci zebrali wszystkich domowników, z wyjątkiem gosposi i cioci, które były w kuchni i kazali im położyć się na podłodze po czym związali im ręce. Jeden z bandytów wszedł do sypialni i kazał mi wyjść do pokoju, gdzie leżała cała rodzina oraz Jan Kucewicz, wszyscy szarobłodzi. Zabrałam dziecko, zawinęłam je w kołdrę, weszłam i zapytałam jak mogę położyć się z dzieckiem na podłodze? Jeden z napastników kazał mi wrócić do sypialni. W międzyczasie zaczęło się plądrowanie mieszkania. Wiedzieli, że pod materacami mieliśmy ukryte pasy skórzane bardzo przydatne na zelówki. To były pasy od młocarni. Oczywiście zabrali je. Mężowi zdjęli obrączkę, sygnet i zegarek. Mnie zabrali zegarek.

Po niedługim czasie pod ganek podjechały wozy zaprzężone w konie folwarczne. Wozy były załadowane workami, najprawdopodobniej ze zbożem. Bandyci kazali leżącym wstawać, wychodzić i wsiadać na owe wozy. Dziecko zasnęło. Wysłałam z całą rodziną na ganek. Noc była jasna, księżyc w pełni oświetlał cały dom. Nie chcieliśmy wsiadać na wozy, gdyż wiedzieliśmy, że czeka nas śmierć, może w męczarniach. Kucewicz związany z rodziną wsiadł na pierwszy wóz, który odjechał. Myśmy stali i nie ruszaliśmy się z miejsca. Mąż powiedział, że nie wsiadziemy na przygotowane furmanki. Wtedy w naszym kierunku posypały się strzały. Wszyscy upadli na podłogę ganku. Ja poczułam chwilowy ucisk szyi, dotknęłam ręką, poczułam, że szyja jest mokra. Okazało się, że była to krew. Wbiegłam do sypialni, owinęłam szyję flanelowym kocykiem dziecka, zdając sobie sprawę, że będę mocno krwawiła. Słyszałam rżenie konających. Poszłam na ganek. Leon Czepielowski senior i jego żona Regina leżeli bez ruchu. Teścia kula trafiła w czoło, teściową w lewy bok, może w serce? Mąż i brat męża zdawali się być w dobrym stanie. Mąż powiedział, żebym rozwiązała mu ręce. Nie udawało mi się, więc pobiegłam do kuchni przez mały holik, jadalnię i korytarz. Wzięłam nóż, wróciłam na ganek. Gdy usiłowałam rozwiązać mężowi ręce, wynurzył się z cienia za gankiem bandyta w ciemnym ubiorze

przypominającym mundur. Skamieniała wyprostowałam się i usłyszałam jego słowa : „a sukinsyny jeszcze żywut”. Stałam sparaliżowana strachem, on zaś przyłożył mi rewolwer prawie do piersi i nacisnął spust. Rozległ się trzaski iglicy – niewypał ! Oprzytomniałam, jednym susem pokonałam odległość z ganku do przedpokoju, dalej w ciemną jadalnię korytarza, do kuchni, do pokoju gospośi i w okropnym strachu schowałam się pod łóżko. Za mną lub do rannych posypały się strzały. Gdy po chwili zapanowała cisza, wyłazłam z ukrycia i z nożem w ręce wróciłam na ganek. Wtedy zauważyłam, że biała koszula Tadeusza stała się czerwona, z ust płynęła mu krew. Wstał i o własnych siłach przeszedł do holiku. Mąż w grubym swetrze wyglądał zdawałoby się normalnie. Nie mógł jednak wstać, nogi odmawiały mu posłuszeństwa. Wciągnęłam go do holu, posadziłam na podłodze, oparłszy go o ścianę. Tadeusz coś chciał powiedzieć, ale nie mogłam zrozumieć bełkotu. Wyglądało, że ma przestrzelone usta i język. Mąż powiedział, żebym przyniosła kubek wody. Niestety, Tadeusz nie mógł pić, woda zrobiła się czerwona od krwi, był ciężko ranny. Zdawałam sobie sprawę, że muszę jak najszybciej zawieźć rannych do szpitala. Działalam jak w transie. Chyba wszystkie czynności wykonywałam automatycznie, czy też kierowana nie rozumem, lecz instynktem. Nie mogę sobie do dziś wytłumaczyć w jaki sposób dałam sobie radę sama. Wysłałam gospośię Hanię na folwark z prośbą o szybkie założenie koni do powozu. Niestety służba folwarczna skupiona była w jednym pomieszczeniu i miała zakazane przez bandytów opuszczanie tego miejsca. Może zresztą nie chcieli pomóc ?

W jednej części dworu mieszkała Ukrainka Skakalska, która miała jakiś zatarg z dyrektcją Liceum Krzemienieckiego, w związku z czym nie chciała wyprowadzić się. Gospośia poprosiła Skakalską o konie. Mąż tej kobiety był wywieziony na roboty do Niemiec, a do pomocy w gospodarstwie zatrudniała młodego chłopaka Ukraińca. Skakalska kazała chłopcu zaprzęgać konie do wozu wyścielonego słomą i zawieźć rannych do Krzemieńca. Chłopak konie zaprzągnął, ale jechać do miasta nie chciał, tłumacząc, że boi się bandytów. Trzeba było jechać samej. Z pomocą gospośi załadowaliśmy rannych na wóz, wymościwszy go dodatkowo kocami i poduszkami. Ruszyliśmy sprzed domu, ciągle oświetlonego poświatą księżyca, tak jasną, że nie potrzebna była żadnej latarni. Po stopniach ganku spływała krew, a pies wilczur obwąchiwał zabitych. Córeczkę poleciłam opiece cioci, która została sama.

Ruszyliśmy. Początkowo gospośia Hania powoziła, ale szybko stwierdziła, że nie potrafi dać sobie rady z końmi. Zamieniliśmy się miejscami. Hania pilnowała rannego Tadeusza, ja powoziłam, a mąż siedział oparty o moje plecy. Wyjechalśmy na szosę i jechaliśmy tak szybko, jak tylko można było. Na drodze wciąż było jasno. W mieście po drodze wstąpiłam na posterunek policji, aby powiadomić, że banda skierowała się do Katerburga, skąd dochodziły już strzały. Jadąc dalej, wpadłam do znajomej lekarki, doktor

Witkowskiej, prosząc ją o zatelefonowanie do szpitala, że wiezę rannych. Gdy dojechaliśmy pod szpital, była już północ. Nie wiem, skąd miałam tyle energii, chyba groza sytuacji dodawała mi sił. Pielęgniarki, czy też ktoś inny, zdjęli Tadeusza z wozu, wnieśli go na chwilę do szpitala, ale chyba właśnie w tej chwili zmarł, bo od razu wynieśli go do kostnicy. Męża mego wzięli na badanie do szpitala, ja usiadłam w poczekalni-korytarzu i tu opuściły mnie siły. Nie mogłam sama przejść na badania rentgenowskie. Położono nas w jednej małej sali. Mąż miał trzy strzały w brzuch i stan jego zdrowia był ciężki. Moje prześwietlenie wykazało, że kula rewolwerowa, która przestrzeliła mi szyję, nie naruszyła żadnych organów i utkwiła gdzieś w okolicy obojczyka. Nie spowodował ten strzał żadnego krwotoku.

W szpitalu nie było chirurga, bo Niemcy go gdzieś zabrali, czy też wywieźli. Dyrektorem szpitala był dr Miller, specjalista dermatolog. Praktycznie byliśmy więc pozbawieni specjalistycznego ratunku. Rano, a była to niedziela, Jan Anselm i Jan Kucewicz zwrócili się do władz niemieckich z prośbą o samochód, którym mogliby przywieźć chirurga z Dubna, oddalonego od Krzemieńca o 40 km. Niemiec Bartels, któremu podlegały wszystkie majątki rolne pow. krzemienieckiego, okazał się człowiekiem życzliwym i dał samochód. Około godziny 16 przyjechał chirurg z Dubna (nazwiska nie pamiętam). Stwierdził, że stan mojego męża jest bardzo ciężki, że operacji nie może się podjąć ze względu na poszarpane jelita, trudności techniczne, duży upływ czasu od otrzymania postrzału i już zaznaczające się zapalenie otrzewnej. Był to wyrok śmierci, chociaż tego dnia nie zdawałam sobie z tego sprawy, gdy szczegółowo omawialiśmy tę tragedię. Mnie operowano, kulę wyjęto, chociaż jak lekarz stwierdził, było to bardzo trudne ze względu na jej umiejscowienie. Mąż zmarł w nocy z poniedziałku na wtorek. W poniedziałek rano, mimo moich protestów, przeniesiono mnie do innej sali. Ciało rodziców przywieziono do Krzemieńca i w parę dni potem odbył się pogrzeb czterech ofiar bestialskiego napadu na Tetylkowce.

Tu muszę wspomnieć o tym w jaki sposób ocalał Jan Kucewicz, który przyjechał do szpitala w kilka minut po naszym tam przybyciu. Otóż gdy przejeżdżali obok prawosławnego cmentarza, mocno zadrzewionego, furman wstrzymał rozpędzone konie i oglądał się dziwiąc, że nie nadjeżdżają pozostałe wozy. Kucewicz wyczuł wielki niepokój furmana i konwojenta. Szybko zeskoczył z wozu i ukrył się w zaroślach wśród grobów. Połyszał najpierw strzały, potem nadjechały furmanki z bandytami i w końcu wszyscy w wielkim pośpiechu odjechali. Kucewicz szybko skierował się na folwark. Wstąpił po drodze do domu magazyniera, Ukraińca, lecz ten wyprowadził Kucewicza na dwór i zamknął przed nim drzwi swojej chaty. Kucewicz skierował się do dworu, tam zastał dwie zabite osoby i przerażoną ciocię, pilnującą dziecka. Z folwarku dostał powóz i furman zawiózł go do Krzemieńca.

W czasie pobytu w szpitalu byłem świadkiem przywożenia rannych mieszkańców pobliskich wsi polskich, którzy też byli ofiarami Ukraińców. Podobno tej nocy z 19 III na 20 III zamordowano w lesie pracownika starostwa p. Stańskiego. Jego ciało znaleziono bez głowy. W dwa dni po napadzie na Tetylkowce zamordowano rządcę majątku Cecyniówka p. Jasiukowicza. Wyjeżdżał on z rzeczami do Krzemieńca i po drodze został napadnięty. Wiem, że tejże nocy we wsi Młynowce Ukraińcy otoczyli szkołę, w której przebywało chyba kilku Niemców, dwie obsługujące kobiety Polki i tłumacz, były nauczyciel. Mimo obrony niemieckiej udało się bandytom podpalić budynek i osoby tam przebywające spaliły się żywcem. Znam tę relację z ust żony byłego nauczyciela, a koleżanki szkolnej.

W czerwcu 1943 roku dostałam od Niemców dokument uprawniający mnie do przekroczenia granicy GG. Wyjechałam z dziećmi i siostrą Magdą Szubiakowską na zaproszenie przyjaciół ze Lwowa. Tak zaczęła się moja dalsza tułaczka.

UCIECZKA Z PIEKŁA

Po wioskach bandy UPA zaczęły grasować coraz częściej. Na noc uciekałyśmy z domu, ponieważ miałyśmy się po zbożach-konopiach i przeróżnych zaroślach. Po takich nocnych okropnych męczarniach wracałyśmy do naszych mieszkań pod wielkim strachem, żeby się trochę pożywić i odpocząć. Niedaleki nasz sąsiad, Ukraińiec Iwan Szeremeta (wszyscy go nazywali lwasyk) przyszedł do nas i oznajmił, że zrobił nam u siebie w stodole kryjówkę, w której możemy spać między owocami. Z tyłu od ogrodu wykombinował taką ruchomą deskę, że w każdej chwili można było ją uchylić i uciec. Był to bardzo dobry chłopak, taki niepozorny, mały jak na swój wiek. Między Ukraińcami udawał mało rozgarniętego, niby niczym się nie interesował, a w gruncie rzeczy łapał ich każde słowo i zdawał nam relację z tego co się działo we wsi.

To właśnie on pierwszy przyniósł nam wiadomość o tym, że bandyci szykują obławę na dzień 29 czerwca i wszystkich „Lachiw” mają wybić. Naradziliśmy się z naszymi biednymi Polakami z Koszowa co robić, gdzie i jak uciekać, żeby nie wpaść w ręce zbirów. Kilka rodzin polskich zdążyło jeszcze wyjechać do Skurcza, a dalej do Horochowa, gdzie były już organizowane polskie placówki obronne. My nie miałyśmy czym uciekać, bo bandyci nam już wcześniej wóz i konie zabrali. Rano wylaziliśmy z naszej kryjówki, kolejno z odstępami, żeby nas nie zauważono i żeby nie zdradzić, że Ukraińcy nas przechowują w swojej zagrodzie. Wszystkie cenniejsze rzeczy: kożuchy, buty, pierzyny, poduszki, lepsze ubrania zakopałyśmy, ale jak się okazało, szkoda było naszego trudu. Ktoregoś ranka stwierdziłyśmy, że wszystko zostało odkopane i zrabowane.

Pewnego dnia patrzymy, podjeżdża pod naszą chatulinę bryka, na której siedzi kilku uzbrojonych bandziorów. Po krótkiej naradzie jeden dryblas zeskoczył z bryczki i kieruje się z pistoletem w rękę w naszą stronę. Struchlałyśmy ze strachu. Zapędził nas grożąc pistoletem do mieszkania. Mama miała jeszcze tyle siły i odwagi, że odezwała się do niego, a żeby pozwolił nam jeszcze pomodlić się przed śmiercią. Ukłękłyśmy i zaczęłyśmy głośno

„Pod Twoją obronę”. Po zmówieniu pacierza moja siostrzyczka Relunia zaczęła głośno płakać i mówić do niego po ukraińsku: „za szczo хочzete nas pobyty? Szczo my wam zrobily?”. Ja też zaczęłam go błagać, patrząc mu prosto w oczy. Łzy jak groch spływały nam po policzkach. Jedna Janeczka tylko stała jak skamieniała, z jakimś zacięciem na twarzy i nic się nie odzywała. Kiedy skończyliśmy się modlić, raptem, łapa zaczęła mu się trząść i rewolwer wypadł mu z ręki. Podniósł broń i nagle zmienił się, jakby stał przed nami całkiem inny człowiek, niż ten, którego widzieliśmy jeszcze przed chwilą. Po krótkiej chwili oświadczył - nie mogę was zabić... po czym ostrzegł, żebyśmy uciekały jak najprędzej, bo przyjdą inni i śmierć będzie nieunikniona. „Chętnie bym wam pomógł - oznajmił - a szczególnie tobie”, wskazał na mnie ręką. Po tych słowach szybko odwrócił się i nie oglądając się za siebie, opuścił mieszkanie. Czy to nie był cud? Na pewno tak!

Kilka rodzin polskich postanowiło nocą - o ile dobrze pamiętam 28 czerwca - zaryzykować i przerwać się do Skurcza, gdzie utworzyło się już większe skupisko Polaków, którzy dysponowali pewną ilością broni dla samoobrony przed bandami. Większość jednak nie chciała ryzykować. Myśmy były niezdecydowane, co mamy ze sobą począć, ale widocznie Opatrzność Boska wzięła nas w opiekę. Wieczorem przyszedł do nas Ukrainiec, młody chłopak. Okazało się, że był to syn robotnika leśnego, który przed wojną pracował u taty lesie. O ile dobrze pamiętam, nazywał się Petro Bambilo. Mama go poznała i wpuściła do mieszkania. Okazało się, że jego ojciec, dowiedziawszy się, że tej nocy mają mordować Polaków, przysłał do nas syna, żeby nas zabrał do nich, do sąsiedniej wioski, która nazywała się Liniów. Długo nie zastanawiając się, wzięliśmy swoje tobołki, które zawsze nam towarzyszyły, niezbędne rzeczy osobiste i nieco żywności. Pod osłoną nocy doprowadził nas bocznymi ścieżkami, zbożem do swojego gospodarstwa w Liniowie, żeby nam dać schronienie przed tą „Kainową nocą” 29 czerwca.

Miedzy Ukraińcami byli bardzo szlachetni ludzie, którzy byli przeciwni tej zbrodniczej akcji, niejednokrotnie ryzykując swoje własne życie. Najlepszym tego przykładem byli właśnie Piotr Bambilo i jego rodzice. Czekali już na nas z wielkim niepokojem, czy uda się Piotrowi doprowadzić nas w bezpieczne miejsce. Szczęśliwie dobrnęliśmy do celu, gdzie było już wszystko przygotowane na nasze przybycie. W stodole, wysoko pod belką, na tak zwanych „wyszakach” była zamaskowana kryjówka, do której weszliśmy po wysokiej drabinie. Rodzice Piotra usunęli drabinę, on zaś cały czas był z nami i czuwał. Nie sposób zapomnieć tych ludzi, którzy okazywali nam tyle serca.

Było dobrze po północy, kiedy bandy przystąpiły do działania. Były dobrze zorientowane, że kilka rodzin polskich próbuje przedostać się do sąsiedniej wsi Liniów, a potem dalej do Skurcza. Zrobili zasadzkę, posypały się

kule w stronę uciekających. Dzieci wylęknione hukiem strzałów zaczęły płakać, głośno lamentując. Bandytom ułatwiło to polowanie na bezbronne istoty. Dookoła płonęły domostwa, słysząc było przeraźliwe jęki, zagłuszone hukami broni palnej. Wspomnienie wprost nie do opisania.

W kryjówce naszej, w stodole były szpary, ale nie miałyśmy odwagi i siły patrzeć na to nieszczęście, które dokonywało się wokół nas. Przytuliłyśmy się do siebie w tej naszej kryjówce i modłać się, prosiłyśmy Matkę Najświętszą o pomoc i ratunek. Trudno sobie wyobrazić, cośmy wtedy przeżyły na tych wyszkach, ale i co przeżywali nasi gospodarze Bambiłowię. Te polowania trwały do rana, przez cały dzień następny, aż do wieczora. Przez dwa dni siedzieliśmy w tej kryjówce w wielkim szoku i półprzytomne ze strachu. Potem Piotr zrobił wywiad i powiedział, że na razie ucichę i banderowcy wycofali się do lasu. Podobno jakiś nieduży oddział AK ze Skurcza wraz z chłopcami z samoobrony, ostrzelali bandytów, którzy wycofali się z wioski. Nieliczna to musiała być grupa śmialków, która przepłoszyła bandytów, za słaba, żeby przyjąć z pomocą bezbronnym.

Kilku rodzinom polskim udało się przedrzeć do Skurcza. Między innymi uratowała się cała rodzina Edka Żukowskiego, żona i dwoje lub troje dzieci. Anastazy Żukowski z matką również wyszli cało. Liczna rodzina Zamrzyczkich, a było ich chyba 8 osób, wszyscy przeżyli tę tragedię. Z rodziny Anieli Szytyk tylko ona została przy życiu. Nie udało się uciec z życiem rodzinie Mariana Podgórskiego. Jego żona i dwóch synów zostali zastrzeleni podczas ucieczki, natomiast Marian został ciężko ranny. Jakaś dobra dusza ukraińska odnalazła go nieprzytomnego i zawiozła do szpitala w Łucku. Miał przestrzelone szyję i szczękę. Niestety, nie udało się go zachować przy życiu, po dwóch tygodniach zmarł. Julek Sokołowski z sześćioletnim synkiem zdążyli uciec i ocaleli, natomiast jego żona uciekając trzymała dwuletniego synka na rękach. Bandyci szybko dopadli ją ; dziecko zginęło na miejscu, matka została ranna i w tym szoku zemdląca, bandyci myśleli, że nie żyje i także cudem ocalała. I tym razem jakaś rodzina ukraińska zaopiekowała się nią i zawiozła do szpitala w Łucku. Większość osób, które nie opuściły swoich domów, zginęła. Zhęcano się nad nimi w okropny sposób ; wykręcano nogi i ręce, rozpruwano brzuchy i jeszcze żywych, konających wrzucano do studni.

Kolejną ofiarą była babcia Boguszewska (77 lat), akuszerka z Koszowa słynna na całą okolicę. Ofiarami padli również brat i bratowa babci Boguszewskiej. Córka babci Boguszewskiej (jej mąż był Czechem, miał na imię Wenek), miała dwie śliczne córeczki 6 i 8 lat ; wszyscy zginęli pomordowani w bestialski sposób. Dziewczynki brano za nogi i uderzano główkami o drzewa, póki biedne nie skonały, po czym zostały również rzucone do studni. Zginęli Kajetan Biernacki i jego żona, byli w wieku około 78 lat. Ich syn Marceł Biernacki zginął 8 maja razem z Wandzią.

Dominik Tarnawski mieszkał w Liniowie tuż pod lasem. Nocą napadli na niego „rezuny”, wyrwali drzwi i zaczęli wyciągać bezbronne ofiary. Zanim dostali się do środka, Dominik zdążył wyskoczyć przez okno i uciec do lasu. Żona Dominika była w ósmym miesiącu ciąży. Troje dzieci zostało w okrutny sposób pomordowanych. Żona Helena (32 lata) zamordowana została w szczególnie okrutny sposób ; brzuch miała rozpruty, obok niej leżało ciało nienarodzonego biedactwa. Trójkę dzieci wrzucono do studni, ich mamusia leżała wraz z maleństwem obok. Rodzina Siateckich została zakatowana w podobny sposób.

Oprócz tych nieszczęśliwych rodzin polskich, w taki sam sposób zostało zamordowanych dwóch braci Ukraińców : Piotr Czerwak i Iwan Czerwak. Najstarszy ich brat Roman był żonaty z Polką, córką babci Boguszewskiej - Aniela. Mieli ośmioletniego synka. Kiedy banderowcy przyszli do nich, nie zastali Romana, Aniela i synka w domu. Zemścili się na jego braciach, bo z „Lachiwką był żonaty”. Piotr i Iwan nie chcieli ujawnić, gdzie ukrywa się Roman z żoną i dzieckiem i dlatego musieli zginąć. Też zostali wrzuceni do studni.

W Koszowie było kilka rodzin ukraińskich, które nam współczuły w tych okrutnych czasach. Do takich należy zaliczyć Makara Sapożnika. Jego córka Szura została również zamordowana przez nacjonalistów ukraińskich. Syn Anatol ocalał i do dziś mieszka w Torczynie. Dużo serca okazali nam Semen Jaciura, Iwan Grodzki, Konstanty Bojczuk - mieszkają do dziś w Koszowie, także inni, którzy sprzeciwiali się tym zbrodniczym czynom.

Nie pamiętam jak długo jeszcze poniewieraliśmy się i ukrywałyśmy w tym naszym nieszczęśliwym, a zarazem kochanym Koszowie. Tu wyrosłyśmy i spędziłyśmy nasze młode lata. O ile dobrze pamiętam, gdzieś na początku sierpnia usłyszałyśmy warkot samochodu. Zdażyłyśmy się ukryć do schronu, który wybudowałyśmy wspólnie z naszym sąsiadem Ukraińcem Konstantym Bojczukiem. Wykopałyśmy taki schron tuż za naszymi zabudowaniami w kartoflach, zamaskowany łącinami. Ledwie zdażyłyśmy się ukryć, nagle słyszymy jakiś głos ; ktoś wołał po polsku : „pani Bąkowa ! Halo ! Pani Bąkowa ! Proszę się nie bać, bo my Polacy”. Wkrótce poznałyśmy ich po głosach. Byli to rzeczywiście swoi chłopcy, między innymi Dominik Tarnawski z Liniowa, któremu całą rodzinę jak wspomniałam wymordowano w okrutny sposób. Byli też nasi dobrzy znajomi, bracia Stasiewiczowie, Grochowiecki i inni, którym udało się jakoś uratować. Wszyscy oni należeli już do AK. Przyjechali po resztę niedobitków. Nie sposób opisać jak ogromna była nasza radość, kiedy zobaczyłyśmy naszych wybawców. Każda z nas miała uszykowany mały tobolek i z tymi woreczkami na plecach wyruszyłyśmy w nieznane. Nie zastanawiałyśmy się wtedy, co będzie jutro. Miałyśmy tylko jedno pragnienie, aby jak najprędzej opuścić to piekło.

Po drodze pozbierali wszystkich niedobitków ocalałych z tej masakry, w której podobno nie brali udziału miejscowi Ukraińcy. Szczęśliwie dotarliśmy do miejscowości Łokacze, a następnie przy wsparciu i ochronie „chłopców z lasu” - akowców, którzy przydzielili nam kilka furmanek, dobrnęliśmy do Włodzimierza Wołyńskiego. Na furmankach jechały tylko dzieci i osoby starsze, które były słabe. Pod jakim strachem myśmy odbywały tę „pielgrzymkę”, to tylko jeden Pan Bóg wie. Baliśmy się też Niemców, bo prawie na każdej furmance był ukryty karabin lub inna broń. Wokoło jeszcze grasowały uzbrojone bandy upowców, które w każdej chwili mogły nas zaatakować. Jednak jakoś dzięki Najwyższemu szczęśliwie dojechaliliśmy do celu.

We Włodzimierzu miejscowi Polacy okazali nam wiele serdeczności i dali dach nad głową. Tak przetrwaliśmy jesień do świąt Bożego Narodzenia. W niedługim czasie po świętach wyruszyliśmy w dalszą drogę w kierunku Hrubieszowa. Szczęśliwie bez większych przygód przebrnęliśmy rzekę Bug. Piekło było za nami...

Z KOSZOWA NA KOŁYMĘ

Od 1942 r. byłem związany z ZWZ, gdzie pełniłem funkcję łącznika. Dom, który rodzice wybudowali w Łucku przy ul. Tęczowej 8, Niemcy nam zabrali. Wykwaterowali nas i urządzili tam kasyno dla żołnierzy Wehrmachtu. Nam dali w zamian mieszkanie - jeden pokój z kuchnią po straconych Żydach, przy ul. Teatralnej.

Na początku maja 1943 r. udałem się na wieś do rodzinnego Koszowa, skąd pochodzę, ażeby przekazać pocztę konspiracyjną, którą wręczył mi por. „Start”. Mimo młodego wieku byłem bardzo przydatny w konspiracji, ponieważ dość dobrze władałem językiem ukraińskim, którego nauczyłem się w latach dziecińczych, pasąc krowy razem ze swoimi ukraińskimi rówieśnikami. Język rosyjski poznałem w szkole, do której uczęszczałem podczas okupacji sowieckiej, w latach 1940-1941.

Po kilku dniach na wieś przyjechała moja siostra Wanda, z którą umówiliśmy się, że pomożemy rodzicom w pracach polowych, a później razem pojedziemy do Łucka i przy okazji weźmiemy trochę prowiantu, o który podczas okupacji było w mieście bardzo trudno. Już przedtem dochodziły słuchy o mordach pojedynczych rodzin polskich. Polacy wówczas zaczęli się organizować, powstawały pierwsze placówki samoobrony na Wołyniu.

7-mego maja 1943 r. przyszedł do nas goniec z Sielady (Wiejska Rada) z poleceniem, ażeby rano 8-go maja zgłosić się z furmanką i koniem w umówionym miejscu, w celu przewiezienia kontyngentu dla Niemców. Kategorycznie odmówiłem, powiedziałem, że nie pojadę i nie dam konia, bo jest chory. Dzięki temu zostałem przy życiu. Rodzice nalegali, by korzystając z okazji, wyjechała moja siostra Wanda, bo czasy są niespokojne. Już wtedy nie spaliśmy w domu, a poniewieraliśmy się nocami po polach i łąkach. Wyznaczono kilka furmanek samych Polaków i nasza Wandzia zabierała się z nimi do miasta.

Wszyscy oni przeznaczeni byli na stracenie. Bandyci przecięli im drogę w lesie sadowskim, na granicy z Koszowem. Wszyscy zostali wymordowani. Nikomu nie udało się uratować. Po dzisiejszy dzień nie wiemy, gdzie

spoczywają ich kości. Żona Michała Sztyka została w domu pilnując reszty dobytku. Za parę dni miał po nią wrócić mąż. Niestety, nie zdążył. Tak cudem ocalała jedna osoba z całej rodziny.

Próbowałem namawiać sąsiadów, ażeby opuszczali wieś i uciekali z nami do miasta, ale to oznaczało ryzyko wywózki do Rzeszy. Ciągłe nie wierzyli w to najgorsze, co ich może spotkać. Tu w Koszowie był przecież ich dom rodzinny. Z dziada pradziada zamieszkiwali te tereny wspólnie ze swoimi sąsiadami Ukraińcami.

Po dłuższej naradzie z ojcem postanowiliśmy, że ja z mamą będę próbował przedostać się do Łucka, gdzie mieszkała moja starsza siostra Julia. Zastanawialiśmy się jak dojechać do Łucka, przebrnąć przez kilkanaście wiosek, przeważnie zamieszkałych przez Ukraińców, nie zdradzając się, że jesteśmy Polakami. Uzgodniliśmy, że wyjedziemy nocą z 10-go na 11-go maja. Po północy uwiązałem do grzywy konia jakieś wstążeczki żółto-niebieskie (barwy narodowe Ukrainy), naciągnąłem czapkę na uszy, włożyłem długie spodnie, bo tylko takie nosili tu miejscowi chłopcy ukraińscy (broń Boże krótkie, bo to zdradziłoby kim jestem). Mama również ucharakteryzowała się na typową ukraińską kobietę; na głowie miała dużą chustę i ukraińską zapaskę zamiast fartucha. Zaprzagnałem konie, pożegnaliśmy się z ojcem i okrężną drogą, omijając las, wyruszyliśmy do Łucka. Wyjechaliśmy na wiejską drogę. Zatrzymałem konia i w milczeniu, ze łzami w oczach, odwróciłem się w stronę naszych zabudowań. Przewidywaliśmy i mieliśmy takie przeczucie, że opuszczamy nasz dom rodzinny na bardzo długo, jeśli nie na zawsze. Do świtu minęliśmy kilka wiosek. Modliliśmy się po cichu, żeby nikogo nie spotkać z pobliskich wsi, kto mógłby nas rozpoznać.

Jak już wspominałem, znałem dobrze język ukraiński i znałem ich obyczaje. Wyrośłem między nimi. To też po drodze, gdy już za dnia spotykałem wyrostków i starszych, którzy widząc tak udekorowanego wstążeczkami o barwach żółto-niebieskich konia, często nas pozdrawiali podniesieniem ręki „Sława Ukrainie”, odpowiadałem również skinieniem ręki „Na wiki Sława”. Mama na tylnym siedzeniu ze słomy siedziała cichutko, cała struchlała ze strachu. Umówiliśmy się, że w razie czego będę mówił, że jest chora na tyfus i wiozę ją do szpitala w Łucku. Nie braliśmy żadnego bagażu tylko trochę jedzenia.

Dzięki Bogu szczęśliwie dobrnęliśmy tak do miejscowości Antonówka 7 km od Łucka. Tu już organizowała się placówka polskiej samoobrony pod dowództwem Inspektoratu AK w Łucku. Komendantem placówki był nasz dobry znajomy Michał Małocha ps. „Jędrrek”. Po zdjęciu z konia „dekoracji” i krótkim odpoczynku, wyruszyliśmy w asyście trzech chłopców, których wyznaczył „Jędrrek”. Doprowadzili nas do mostu na Krasnem w Łucku, po czym chłopcy powrócili na placówkę. Ucieszyliśmy się, że jesteśmy uratowani. Ojciec również po kilku dniach szczęśliwie dobrnął do Łucka.

Coraz bardziej angażowałem się w pracę konspiracyjną, pełniłem nadal funkcję łącznika. Front wschodni szybko przesuwał się do przodu. W pierwszych dniach lutego armia sowiecka zajęła Łuck. Tuż za nimi wjechały do Łucka wojska NKWD. Zaczęły się aresztowania żołnierzy AK. 3 kwietnia 1944 r. za przynależność do Armii Krajowej zostałem aresztowany. Miałem wówczas 17 lat. Po wstępnych przesłuchaniach w łuckim NKWD - 18 maja 1944 r. załadowano nas do wagonu towarowego wraz ze starszymi kolegami z AK. Wagon był specjalnie przygotowany do przewozu „zdrajców ojczyzny” (tak nas nazywano).

Podróż trwała bardzo długo. Po kilka dni staliśmy na bocznicach. Warunki były okropne, żadnej gorącej strawy. Byliśmy głodni i wynędzniali, w wagonie panował tyfus. Kilku kolegów zmarło, m.in. Marek Wiśniewski jeden z pierwszych założycieli ZWZ w Łucku.

Około 20 czerwca dotarliśmy do celu naszej podróży, do Kijowskiego NKWD. Po kilkumiesięcznym przesłuchaniu 17 października 1944 r. wyrokiem Wojskowego Trybunału Wojsk NKWD skazano nas - żołnierzy AK na długoletnie obozy pracy na Syberii. Dwie osoby otrzymały najwyższy wymiar, karę śmierci. W kijowskim procesie osądzono nas razem 33 osoby. Sądzone nas z paragrafów 54.1a - zdrada ojczyzny, 54.2a - przygotowywania do zbrojnego powstania przeciwko władzy sowieckiej i 54.11 - działanie w grupie przeciwko władzy. Mimo naszego sprzeciwu wszystkim nam przypisano obywatelstwo ZSRR.

Podczas procesu jak i w trakcie przesłuchania staraliśmy się udowodnić, że jesteśmy obywatelami polskimi i naszym celem było walczyć w obronie Ojczyzny i bronić bezbronnych kobiet i dzieci przed bandami UPA. Sowietów byli jednak bezwzględni i nie słuchali naszych argumentów. Posypały się wysokie wyroki - dwie osoby zostały skazane na śmierć : Leopold Świkła ps. „Adam” i Wacław Kopisto ps. „Kra”. Wyroki śmierci zamieniono na długoletnie obozy pracy. Cztery osoby zostały skazane na 20 lat obozów pracy, reszta została zasądzona po 15 - 10 - 8 lat obozów pracy. Trzech z nas : Tadeusz Baczyński, Kazimierz Tadejewski i ja - Tadeusza Zukowski, jako najmłodsi z całej grupy otrzymaliśmy po 5 lat obozów pracy. Do ukończenia 18 lat brakowało mi wtedy... czterech miesięcy. Te cztery miesiące uratowały mnie przed 10 latami katorgi...

ZATURCE - UTRACONA OJCOWIZNA

Urodziłem się 2 czerwca 1921 r. w Zaturcach, gmina Kisielin, powiat Horochów na Wołyniu, miejscowości położonej w połowie drogi między Łuckiem a Włodzimierzem, w rodzinie ziemiańskiej, przybyłej z Mazowsza na Kresy Wschodnie w XVI wieku. Dzieciństwo spędziłem w domu rodzicielskim, wśród pięciorga rodzeństwa i kochających nas bardzo rodziców. W 1932 r. wstąpiłem do Państwowego Gimnazjum im. Mikołaja Kopernika we Włodzimierzu Wołyńskim, a w latach 1937-39 studiowałem w Wyższej Szkole Gospodarstwa Wiejskiego w Cieszyne.

W niedzielę 17 września 1939 r. po południu dowiedzieliśmy się z komunikatów radiowych o wkroczeniu wojsk sowieckich na tereny Zachodniej Ukrainy i Białorusi, celem uwolnienia ludności tam mieszkającej „spod ucisku polskich panów”. Ojciec mój, który przeżył rewolucję 1917 r. w Kijowie zdecydował się na natychmiastowy wyjazd z Zaturzec. Całą noc trwały przygotowania i pakowanie najniezbędniejszych rzeczy oraz kompletowanie wozów, uprząży i paszy na daleką podróż. Rankiem 18 września na kilku wozach, prowadzonych przez ojca i rodzeństwo opuściliśmy dom rodzinny.

W pierwszych dniach października znaleźliśmy się wszyscy w majątku Czechy powiat Miechów, należącym do Ireny Kleszczyńskiej, gdzie ojciec znalazł pracę zarządcy tego majątku. Młodsze rodzeństwo po kilku tygodniach wyjechało do Krakowa na naukę w szkołach średnich, początkowo oficjalnie, ale już po krótkim czasie na kursach tajnych. Natomiast ja 1-go listopada rozpocząłem pracę zawodową jako praktykant w hodowli roślin w Polanowicach.

Po wybuchu wojny sowiecko-niemieckiej zdecydowałem się za zgodą ojca na wyjazd na Wołyń do Zaturzec. Po przybyciu na miejsce pierwsze kroki skierowałem do plebanii, do księdza Gracjana Rudnickiego, proboszcza parafii w Zaturcach, a późniejszego żołnierza i kapelana 27-ej Wołyńskiej Dywizji Piechoty Armii Krajowej. Ksiądz Rudnicki powitał mnie bardzo serdecznie. Upłynęło nam wiele godzin na rozmowach zarówno dotyczących warunków życia Polaków w Gubernatorstwie jak i Polaków na Wołyniu.

Większość ludności polskiej, która uniknęła prześladowań i wywózki na wschód, uważała przyjście Niemców za ocalenie. W majątku zostałem serdecznie powitany przez pracowników, którzy w większości pracowali do wojny u mego ojca.

Po przenocowaniu na plebanii, następnego dnia pojechałem do Łucka, gdzie mieszkał mój stryj, młodszy brat ojca, lekarz. Cała rodzina stryja ocalała, nikt nie został wywieziony. Po kilku tygodniach pobytu w Łucku otrzymałem skierowanie na objęcie stanowiska kierownika majątku Zaturce. Po przyjeździe do majątku ulokowałem się w małym mieszkaniu, stanowiącym część naszego salonu i rozpocząłem pracę.

Gospodarowanie w tych czasach było bardzo trudne. Brak było wszystkich środków produkcji, trzeba było je zdobywać drogą wymiany z sąsiednimi majątkami lub zaopatrywać się w sposób specjalny. Brakujące żelazo, stal, blachę uzyskiwało się z rozbieranych czołgów, które stały w dużych ilościach wzdłuż szosy, pozostawione przez uciekające wojsko sowieckie. Węgiel wypalało się z drzewa twardego, służył potem do prac w kuźni. Uprząż dla koni szyli rymarze ze skór wyprawianych na miejscu. Pomysłowość ludzka przy braku gospodarki towarowej sięgała szczytów.

Tak minął 1942 rok i zaczynał się najtrudniejszy na Wołyniu rok 1943. Już pierwsze wiadomości o pojedynczych mordach dokonywanych we wschodnich powiatach Wołynia na ludności polskiej przez Ukraińców napawały nas obawą. Zaczęto wydobywać broń pochodzącą z 1939 r., a głównie z 1941, kiedy to ustępujące wojska sowieckie pozostawiały duże jej ilości. Coraz częściej na spotkaniach młodzieży polskiej mówiło się o konieczności organizowania samoobrony.

W majątku Zaturce była gorzelnia, którą kierował pan Łyzwański i on to dostarczał spirytus, który następnie wymieniałem w Łucku na broń i amunicję. Rozpoczęła się też na szerszą skalę organizacja wojskowej działalności konspiracyjnej, do której przystępowały całe rodziny. Głównym celem tej pracy była walka z okupantem niemieckim, ale ponieważ w roku 1943 wyłoniło się także zagrożenie ze strony Ukraińców, konspiracja włączyła się intensywnie w obronę życia całych polskich ośrodków.

Wiosną 1943 roku wstąpiłem do Polskiego Związku Powstańczego (działającego w ramach Armii Krajowej, o której to istnieniu dowiedziałem się znacznie później). Złożyłem przysięgę i przyjąłem pseudonim „Lech”. Coraz częściej spotykałem się z kolegami z okolicznych placówek, przeważnie w niedzielę po mszy św. na plebanii u księdza Gracjana Rudnickiego.

Prawdziwym sądnym dniem dla tego rejonu Wołynia, tj. dla powiatów: łuckiego, horochowskiego i włodzimierskiego, była niedziela 11 lipca 1943 r., tak zwana „krwawa niedziela”. Rozpoczęto ją od napaści i mordów ludności w kościołach i wsiach polskich. Podstawowe narzędzia pracy, jak : noże, siekiery, piły, kosy posłużyły tym razem do pozbawiania życia swoich

sąsiadów, znajomych, przyjaciół, a nawet członków własnych rodzin. Tego dnia wymordowano kilkadziesiąt osób narodowości polskiej w pobliskim kościele w Kisielinie w czasie mszy św. Niewielka grupka Polaków z księdzem Kowalskim i dowódcą tej placówki Włodzimierzem Dębskim schroniła się na plebanii, gdzie dzielnie, aż do wieczora, odmierzała ataki nacierających Ukraińców. W nocy obrońcy wycofali się do Łokacz, Włodzimierza i Zaturzec.

W dniu następnym w Wólce Sadowskiej, położonej na południe od Zaturzec, nastąpił kolejny mord rodzin polskich. Fala uciekinierów, na wozach z dobytkiem, pieszych z małymi tobołkami, starych i młodych, zdrowych i rannych zappełniła całe obejście majątku Zaturce. Byli to Polacy z okolicznych wsi, pozbawieni domów, dobytku i środków do życia.

Dowódcą wojskowej placówki samoobrony został Mieczysław Peretiatkiewicz, pracujący jako księgowy w gorzelni, przedwojenny podoficer rezerwy, który zarządził pogotowie, polegające na pełnieniu stałych dyżurów. Jako zastępca komendanta placówki zająłem się sprawami bytowymi tej, tak dużej liczby ludzi, wynoszącej od 300 do 500 osób. Najbardziej poszkodowanych, głównie rannych, umieściliśmy w gorzelni, w tym okresie nie pracującej, a posiadającej duże ilości pomieszczeń, pomocy zaś udzielali pracownicy majątku. Żywność dla ludzi i karmę dla bydła i koni zdobywało się w wypadach do własnych opuszczonych domów i gospodarstw, o ile nie zostały spalone. Zabierano z nich wszystko, co mogło przydać się w nowych warunkach bytowania. W wyprawach tych uczestniczyli uzbrojeni żołnierze placówki.

Tak minęły zniwa i zaczęła się jesień. Coraz więcej ludzi opuszczało czasowe schronienie w Zaturcach, przenosząc się do takich miast jak Łuck, Włodzimierz, Torczyn, lub do większych osiedli jak Wojnica. Pozostała ludność polska, rozmieszczona we wszystkich pomieszczeniach, zaczęła umacniać obronę placówki. Zaczęto kopać schrony, rowy je łączące, zabezpieczać okna workami z piaskiem i siatką przeciw granatom. Placówka w Zaturcach mniej była narażona na ataki ze strony Ukraińców ze względu na swoje położenie przy szosie oraz czasowe przebywanie niewielkich grup żołnierzy niemieckich, przechodzących z frontu lub na front.

Późną jesienią została zaatakowana polska kolonia Lipnik, odległa o półtora kilometra od Zaturzec. Natychmiast pospieszyliśmy z pomocą i po kilku godzinach udało się odeprzeć bandycki napad.

Na początku stycznia 1944 r. wojska radzieckie przekroczyły granicę polsko-rosyjską z 1939 r. Komenda Główna AK wydała rozkaz akcji „Burza”. Rozpoczęła się koncentracja oddziałów partyzanckich w rejonie Włodzimierz - Luboml - Kowel. Front zbliżał się szybko. Już 2-go lutego 1944 r. czołówki armii radzieckiej prowadziły boje pod Torczynem, odległym o 12 km od Zaturzec. W tej sytuacji pozostała ludność polska z placówki w Zaturcach

i Lipniku w pierwszych dniach lutego opuściła Zaturce, kierując się do Włodzimierza. Tu, głównie młodzież, uzbrojona bronią z piacówek, przeszła do Bielina, a następnie na koncentrację 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK, dowodzonej w tym czasie przez ppłk. Jana Wojciecha Kiwerskiego. Pozostali przejechali Bug i napotykając polskie wsie, zaczęli lokować się, gdzie kto mógł, lub jechać dalej w głąb woj. lubelskiego. Ja wróciłem do ojca, który pracował nadal w majątku Czechy w powiecie miechowskim.

CZAS OSTATECZNY

...W lipcu 1943 r. nastąpił okres ostateczny. UPA rozpoczęła od 10 lipca 1943 r. w całym powiecie horochowskim, częściowo w łuckim i włodzimierskim mobilizowanie Ukraińców. Uzbrojeni w widły, siekiery, kosy, a ukraińscy żandarmi w mundurach i w uzbrojeniu niemieckim, ruszyli do ostatecznej likwidacji Polaków, zamieszkałych na terenach Polski od granic z 1939 r. do Bugu z hasłem „byty Lachiw”.

12 lipca (poniedziałek) o godz. 7⁰⁰ zobaczyłem, że z Granatowa (sąsiednia wieś) uciekają Polacy, krzycząc: „uciekajcie, bo Ukraińcy strzelają, biją siekierami, widłami, kosami, palą zabudowania”. Powiedziałem do brata Piotra: „no to już się zaczęło”. Byliśmy przygotowani, tylko załadowaliśmy dwa wozy, rodzice jednak powiedzieli, że: „my nie uciekamy, bo my z nimi dobrze żyliśmy i za co mieliby nas zabijać?”. Ja, brat Piotr i siostra Frania Garczyńska-Tuńska pojechaliśmy w stronę Zaturzec przez Wólkę Sadowską. Widzimy, że zabudowania Mieczysława Romanowskiego palą się, a Romanowscy są zabici. Skracamy w lewo, w kierunku Zaturzec - patrzemy, a tu trzy furmanki załadowane banderowcami z bronią i krzyczą: „wer-nyteś nazad” i wpędzają nas w kocioł. Ja z bratem mieliśmy po granacie i dwa rewolwery, ogień nierówny. Tak i tak śmierć, ale dwoma granatami narobiliśmy im bigosu. Widzimy jednak, że oni karabiny trzymają między nogami i nie myślą używać broni. Postanowiliśmy wrócić. Po przyjeździe do naszego zabudowania zobaczyliśmy, że mieszkanie i stodoła sąsiada Adama Zienkiewicza palą się, a strzelanina dookoła trwa nadal. Szybko wypęgnęliśmy konie, a rodzice z siostrą Tuńską skryli się w piwnicy murowanej w mieszkaniu. (Pożaru się nie bali, bo mieszkanie było kryte blachą.) My z bratem schowaliśmy się do schronu z bronią (było to tak jakoś pewnie). Siedzimy od 13-ej do 20-ej, dwie stodoły się dopalają, strzały coraz rzadsze. Obora kryta była czarną blachą, a pod oborą był ten nasz schron. Nie wychodzimy, bo jeszcze słychać czasami strzały i rozmowy. Ok. godziny 23-ej wyszliśmy ze schronu - patrzymy - stodoły są popalone, trochę się jeszcze tlą, mieszkanie - wszystkie drzwi pootwierane. Chodzimy z krótką

bronią w rękę, nigdzie nie ma nikogo, nie możemy głośniejsze wołać, bo boimy się, żeby zza węgła mieszkania, czy obory nie wyskoczyli banderowcy i żeby nie paść na zgłiszczach i popiołach naszej ojcowizny. Zdajemy sobie sprawę z tego, że broń krótka nie dorówna długiej broni upowskiej. Sprawdziliśmy mieszkanie, piwnicę, gdzie skryli się rodzice z siostrą Garczyńską-Tuńską. Nigdzie nie było nikogo - cisza ! Tylko konie, krowy, trzoda chlewna chodzą po ogrodzie warzywnym i dożywają się. Nie zdaję sobie sprawy, co się stało - może i dobrze. Jak już pisałem, poszliśmy biorąc ze sobą trochę chleba i słoniny w stronę Zaturzec. Dotarliśmy tam z większą ilością osób, uciekinierów spotkanych po drodze.

Zaczęło świtać. Odchodząc popatrzyliśmy, a tu przed kościołem w Zaturcach, na ogromnym placu i na polach, gdzie kiedyś w czasie odpustu na „Matki Boskiej Pocieszenia” zjeżdżały się furmanki pełne odświętnie ubranych ludzi, stały stragany z różnymi świecidełkami i karuzele, stały teraz wozy, trochę bydła od bliższych gospodarzy, pełno ludzi jako tako ubranych, często w roboczym ubraniu, ludzi bardzo wystraszonych, kobiet płaczących i dzieci proszących : „mamo, jeść” - bo już była pora śniadaniowa. Na prośby małych dzieci matki tylko płakały, tuliły, całowały i karmiły je łzami. Cóż mogły dać dzieciom, kiedy uciekały ratując tylko życie swoje i tych maluchów ? Chodziłem między uciekinierami, szukaliśmy z bratem ojca, matki i siostry - nigdzie ich jednak nie było. Poszliśmy z bratem do majątku p. Lipińskiego, gdzie była placówka niemiecka dobrze uzbrojona. Porozmawiałem z p. Janem Lipińskim, z którym poszliśmy do komendanta ochrony tegoż majątku z prośbą, żeby dał żołnierską obstawę, a my się zorganizujemy i pojedziemy do Jesionówki, zobaczymy, co jest. Zabierzemy konie, wozy i dużo żywności i wrócimy. (Odległość od Zaturzec do Jesionówki wynosiła ok. 3,5 km przez pola.) Komendant na prośbę p. Jana Lipińskiego (jako teoretycznie właściciela majątku) wydelegował 20 żołnierzy dobrze uzbrojonych, w hełmach i nas 28 osób, częściowo uzbrojonych. Doszliśmy do połowy drogi, a tu z Jesionówki jak zaczęła strzelać z broni maszynowej ! Niemcy machnęli ręką i wrócili, to my też. Tak się zakończyła wyprawa po swoje.

Na drugi dzień, to już było 14 VII 1943 r. poszedłem sam. Uzbroiłem się w rewolwer i granat ręczny polski, podszedłem po wojskowemu, bardzo ostrożnie. Wszedłem do mieszkania (wszystkie drzwi były pootwierane). Zauważyłem matkę leżącą pod kołdrą, całą we krwi. Zobaczyła mnie, już nie mogła mówić, tylko pokazuje - uciekaj ! Ja szybko wyskoczyłem, założyłem konie do wozu (wozy były już rozszabrowane). Ułożyłem matkę na wozie i zacząłem uciekać drogą. Nagle padły strzały, skrzyłem więc w pola przez zboża, w stronę Zaturzec. Słyszałem jak strzelają, kule gwizdzą raz dalej, raz bliżej, ale cudem dojechałem do Zaturzec.

Po wyleczeniu w szpitalu w Łucku, matka tak opowiadała : 12 VII w poniedziałek była generalna rzeź. Ja z bratem byliśmy w schronie, a matka

z ojcem i siostrą w piwnicy pod mieszkaniem. Ojciec potem wyszedł, gdyż uważał, że go nie zabiją, bo z Ukraińcami dobrze żył. Niestety, został przez UPA zabity. Matka i siostra siedziały cały czas w piwnicy. Przed wieczorem wyszły i schowały się w zbożu obok gospodarstwa i dopalających się stodół. Na drugi dzień 13 VII od godziny 9-ej przyjeżdżali Ukraińcy na furmankach i rabowali, co się dało. Obstawili teren, żeby nie być zaskoczonym. W tej gromadzie był holowa (sołtys) Darczuk. Matka go zobaczyła i ucieszyła się, że widzi „swojego” człowieka. Ten bardzo grzecznie do matki i mojej siostry mówi: „wasz mąż zabytyj pod lisom, treba zrobity pochoron” (wasz mąż zabity pod lasem, trzeba zrobić pogrzeb) i szukał właśnie nas, pytając się matki: „hde chłopci?” (gdzie chłopcy). Matka naprawdę nie wiedziała, gdzie my jesteśmy. Sołtys Darczuk machnął ręką i wyszedł w stronę ogrodu. Nagle przychodzi sześciu uzbrojonych upowców. Zabierają matkę, moją siostrę i sąsiadkę Zalewską. Pędzą je do lasu. W Grabowcu kobiety powiedziały, że dalej nie pójdą, więc na rozkaz - klękajcie - kobiety przeżegnały się i uklęknęły, a oni zaszli z tyłu i strzelili w głowy. Matka opowiada, że słyszała trzask zamka i brzęk w głowie. Było to 13 VII 1943 r. przed wieczorem, zaczął padać deszcz, matka ocknęła się i przeczołgała do mieszkania. Długość tej trasy wynosiła 500-550 m. Też to należało zaliczyć do cudu, bo kuła przeszła koło podniebienia, a ponadto miała przestrzelone podudzie. Żyła potem jeszcze 32 lata.

Po wypędzeniu z własnego gospodarstwa byliśmy z bratem zmuszeni pójść na placówkę do Kopaczówki. Była tam zorganizowana samoobrona. Zaczął się nowy etap w naszym życiu. Wkrótce potem staliśmy się żołnierzami 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK.

Wspomnienia Leokadii Jakubowskiej

W niedzielę 11 lipca 1943 r. szliśmy z siostrą Kazią z kościoła z Zaturzec. Było pochmurno, ale bardzo ciepło i z lekka padał deszcz. Dochodziłyśmy do Jesionówki. Na początku kolonii stał wiatrak Przybylskiego, a za wiatrakiem zobaczyłyśmy czterech banderowców w mundurach niemieckich i hełmach. Dyskretnie obserwowałyśmy ich, a oni przyglądali się, kto idzie z kościoła. Później zauważyłyśmy, że ci sami chodzili po polach dookoła naszych zabudowań. To samo widzieli Sokołowscy, Gronowicze, Jurkowscy, Garczyńscy i Pogonowscy. Wyglądało na to, że ci banderowcy podpatrywali, czy nie ma rowów, schronów obronnych i innych zabezpieczeń samoobrony. Już w następnym dniu 12 VII 1943 r. rano powstał krzyk, zamieszanie, strzelanina i widzimy, że ludzie z sąsiedniego Granatowa furmankami i na

piechotę uciekają w stronę Zaturzec, gdzie był murowany, duży kościół i placówka niemiecka w majątku Lipińskich.

My byliśmy na to przygotowani, więc założyliśmy konie i przez pola i zboża uciekliśmy do Zaturzec. Po paru tygodniach wyjechaliśmy przez Torczyn i Łuck do Kopaczówki i tam przetrwaliśmy do końca wojny i ewakuacji na zachód.

Chciałam jeszcze opowiedzieć dzieje naszego sąsiada Sokołowskiego. Otóż około sierpnia 1943 r. (a więc przeszło w miesiąc po rzezi 12 VII 1943 r.) pojechał on do Granatowa po swoje krowy, świnię i różne swoje rzeczy (miał dokładne dane u kogo jest ten cały jego dobytek). Okazało się, że w mieszkaniu do którego zaszedł, siedzą banderowcy. W pewnej chwili jeden z nich krzyknął, że jadą Niemcy. Wszyscy wybiegli z mieszkania, ale na podwórku okazało się, że byli to banderowcy umundurowani po niemiecku. Z miejsca zaczęli bić Sokołowskiego kolbami, prętami żelaznymi, po czym związali go drutem kolczastym i wrzucili do głębokiej studni głową w dół. Opowiadał mi to Ukrainiec, który żył bardzo dobrze z Sokołowskim i widział cały przebieg tej ohydnej zbrodni.

Przytoczę też przeżycia Władysławy, córki mego stryja Jana Garczyńskiego, która była w czasie napadu 12 VII w Rudni. Mój stryj dał konie z wozem Ukraińcowi i ten przywiózł ranną Władzię do Zaturzec. Był to bardzo uczciwy człowiek. Na Rudni zginęły wtedy dwie siostry mego ojca Feliksa Garczyńskiego. Jedna nazywała się Jakubowska, a druga Zienkiewicz. W czasie napadu na Rudnię ukryły się w dość dużym schronie. Było tam dwadzieścia osób. Banderowcy krzyczeli żeby wychodzić i strzelali do schronu. Moje ciotce już nie żyły, a Władzia Garczyńska została ranna w tym schronie i jako zabita leżała pod trupami. Wieczorem poszła do Ukraińca Łukasza, który wiele lat służył u ciotki Zienkiewiczowej. Łukasz zobaczył ją, ukrył i trzymał w ukryciu, aż po paru dniach przyjechał tamten Ukrainiec z Zaturzec i Władzię zabrał.

Relacja Janiny Pogonowskiej

12 lipca 1943 r. wstaliśmy bardzo rano i po śniadaniu planowaliśmy z mężem Fabianem iść plec buraki. Trzeba powiedzieć, że my, Polacy z całej kolonii Jesionówki byliśmy zawsze przygotowani do ucieczki. Wozy były załadowane rzeczami pierwszej potrzeby. Zjedliśmy śniadanie i wychodzimy z mieszkania, a tu brat męża Mieczysław krzyczy: „uciekajmy, bo biją i palą”.

Od wschodu był duży las państwowy, tzw. „Las Sadowski” i z tego lasu widzimy (bo było to w odległości ok. 700 m), że wychodzą ludzie uzbrojeni

i idą do budynków Józefa Romaniewicza. Słyszymy strzały i palą się jego zabudowania. Krótka decyzja : Mieczysław z rodziną wyjeżdża, a my jako bezdzietni zostaniemy i zobaczymy, co dalej będzie się działo. Szwagier Mieczysław załadował dwoje dzieci i żonę i odjechali bardzo szybko w stronę Zaturzec, bo tam wszyscy uciekali. A tu patrzymy z mężem Fabianem, że ta banda uzbrojona, paląc i zabijając kogo spotkali pochodzenia polskiego, idzie w stronę Jesionówki.

My oboje uciekamy do sąsiadów Garczyńskich, ale nie spotkaliśmy już tam nikogo, tylko wozy załadowane stoją w ogrodzie, a konie i krowy chodzą po ogrodzie warzywnym. Ja z mężem udaliśmy się zbożami w stronę naszych lasów gospodarczych, a tu widzimy, że i z tego lasu wychodzi tyralierka uzbrojonych banderowców. Położyliśmy się w dość wysokie żyto w odległości z pięć metrów od siebie. Ja nawet widziałam buty bandytów i słyszałam jak zabijali naszego sąsiada Adama Garczyńskiego, bo akurat trafili na niego. Może nas to i uratowało, bo byli zajęci mordowaniem „Lacha”. Siedzieliśmy z mężem w tym zycie do późnego wieczora i później udaliśmy się jak wszyscy do Zaturzec. Ja zrobiłam wywiad, że w Jungówce (moje strony rodzinne) jest spokój, więc nie było sensu dłużej siedzieć w Zaturcach w prowizorycznie zrobionym szałasie i bez żywności. W sierpniu 1943 r. udaliśmy się więc z mężem do Jungówki. Było tu bezpieczniej, gdyż wieś ta leżała przy szosie Łuck-Włodzimierz Woł., w pobliżu nie było dużych lasów, a niemieckie transporty bez przerwy jechały na wschód i z powrotem na zachód, tak, że UPA (ci „gieroje”) nie odważyli się atakować silniejszego nieprzyjaciela, z którym przed paru miesiącami współpracowali i wspólnie przeprowadzali pacyfikację ludności polskiej.

WSPOMNIENIA MOJEJ MATKI

Do lipca 1943 r. mieszkaliśmy ze swoją rodziną w miejscowości Gregórkowa oddalonej od Łucka o 16 km. W tej kolonii mieszkali również moi rodzice z rodzeństwem.

W 1942 r. w czasie świąt Bożego Narodzenia napadli na nasz dom uzbrojeni bandyci ukraińscy. Zrabowali nam wszystko : odzież, obuwie, pościel i kosztowności, grożąc przy tym bronią.

Wiosną 1943 r. coraz częściej dochodziły do nas wiadomości o przygotowaniach Ukraińców do powstania. Czasy stawały się trudne i niebezpieczne, ale ciężko było podjąć decyzję opuszczenia gospodarstwa i wyjazdu do miasta. Mieliśmy dwoje dzieci, spodziewałam się następnego. 5 maja 1943 r. urodziły się bliźniaki, dwóch synków.

Sytuacja Polaków z dnia na dzień stawała się trudniejsza. Już nikt nie miał odwagi nocować we własnym domu. Ponieważ mieliśmy czworo dzieci, a dorosłych osób było trzy, więc najstarszą córkę odsyłaliśmy na każdą noc do rodziny męża. I tak 11-go dnia po urodzeniu się dzieci, każda dorosła osoba brała jedno dziecko oraz trochę żywności i bielizny i szliśmy na pole w zboże, aby przesiedzieć tam noc. Najczęściej dla bezpieczeństwa wszyscy członkowie rodziny szli oddzielnie. Mieliśmy na względzie dobro dzieci ; gdyby jedno z nas zginęło, drugie mogłoby zapewnić im opiekę. Ja zawsze brałam najbardziej krzykliwego synka, któremu w razie płaczu wkładałam pierś do buzi, aby tylko nie zdemaskowano naszej kryjówki. Rano wszyscy wracaliśmy do domu, spotykałam się z rodziną i dziękowaliśmy Bogu za przeżyta noc. O wyjeździe do Łucka nie było mowy. Nikt nie miał odwagi wydostać się, ani w dzień, ani w nocy. Znikąd żadnej pomocy, ani nadziei.

Ten stan trwał już prawie dwa miesiące. 9 lipca zmarł mój synek (jeden z bliźniaków), wówczas zorganizowaliśmy specjalny kondukt żałobny (jedynemu do Łucka mogło wyjechać 8 rodzin. W drodze do Łucka kilkakrotnie byliśmy zatrzymywani przez uzbrojone bandy, ale mimo to szczęśliwie dotarliśmy do miasta. Cały swój majątek zakopaliliśmy, a ze sobą zabraliśmy

jedynie trochę bielizny osobistej i to tylko tyle, ile można było włożyć pod spód.

Często zastanawialiśmy się z mężem jaki los spotkałby nas, gdyby... nasz synek nie umarł. Prawdopodobnie zginęlibyśmy wszyscy. Jego śmierć uratowała nam życie. W miejscowości oddalonej o 7 km od Łucka w Iwan-czycach (wieś ta była położona między ukraińskimi wioskami) mieszkała moja rodzina. W sumie mieszkało tam 7 osób : Apolonia i Stanisław Papowszczy, syn ich Józef z żoną Ireną, Stasia Milewska wraz z mężem Leonardem oraz siostrą Klementyną. Byli to ludzie bardzo spokojni i zamożni. Sądziли oni, że skoro nigdy nic złego ludziom nie zrobili, więc nic też złego ich spotkać nie może. Cała bliższa i dalsza rodzina prosiła ich, żeby wyjeżdżali i uprzedzali przed konsekwencjami. Im jednak trudno było opuścić majątek i pójść w nieznane. Pewnego dnia doniesiono nam, że cała rodzina została przez Ukraińców wymordowana. Po kilku dniach pewna Ukrainka opowiedziała nam o tym strasznym, bestialskim mordzie. Szczególne męki i cierpienia odniosła Irena Papowszczkova, która w tym czasie była w ósmym miesiącu ciąży. Być może Ukraińcy chcieli się od niej dowiedzieć, gdzie ukryty został rodzinny majątek, ona zaś może nie wiedziała, albo też nie chciała im powiedzieć. Słowem dwa dni trzymali ją w piwnicy, zadawali jej klute rany bagnetami, zmuszając do zeznań. W tym też tygodniu we wsi Ulaniki zginęła moja cioteczna siostra z trzema synami i trzema kuzynami.

W 1944 r. w Łucku poznałam pewną kobietę bardzo chorą i znerwicowaną. Opowiedziała mi ona swoją straszną tragedię. Mąż pani Kazimiery zginął w 1939 r. na wojnie. Pozostała ona na wsi sama z dwojgiem dzieci. Pewnego wieczoru w obawie przed Ukraińcami zabrała dzieci do stodoły. Tam w trójkę siedzieli, aż w końcu dzieci usnęły. Po pewnym czasie pani Kazimiera usłyszała kroki i głosy na podwórzu. Zorientowała się, że bandyci idą do stodoły. Obudzić dzieci już nie mogła, a więc przykryła je sianem i wyszła tylnymi drzwiami. Gdy tylko się oddaliła usłyszała pisk mordowanych dzieci. Tak straciła wszystkich najbliższych.

*Wspomnienia matki
p. Walentyny Dargiewicz
spisała w kwietniu 1987 r.
córcza Krystyna Kraszevska*

WIATR W OCZY

W 1943 r. (miałam wówczas dziesięć lat) nasza wieś Aleksandrówka na Wołyniu boleśnie doświadczyła kilku napadów rezunów ukraińskich, wywodzących się z naszej i sąsiednich wiosek. Najtragiczniejszy z nich miał miejsce 15 lipca około godziny 9 wieczorem. Bandyci uzbrojeni w widły, siekiery, maczugi, noże oraz broń palną okrzykami nasza wioskę i zaczęli spędzać ludzi w jedno miejsce. Gdy ktoś próbował uciekać, wówczas strzelali za nim. Schwytywane dzieci brali za nogi i głową uderzali o węgiel domu lub innego budynku. Pamiętam dokładnie, jak moi rodzice podeszli do nas, do czwórki dzieci, mówiąc, że banda jest bardzo blisko i musimy uciekać z wioski. Zrozpaczeni, w pośpiechu pożegnali się z nami. Ojciec do przygotowanych przez matkę węzełków włożył nam na drogę - zamiast pieniędzy, których w domu ograbionym przez wojnę nie było - po butelce bimbru, mówiąc, że gdy będziemy głodne, to ktoś za niego da nam kromkę chleba lub talerz gorącej strawy.

Rozbiegliśmy się w różne strony. Gdy dobiegłam do pszenicznego zagonu, padł strzał i poczułam straszny ból w nodze. Karabinowa kula przeszła przez stopę. Porażona postrzałem upadłam i zaczęłam się czołgać przez zboże do najbliższej wysokiej miedzy, pod którą wygrzebałam jamę i w niej przeleżałam do świtu. Do poranka słychać było odgłosy strzelaniny i przerazające krzyki męczonych i mordowanych ludzi. Noga coraz gorzej bolała. Byłam bliska omdlenia. Wtedy przypomniałam sobie o wódce w węzełku. Z koszułi nasączonej alkoholem zrobiłam sobie opatrunek. Ziemię, która leżała obok wygrzebanej jamy rozsypałam garściami po zbożu, aby nikt nie mógł domyślić się, że pod miedzą ktoś jest.

Mijały dzień po dniu, wyczerpał się skromny zapas żywności i głód oraz pragnienie zaczęły mi coraz bardziej dokuczać. Za napój służył mi bimber, a jedzeniem były ziarna wyluskane z kłosów zbóż. Po tygodniu, w niedzielę czy poniedziałek, nie pamiętam dokładnie, usłyszałam we wsi jakieś odgłosy. Po chwili rozpoznałam głos Ukrainki - Ulany Sidor, naszej sąsiadki, z którą rodzice moi dobrze żyli, a ja nawet nazywałam „ciocią”. Głodna

i obolała odważyłam się pójść do niej, ale nie mogłam stanąć na zranionej nodze, która mocno spuchła i bardzo mnie bolała. Z trudem doczołgałam się na pobliskie podwórze, na którym była owa „ciocia” i ze łzami w oczach zaczęłam ją prosić o kawałek chleba. Ona groźnie popatrzyła na mnie i z nienawiścią w oczach na cały głos wyrzuciła z siebie: „ty polska mordo, jeszcze żyjesz?”. Następnie chwyciła za stojącą przy ścianie motykę. Ze strachu nie czułam bólu okaleczonej nogi, tylko poderwałam się i zaczęłam uciekać. Mściwa Ukrainka, goniąc za mną, zgubiła mój ślad. Chyba myślała, że uciekam na drogę, a ja, klucząc między zabudowaniami, powróciłam do swojej kryjówki w zbożu pod miedzą. Noga bardzo opuchła i tak bolała, że nie mogłam się ruszyć. Pod opuchlizną w ogóle nie było widać stopy. Żywiłam się tylko ziarnami zboża i stałe się modłać, tak jak nauczyła mnie mama, coraz częściej myślałam o śmierci.

Najprawdopodobniej po jedenastu dniach Ukraińcy postanowili „zrobić porządek” po tym napadzie, gdyż dookoła unosił się niesamowity fetor rozkładających się ciał. Szli więc od podwórza do podwórza, drózkami i po zbożach, a gdy znaleźli jakiegoś nieboszczyka, to go zakopywali na miejscu. Prześladowcy byli coraz bliżej mnie, a ja przerażona nie wiedziałam, co mam robić i w tym momencie usłyszałam nad sobą głos jednego z Ukraińców, z którym moi rodzice też zawsze żyli w sąsiedzkiej zgodzie. Nazywał się on Harasym Łukajczuk. Szedł wolno i dyskretnie mówił do mnie: „nie ruszaj się, może cię nie zauważą, wieczorem przyjdę po ciebie, twój brat jest już u mnie”. Poszedł dalej, a ja miałam szczęście, bo nikt więcej nie zbliżył się do mojej kryjówki. Wieczorem Łukajczuk, tak jak obiecał, przyszedł do mnie. Wsadził mnie w worek, zarzucił na plecy i zaniósł do swojego domu. W izbie obejrzał moją przestrzeloną nogę. Była bardzo opuchnięta i cała czerwona. Po namyśle orzekł, że nie można zwlekać, tylko trzeba jechać do szpitala do Kowla.

Ukrainiec Łukajczuk obwiązał mi twarz chustką i włożył mnie do tzw. maniaka, z którego karmi się konie w czasie postoju. Następnie przysypał mnie obrokiem i położył na wóz. Natomiast mojego ukrywanego brata Stanisława, który był ranny w brodę w czasie ucieczki przed rezunami, posadził obok siebie i ruszyliśmy w drogę. Gdy dojechaliliśmy do Lasu Świniarzyńskiego, wyskoczyli z zarośli bandyci i zaczęli wypytывать woźnicę, gdzie i po co jedzie. Nasz wybawca Harasym Łukajczuk wytłumaczył im, że wiezie bardzo chorego syna do lekarza i wskazał na mojego brata. Rezuni dali mu wiarę i pozwolili nam odjechać. Tak dotarliśmy szczęśliwie do Kowla, gdzie przyjęto nas do zatłoczonego szpitala, a mnie zrobiono operację. Brat wyzdrowiał wcześniej i wypisano go z leczenia, ja zostałam dłużej. Po około 20 dniach przyszła do mnie w odwiedzin mama, o której od dawna nic nie wiedziałam. Niestety, mama nie mogła być przy mnie dłużej, bo zostawiła ojca i rodzeństwo ukrytych w lesie, w pobliżu naszego domu.

Pewnego dnia lekarz oznajmił, że z nogi nic nie będzie, bo się nie goi i trzeba będzie ją uciąć. Strasznie się rozplakałam, ale cóż mogłam zrobić? Tego samego dnia przyszedł do szpitala mój wybawca Łukajczuk. Wiadomość, którą mi przekazał całkiem mnie dobiła. Moi rodzice oraz brat i siostra zostali w bestialski sposób zamordowani. Rodzice, świadomi faktu, że ze wszystkimi Ukraińcami zawsze żyli w wyjątkowej zgodzie i z nikim nie mieli żadnych zatargów, opuścili las i wrócili do wioski. Jeszcze tego samego dnia miejscowi rezuni otoczyli nasz dom włamali się do środka i najpierw bagnętami zakłuli moją 11-letnią siostrę Irenę. Później zaczęli znęcać się nad mamą. Ojciec wyrwał się z łap oprawców i stanął w jej obronie. Wówczas jeden z Ukraińców zastrzelił go. Następnie długo pastwili się nad 13-letnim bratem Henrykiem, zanim wyzionął ducha. Wszystkich pochowano na kukurzyisku po spalonej stodole.

Lekarz w Kowlu na szczęście zmienił decyzję i zdecydował odwiedzić mnie do szpitala w Łucku. Tu zostałam poddana kolejnej operacji. W łuckim szpitalu przebywałam od sierpnia do grudnia. Gdy wypisano mnie z leczenia, nie wiedziałam, co mam robić, bo w mieście nikogo nie znałam. Wyruszyłam więc o lasce do Włodzimierza Wołyńskiego, mając nadzieję, że spotkam tam kogoś znajomego. Niestety, bardzo się zawiodłam. Domem moim stało się więc na cały zimowy miesiąc targowisko, a łóżkiem stragan, na którym w dzień handlowano. Ludzie na rynku karmili mnie z litości. Byłam brudna, zmarznięta i zawsze głodna. W mroźne noce ukradkiem wślizgiwałam się do przydomowych komórek i chlewików. Żyłam w ciągłym strachu, bojąc się napotkanych ludzi, gdyż nie potrafiłam odróżnić, kto jest Polakiem, a kto Ukraińcem. Tak też spędziłam Boże Narodzenie i Nowy 1944 Rok.

Którejś nocy usłyszałam odgłosy jadących wozów konnych i polską mowę. Podeszłam do krawędzi szosy, aby zobaczyć, co się dzieje. Na jednej z furmanek rozpoznałam swego brata Władysława. Po krótkiej rozmowie posadzili mnie na wóz i zabrali ze sobą. Okazało się, że brat jest w partyzantce i do jednego z oddziałów 27 Wołyńskiej Dywizji Armii Krajowej, stacjonującego w lasach koło Zasmyk wiezie prowiant. Jakiś czas byłam z partyzantami, robiąc wszystko co mogłam przy kuchni polowej. Po pewnym czasie brat stwierdził, że dłużej nie mogę żyć w tak trudnych warunkach. Poza tym w dalszym ciągu bolała mnie noga, zaczęła puchnąć i ponownie musiałam chodzić o lasce. Któregoś dnia brat zabrał mnie z lasu i zawiózł do znajomego we Włodzimierzu. Nie wiem jak się nazywali moi nowi opiekunowie, gdyż byłam tam krótko, bowiem rodzina postanowiła uciec z miasta pulsującego nienawiścią do Polaków. Mnie ponownie pozostał rynek i zbieranie o kawałek chleba. Ze wstydem wyciągałam rękę do obcych ludzi. Jedni się litowali, inni wyganiaли precz.

Trwało to do chwili ucieczki Niemców i rozpoczęcia masowych wysiedleń Polaków za linię Bugu. Wysiedleńcy całymi gromadami szli i jechali

furmankami do Polski, a ja wraz z nimi podpierając się łaską. Po pewnym czasie jeden z wozów zatrzymał się i woźnica zapytał mnie, dokąd idę? Odpowiedziałam, że tam gdzie wszyscy. Wziął mnie więc na furmankę i zabrał ze sobą. Po kilku dniach rodzina ta dotarła do Sitańca w Zamojskiem, gdzie osiedliła się na stałe. Ja z konieczności zostałam u nich na długie cztery lata jako parobek. Za jedzenie i byle jakie odzienie pracowałam ponad siły. Nie wysyłano mnie do szkoły. Spałam w kuchni pod stołem na worku wypchanym słomą. Moi gospodarze, mimo że byli małżeństwem bezdzietnym, nie potraktowali mnie, sieroty, jak swojego dziecka. Szczególnie gospodyni była osobą pozbawioną uczuć macierzyńskich, obojętną na niedolę i łzy dziecka. Czasem myślałam, że nie jest Polką. Jedynie jej mąż, gdy zaharowana, padająca ze zmęczenia płakałam, litował się nade mną i starał ulżyć mi w pracy.

Ludzie na wsi bardzo mnie żalowali i współczuli mojej ciężkiej doli. Pewnego razu kierownik szkoły, który najbardziej bolał nad moim losem, przechodząc koło łąki zobaczył, że przy 2-3 stopniowym przymrozku pasę boso krowy. Nie wytrzymał i napisał skargę do jakiejś instytucji. W niedługim czasie przyjechała kilkusobowa komisja i zabrała mnie do Domu Dziecka w Puławach.

Najpiękniejsze lata zazwyczaj beztroskiego dzieciństwa i młodości przeżyłam w nędzy, poniewierce głodzie, chorobie i ciężkiej pracy. Widziałam rzeczy tragiczne i straszne, wręcz niewyobrażalne. Nieraz byłam bliska śmierci. Prosiłam też Boga, by zabrał mnie do siebie, gdyż jestem sama, chora, bezbronna i głodna, pozbawiona miłości rodziców. Niepojęty w swej dobroci Stwórca jednak nie pozwolił zgasić płomienia mojego życia. To, że przetrwałam grozę tamtych lat pożogi, krwi i zagłady Polaków, zawdzięczam jedynie Wszechmogącemu Bogu.

W maju 1991 roku dzięki staraniom i szczególnej pomocy Pani Teresy Radziszewskiej, sekretarza Zarządu Głównego Stowarzyszenia Upamiętnienia Polaków Pomordowanych na Wołyniu, udało mi się ekshumować szczątki mojej rodziny z Aleksandrówki i przenieść je na cmentarz w Hrubieszowie oraz sprawić katolicki pogrzeb. Marzyłam o tym przez prawie pół wieku i wreszcie spadł mi kamień z serca. Jestem bardzo szczęśliwa, że doczekałam chwili, gdy mogę uklęknąć przy grobie moich najbliższych i modłać się odbywać z nimi nigdy nie kończącą się rozmowę.

(„Na rubieży” - do druku podała Paweł Wira)

ZAPOMNIEĆ, WYBACZYĆ ?

Wstrząśnięty jestem tym, iż są w Polsce „naukowcy - historycy” i różni pulicyści, wypaczający prawdę historyczną. Falszerze widocznie nie znają specyficznej problematyki Kresów Wschodnich i tragicznych uwarunkowań losów Polaków na tych ziemiach. Autorzy ci ignorują fakty o barbarzyńskich sposobach eksterminacji bezbronnej ludności polskiej na Wołyniu. W oddziałach Samoobrony, których byłem uczestnikiem, nigdy nie kierowaliśmy broni w stronę ludności ukraińskiej. Celem naszym była wyłącznie samoobrona przed bandami UPA, ochrona setek rodzin skupionej w tych placówkach.

Nawiązując do rozkazu ówczesnego komendanta Wołyńskiego Okręgu AK wydanego 16 II 1944 r. do dowódców oddziałów partyzanckich, w którym pod rygorem osobistej odpowiedzialności, podkreśla się, że w walce z bandami UPA nie wolno czynić krzywdy kobietom, dzieciom i starcom. Wydany rozkaz zaleca prowadzenie walki z uzbrojonymi bandami UPA, w celu ochrony ocalałej ludności polskiej. W tym czasie pozostało jedynie kilka ocalałych kolonii polskich w pobliżu Przebraża jako głównego ośrodka Samoobrony, w których ok. 25 tys. ludzi znalazło schronienie i obronę.

Pierwsze morderstwa bandy UPA organizują już w lecie 1942 r. w m. Boremel pow. Dubno. Zginęli tam bez wieści kierownik tartaku, gajowy i leśniczy leśnictwa lasu Chrynieckiego k / Boremla także listonosz poczty Boremel. Pojedyncze morderstwa miały miejsce w innych miejscowościach, jak np. w Rusinowym Beresteczku 3 km od Boremla pow. Dubno. W październiku 1942 r. upowcy mordują dwóch braci mojej matki, którym kazano przed zastrzeleniem wykopać sobie groby. Tak zginęli Dominik i Jan Żłobiccy. Wstrząsające całą okolicą morderstwo bandyci UPA popełniają w mojej rodzinnej miejscowości Aleksandrówce gm. Czaruków pow. Łuck. Mord ten był szczegółowo przemyślany i zorganizowany. Zaskoczono zebranych w jednym mieszkaniu sześciu mężczyzn. Mimo dramatycznego oporu, wszyscy oni zostali zamordowani w bestialski sposób. Upowcy po oddaniu kilku strzałów do każdego z napadniętych, dobijali ich bagnetami, zadając

dziesiątki klutych ran. Jedyne ocalały, to mój kolega Ignacy Zawilski, który uciekł, skacząc przez okno do sadu. Chciałem zaznaczyć szczególnie, iż w kolonii Aleksandrówka mieszkali 4-ry rodziny ukraińskie. Nawet nie myślano o żadnym odwecie czy jakiegokolwiek zemście. Rodziny te pozostały bezpieczne ze swoimi domostwami i dobytkiem, aż do wkroczenia armii radzieckiej. Obecnie znajdują się oni i mieszkają w okolicach niedaleko Łucka woj. wołyńskie.

W parę tygodni po tym mordzie bandyci UPA w październiku 1942 r. w Boremli pow. Dubno, w czasie snu domowników, okradają mieszkanie i podpalają wszystkie zabudowania, zabijają, a następnie rzucają w ogień moją ciotkę Anielę Marmucką i jej syna Stanisława Marmuckiego. Ocalał mąż ciotki Franciszek Marmucki, nieobecny w czasie napadu w mieszkaniu oraz synowa Maria, która uszła z życiem w sposób wprost niewiarygodny, unosząc przy piersi kilkumiesięczne niemowlę.

Podawałem autentyczne fakty morderstw dokonanych w mojej rodzinnej wsi i niektórych przyległych okolicach. Były to zarazem oznaki i zapowiedzi, że takie morderstwa są i będą kontynuowane w innych wsiach, gminach i powiatach Kresów Wschodnich już w 1942 r.

W 1943 r. bandy UPA wzmacniają się liczebnie i przystępują już do totalnej zagłady Polaków zamieszkałych na wsiach i koloniach polskich. Palą setki polskich wsi, mordują dziesiątki tysięcy bezbronnych ludzi, rzucają hasło „śmierć Łachom i żydowskiej komunie”. Jaki mógł być odwet w tych latach, tj. 1942-43, ze strony uciekających przed śmiercią Polaków? Polskie wsie były wysepkami w morzu ukraińskich rozległych chutorów, będących gniazdami band UPA. Jedyne ocalałym i dobrze zorganizowanym punktem obrony było Przebraże, które mogło stawić czoło banderowcom, chroniąc jednocześnie 25 tys. ocalałych, sponiewieranych ludzi ze spalonych wsi. Poleciłbym zatem tym „naukowcom-historikom” i innym wypaczającym fakty historyczne, by jeszcze raz zajrzeli do książki Henryka Cybulskiego, komendanta ośrodka samoobrony polskiej we wsi Przebraże, pt. „Czerwone noce”. Jeśli idzie o akcje odwetowe, to miały one cel i zadanie jedynie obronne, oczyszczające z banderowców miejscowości okalające Przebraże. Jako przykład podaję gniazdo szkoły podoficerskiej UPA w Teremnem.

Usprawiedliwianie zbrodni band nacjonalistów UPA i wypaczanie faktów przez niektórych „historyków”, to po prostu zdrada godności narodowej. Autorzy ci nie mają żadnych podstaw, ani moralnych praw, by stawiać na jednej płaszczyźnie zbrodnie UPA z działaniami oddziałów Samoobrony, będącymi zarazem częścią historii polskiego ruchu oporu.

SPIS TREŚCI



<i>Stanisław Biskupski</i> — Wstęp	3
<i>Mieczysław Jankowski</i> — Zapomnieć nie mogę	6
<i>Zofia Wierzbowska</i> — „Zwykły” los zwykłych ludzi	12
<i>Ewa Szwed</i> — Między życiem, a śmiercią	16
— <i>Jadwiga Pakuła</i>	18
— <i>Tadeusz Kanicki</i>	19
<i>Antoni Łysiak</i> — Z konspiracji do partyzantki	22
<i>Czesław Kuwałek</i> — Trudno opisać	24
<i>Władysław Soroka</i> — Mord w stodole	27
<i>Mirosława Bacławska</i> — Dlaczego ?	30
<i>Tadeusz Kotarski</i> — Moje tragedie	40
<i>Lucjan Matrzelski</i> — Dramat wsi Głębockiej	45
— <i>Marcin Zymon</i>	47
— <i>Stanisław Małeki</i>	47
— <i>Stanisława Kacprzak</i>	48
<i>Mieczysław Leśkiewicz</i> — Podstęp	49
<i>Tadeusz Wołak</i> — W bazie i poza bazą	52
<i>Hieronim Wardach</i> — Ostatnia noc	60
<i>Franciszka i Roman Piotrowscy</i> — To zostanie w pamięci	66
<i>Janina Lipińska</i> — Byleby uciec	69
<i>Henryk Komański</i> — Zagłada polskiej wsi Jeziorany Szlacheckie	73
<i>Zygmunt Stański</i> — Straciłem całą rodzinę	91
<i>Jadwiga Krajewska</i> — Gole, głodne, bosc	94
<i>Włodzimierz Drohomirecki</i> — Oczami dziecka	96
<i>Mieczysław Kobylecki</i> — Liczyć tylko na siebie	112
<i>Olga Kuciewicz</i> — Koszmarna noc	115
<i>Irena Justyna</i> — Ucieczka z piekła	120
<i>Tadeusz Żukowski</i> — Z Koszowa na Kolymę	125
<i>Jan Lipiński - Zaturce</i> — utracona ojcowizna	128
<i>A. R. Garczyński</i> — Czas ostateczny	132
— Wspomnienie Leokadii Jakubowskiej	134
— Relacja Janiny Pogonowskiej	135
<i>Krystyna Kraszewska</i> — Wspomnienia mojej matki	137
<i>Leokadia Skowrońska</i> — Wiatr w oczy	139
<i>Anastazy Rodziewicz</i> — Zapomnieć, wybaczyć ?	143



